BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

№ 312

OLBRACHTOWI RYCERZE

POWIEŚĆ

przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

Część III.

Cena 40 kop

W pren. 30½ kop.

WARSZAWA
Redakcya i Administracya
14. Warecka 14.

1904.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.

WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:		Z przesyłką pocztową:	
Rocznie . (52 tomy)	rs. 10	Rocznie. . . (52 tomy)	rs. 12
Półrocznie (26 tomów)	„ 5	Półrocznie . (26 tomów)	„ 6
Kwartalnie (13 tomów)	„ 2 kop. 50	Kwartalnie . (12 tomów)	„ 3
Za odnoszenie do domu 15 kop. kw.			

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

DOPŁATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy)	. . .	rs. 6	kop. —
Półrocznie . (za 26 tomów)	. . .	„ 3	„ —
Kwartalnie. (za 13 tomów)	. . .	„ 1	„ 50

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop

REDAKTOR I WYDAWCA

Franc: Jul. Granowski

Redakcya i Administracya: Warszawa, Warecka 14.—Telefonu 88.
we Lwowie Plac Maryacki l. 4.

Drukarnia A. T. Jezierskiego, Nowy-Swiat 47

Pogwizdów

OLBRACHTOWI RYCERZE.

१३४

839

ZYGMUNT KACZKOWSKI.

OLBRACHTOWI RYCERZE.

POWIEŚĆ.

BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
w GLIWICACH
Nr. 839

Część III.

Wacław Gotembowski

WARSZAWA
DRUKARNIA
A. T. JEZIERSKIEGO
47. Nowy-Świat 47.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 30 Декабря 1903 года.

Państwowe Liceum Pedagogiczne w Gliwicach Biblioteka
Kacz
Obbr.
839 t. III
8-3
Studium Nauczycielskie Biblioteka Gliwice
Politechnika Śląska BIBLIOTEKA Kolegium Pedagogiczne
SN 21133
Kolegium Nauczycielskie BIBLIOTEKA Gliwice
821.162.1-3

VIII.

ŚREDNIOWIECZNA TRAGEDYA.

Na zamku kmitowskim, od czasu wyjazdu Wilczka, już niedługo trwały festyny. Wilczek był jedynym rycerzem pomiędzy gośćmi, co się znał na swojem rzemiośle i był duszą turniejów, wszyscy inni byli w bitwach, gdzie chodziło o życie, ale mało obeznani z obyczajami i zabawami rycerstwa wykwintniejszego, w których szło tylko o popisanie się zręcznością i siłą i gdzie się zwykle kończyło tylko na guzach. Zaś bez zapasów rycerskich nie było wówczas prawdziwie zabawy rycerskiej. Prócz tego, kasztelanowa rozumiała, że dosyć już nakarmiono i napojono panów sąsiadów, ażeby zadość uczynić potrzebom popularności, a sam kasztelan nigdy nie przywiązywał zbyt wiele wagi do wykarmiania sobie stronników, bo był przekonanym, że jeśli się zjawi na sejmiku w Sanoku i krzyknie: górą ziemia Sanocka, a Kmita na czele! to szlachta kołek w kołek podjedzie pod jego chorągiew i ani jednego nie zabraknie. Kiedy więc ostatni goście się porozjeżdżali do domów, już nowych nie zapraszano. Ale pani Gniewoszowa jeszcze się została.

Gniewoszowa prowadziła swą sprawę nadzwyczaj rozumnie i zręcznie. Kasztelanową pozyskała zupełnie dla siebie, co jej się tem łatwiej udało, ile

że wyrozumiała jak najdokładniej jej żale, jej smutki i obawy i potrafiła wpoić w nią wiarę, że ona jedna ma na to wszystko pewne i niezawodne lekarstwa. Z Kmitą miała sprawę jeszcze daleko łatwiejszą, bo on, prócz pomnażania i utrzymania swoich majątków, na wszystkie inne interesy, choćby nawet swej własnej rodziny, niewiele zwracał uwagi. Wilczka miłował szczerze i radby go był ożenił z Jagienką, uważał go bowiem za człowieka zacnego, mającego wszystko potemu, ażeby pójść bardzo wysoko, a przeto mogącego przynieść i szczęście i zaszczyt Kmitównie; prócz tego byłoby go to zabawiło, gdyby był żonie wypłatał figla, dlatego też dał radę Wilczkowi, aby wziął sobie Kamienieckiego za swata; ale zresztą... świat na tem nie stał u niego. W gruncie zaś jego przekonań, wydanie panny zamąż to sprawa babska, jeżeli się Wilczkowi nie uda, a jego żona postanowi inaczej, to niech sobie tak będzie. Gniewoszowa pod tym względem doskonale go wyrozumiała i była z niego zupełnie zadowoloną.

Z Jagienką postępowała także rozumnie, ale zarazem bardzo oględnie, bo w swoich rozmowach z gadatliwemi pannami fraucymeru łatwo się dowiedziała, że Wilczek jej się podobał, ale tego nie mogła z nich wyrozumieć, do jakiego stopnia dojrzały jej sympatye dla niego, a była tego przekonania, że z miłosnemi uczuciami młodych panienek, chociaż według niej były to tylko kaprysy, trzeba się obchodzić bardzo ostrożnie. Miała wprawdzie nieomylny środek oburzenia jej przeciw Wilczkowi; potrzebowała rzucić jej tylko słóweczko o jego stosunkach z córką tego jakiegoś tam bojara putnego i byłaby zaraz wywołała rewolucyę w jej głowie. Ale na to była ona zanadto głęboką znawczynią serca ludzkiego. Wiedziała dobrze, że tem Jagienkę na Wilczka oburzy, ale ją i na siebie oburzy, zwłaszcza, jeżeli się już w nim zakochała; bo ko-

bieta kochająca rozgniewa się na swego ulubionego, jeśli się dowie o nim coś złego, ale zazwyczaj prędko mu przebaczy, temu wszelako nigdy nie przebaczy, który jej to złe powiedział o nim, albowiem, czy tylko ją upokorzył przed sobą, czy wcale rozwiał jej ukochane złudzenia, zawsze zostanie wstrętnym jej sercu.

Gniewoszowa zatem bardzo rozumnie wzgardziła tym środkiem, a natomiast, jak tylko mogła najzręczniej wybadywała Jagienkę o jej sentymenty dla Wilczka; ale tu jej zręczność całkiem ją zawiodła. Albowiem Jagienka wychowywała się w klasztorze i wychowywano ją do klasztoru, do którego wcale nie była stworzoną. Zakonnice, chcąc jej temperament i jej charakter do reguł zakonnych przerobić, strofowały ją zawsze bardzo surowo za górny polot jej myśli, za jej światowe uczucia, nawet za jej otwartość i szczerość, a tak już zawczasu nauczyła się ukrywać swe myśli przed ludźmi i przed nikim swych uczuć nie zdradzać.

Gniewoszowa więc nie dostrzegła w niej ani śladu jej miłości dla Wilczka, a zrozumiawszy tym trybem, że Jagienka nie pomyślała jeszcze wcale o żadnym młodzieńcu, powzięła przekonanie, że cel swój osiągnie bez żadnej trudności.

Coby się stało, gdyby Jagienka, wychowana inaczej, powzięła zaufanie do Gniewoszowej i wyspowiadała się przed nią otwarcie, że Wilczek stał się już gorącem pragnieniem jej serca, ideałem jej myśli, jej Bogiem? Być może, że wtedy ta rozumna i wszystko przewidująca kobieta byłaby tę sprawę puściła w odwłokę, a tymczasem byłyby się zmieniły okoliczności i zaszły inne wypadki.

Ale to stać się nie mogło — i nie był to także fatalizm, tylko konieczność, wypływająca z nieubłaganą logiką z natury rzeczy.

Gniewoszowa zwróciła także baczną uwagę na Smolickiego, bo nie mogła nie spostrzedz, że czło-

wiek ten, chociaż jakąś nieokreśloną rolę odgrywał na zamku, bo był niby to krewnym, niby gospodarzem, a zarazem niby trefnisiem, miał możność wywierania pewnego wpływu na wszystkich. Jakoż istotnie wpływ jego był rzeczywistym, a nawet polegał na dwóch bardzo silnych podstawach: najprzód na tem, że ten opasły, a czasem pozornie niby zaspały szlachcic odgadywał niezmiernie trafnie każde położenie i zawsze o wszystkiem swoje własne miał zdanie, co mu dawało pewną wyższość nad innymi, a powtóre, że sobie wyrobił przywilej wypowiadania swoich zdań bez ogródki i często bardzo ciętych do tego używał wyrazów. Tacy ludzie bywają niebezpieczni, bo nieraz jednem słowem zmieniają usposobienie umysłów. Starościna czorsztyńska to wszystko wiedziała, a nawet zauważyła, że kasztelanowa miała szczególniejsze względy dla niego, w codziennych sprawach często się go radziła, a te narady tak się wciąż powtarzały, iż się zdawało, jakoby pomiędzy nimi trwała ciągła wymiana myśli. Ale zarazem i to było widocznem, że Smolicki był nadzwyczajnie przywiązanym do domu Kmitów, a kasztelanową tak kochał, jak własną córkę. Z tej też ostatniej okoliczności Gniewoszowa wywnioskowała sobie, że Smolicki może tam ma jakie dawne sympatye dla Wilczka, z któremi się zresztą nie taił, ale dlatego, że Jagienkę wydadzą za tego lub owego rycerza, przecie rewolucyi nie zrobi. I tu zapewne trafnie osądziła rzecz i człowieka.

Z księdzem Białym wcale się nie liczyła. Rozmówiwszy się z nim kilka razy, chociaż zaraz spostrzegła w nim awanturnika, lubiącego kabały, przyszła do przekonania, że w razie potrzeby będzie mogła go kupić za kilkanaście złotych węgierskich. Ale go nie kupiła, a to może było błędem z jej strony.

Tak rozum ludzki, choćby najbystrzejszy i najrozleglejszy, nigdy nie może liczyć na swą nieo-

mylność. W świecie teoryi jest zawsze w stanie tworzyć prawdy i osadzać je na granitowych podstawach, których żadna potęga nie wzruszy; ale w życiu praktycznem, w wykonaniu teoryi, jego rachuby bardzo często go mylą, a ilekroć znajdzie się wobec zagadki skomplikowanej, na której rozwiązanie inni ludzie przeciwne mogą wywierać wpływy, jeden jedyny z tych ludzi, zamknąwszy przed nim swój umysł i serce, bardzo często wystarcza, ażeby go w błąd wprowadzić i pokrzyżować jego przewidywania. Wszelako świat ten jest tak urządzony, że ludzie i takim niedostatecznym rozumem osiągają swoje zamiary, a osiągają je nawet wbrew przeciwnym okolicznościom, jeżeli tylko odpowiednią swemu zadaniu rozwiną energię.

Cokolwiekbądź, Gniewoszowa, uścieliwszy drogę swoim zamiarom wedle swego rozumu, pchnęła bez zwłoki gońca do syna, ażeby zaraz przyjeżdżał na Sobień.

Gniewosz, po otrzymanem wezwaniu przyjechał we dwa dni — i przyjechał tak samo pod wieczór, jak niegdyś Wilczek. I tak samo, jak Wilczek, sprawił na wszystkich bardzo przychylne dla siebie wrażenie. Gniewosz, jak go już znamy, nie mógł nawet na pierwszym wstępie nie obudzić dla siebie sympatyi, albowiem postać jego zewnętrzna imponowała swoją męzką pięknością, każdym swym ruchem znamionował uczucie swojej godności, nadzwyczajnie był grzecznym dla wszystkich, a przytem w każdem jego słowie przebijała się dobroć serca i skromność. Ta dobroć serca była w nim czemś niespodziewanem, bo nie licowała z jego kolosalną budową, znamionującą na pierwszy rzut oka olbrzymią siłę fizyczną; ale właśnie ta sprzeczność, jaka leżała pomiędzy jego tytaniczną postacią a dziecięcą słodyczą temperamentu, podnosiła jeszcze obudzoną dla niego sympatyę tem uczuciem szacunku, jakie mamy zazwyczaj dla tych, którzy widocznie

mogliby nam dać uczuć swoją przewagę, a nie chcą: Tak w małą godzinkę Gniewosz zniewolił wszystkich dla siebie, a idąc do wieczerzy, miał to uczucie, że między tymi ludźmi, których dopiero co poznał, jest jakby w swej własnej rodzinie. Matka jego nie spuściła z oka żadnego szczegółu i była z tego bardzo zadowolona.

Ale na tym świecie tylko miłość może być bezwzględną, bezwarunkową i płynąć jednolitym strumieniem bez żadnych w swem wnętrzu odcieni. Wszelkie inne uczucia ludzkie są zawsze względne, mieniące się w sobie i zmienne. Do sympatyi dla siebie można ludzi na samym wstępie zniewolić, lecz przeto się jej jeszcze nie pozyskało na zawsze, bo trwałą sympatyę można sobie tylko wysłużyć. Przeciwko wyniewolonej sympatyi bardzo prędko podnosi się opozycya, bo każdy człowiek ma to tylko w swojej naturze, że nie lubi być zniewalanym, choćby nawet do czegoś takiego, co sam uznaje za słuszne. Poddaje się łatwo pierwszemu wrażeniu, ale jak tylko uczuł, że mu się dał opanować znienacka, zaraz przeciwko niemu się burzy. Tak było także z Gniewoszem. Wszyscy ulegli pierwszemu wrażeniu, ale jak tylko zeń ochłonęli, każdy zaczął szukać, coby mu mógł zarzucić. Pierwszy w ton taki niestrojny uderzył Kmita. Pan małopolski, mający od wieków ducha opozycyjnego we krwi, zaczął się z lekceważeniem wyrażać o królu, co Gniewoszowi nie mogło być miłem, a jak się przy gęstych kielichach rozgadał, to i królewskim dworakom niejednę łatkę przyczepił. Smolicki, czy to chcąc kasztelanowi wtórować, czyli też przeczuwając w Gniewoszu współzawodnika Wilczka, przyciął kilka razy dosyć dotkliwie tym kawalerom, co to są w łaskach u króla i niby to pomagają mu rządzić, ale jeszcze daleko lepiej mu służą w jego miłostkach.

— Rządzą, bo rządzą — powiadał Smolicki —

ale o tych rządach podobno daleko więcej wiedzą mieszczki krakowskie, niżeli całe królestwo. Mało nie wiele, a dowiemy się nagle, że się król z jaką Gretą na lewą rękę ożenił, a potem już chyba i jego kawalerowie, ażeby nie pozostać za panem, także się z niemieckiemi mieszczkami pożenią.

Ośmielony takiemi przycinkami, nawet skromny zazwyczaj ksiądz Wara przypiął także po kilka razy do tej szlacheckiej młodzieży, co zamiast siedzieć na wsi i sprawować obywatelskie urzędy, wiesza się przy królu i uczy się spełniać jego rozkazy.

— Bodajby im tylko kiedyś — mówił ksiądz Wara — nie przyszło na własnych ojców i braci uderzać i brać ich w łyka, aby ich zamieniać w poddanych króla.

Jagienka, obok której posadzono Gniewosza, dotychczas tylko bardzo ciekawie mu się przypatrywała. Już jak tylko go obaczyła, jej żartka wyobraźnia zaczęła grać i przedstawiać jej niewidziane dotąd obrazy. Zdawało jej się, że widzi żywego przed sobą jednego z tych bajecznych rycerzy, co piją z rogu kąpiącego się w morzu, co mają głos taki, jak Stentor Homera, którym pięćdziesięciu wołających mężów przekrzyczą, co w gniewie ogromne skały rozdzierają na dwoje, co w bitwie porywają w żelazo okute konie w swe ręce i niemi swych nieprzyjaciół druzgocą, co ranni słyszą głos sławy, wołający ich z nieba i umierają w zachwycie, z niebiańskim uśmiechem na ustach. Gniewosz zdawał jej się być jednym z takich rycerzy, więc patrzyła nań z ciekawością, ale zarazem i ze zgrozą. Gniewosz, trzymający się zawsze tej starej rycerskiej zasady, „że rycerz powinien głośno bić, a cicho mówić", odpowiadał tak słodkim głosem na jej pytania i towarzyszył swym słowom takim pogodnym uśmiechem, jak gdyby ją ze słonecznego rogu obsypywał kwiatami. Bardzo ją to bawiło, jako rzecz ciekawa i nowa, ale przecież słuchała go z niepo-

kojem, ile razy spojrzała mu w oczy, zawsze zadrżała, jak gdyby ze strachu, a ile razy on ręką ruszył, nagle się odsuwała od niego, bo ją opanowywało takie uczucie, że jeżeli się tylko sukni jej dotknie, to ją stłucze, jak miskę glinianą. Bardzo ją zajmował ten człowiek, byłaby go chętnie wypytywała o różne sprawy rycerskie i pilnie słuchała, ale byłaby chciała, żeby gdzieś siedział daleko i żeby na nią nie patrzył.

Starościna czortyńska to uważała i wyprowadziła ztąd wniosek, podobno nie całkiem trafny, że Jagienka nie ma wstrętu do jej syna. To było bardzo dobrze. Ale nie uszły także jej uwagi owe rozmaite uszczypliwości Kmity, Smolickiego i księdza Wary — a to ją zniecierpliwiło. Wprawdzie kasztelanowa była nadzwyczajnie uprzejmą dla jej syna, sama wyznaczyła mu miejsce obok Jagienki i wśród rozmowy nie szczędziła mu grzeczności, co w tem położeniu miało pewne znaczenie; ale kasztelanowa słuchała także bez wstrętu owych przycinków do króla i jego dworaków, a to znów było nie dobrze. Gniewoszowa tedy powiedziała sobie: Tu nie masz czasu do stracenia, bo za parę dni mogą się zacząć kabały. I wstała pierwsza od stołu, aby przerwać te konwersacye.

Po wieczerzy mało już rozmawiano i niebawem zaczęto rozchodzić się na spoczynek. Wszyscy szli jednym wielkim korytarzem, z którego do wszystkich skrzydeł rozchodziły się drogi. Gniewosz podprowadził matkę do jej apartamentu, a kiedy jej powiedział dobranoc, ona mu rzekła półgłosem:

— Jeżeli nie jesteś bardzo sfatygowany, to przyjdź jeszcze do mnie na pogadankę; mam wiele rzeczy, o którychbym się chciała z tobą rozmówić.

W tej samej chwili Smolicki, podprowadzając Jagienkę wraz z fraucymerem, rzekł do niej na osobności:

— Waćpanna nie masz szczęścia do tych królewskich rycerzy. O tamtym powiedziano, że lekki, a ten mi się zdaje trochę za ciężki.

A na to Jagienka:

— Pan Smolicki zawsze jest krotochwilny. Przecież pan Gniewosz nie przyjechał do mnie w konkury.

A Smolicki odpowiedział jej z naciskiem:

— On zapewne o tem nie myślał, ale po to go tu powołano. Trzeba zawczasu przygotować się na to, aby ten szturm mężnie wytrzymać.

Na te słowa Jagienka zbladła jak chusta i serce jej mocno bić zaczęło, a myśli jej tak się zaćmiły, że sama nie wiedziała, którędy i jak się dostała do swojej sypialni. Znalazłszy się sama, była przez chwilę prawie bez przytomności. Wiedziała bowiem dobrze, jak absolutną i jak zazwyczaj bezwzględną jest władza rodziców i opiekunów nad dziećmi. Jak postanowią, tak się stać musi, dziecko przeciwko ich wyrokowi protestować nie może i nawet mu się nań skarżyć nie wolno. Na tę samą myśl zimny dreszcz przejął wszystkie jej członki i odjął jej władzę myślenia. Nieokreślony lęk, który ją opanował, bezdenna przepaść, która przed nią się otworzyła, widok uciekającego raju szczęścia, który sobie z Wilczkiem marzyła i wiecznej śmierci duchowej, która ją czekała z Gniewoszem, zamąciła jej zmysły do tego stopnia, że ziemia jej zniknęła z przed oczu i nie wiedziała gdzie jest i co się z nią dzieje.

Kiedy znów oprzytomniała i myśleć zaczęła, to znienawidziła Gniewosza, jak piekielnego wysłańca, a całą duszą i na wiek wieków przylgnęła do Wilczka jak do zbawczego anioła.

Myśląc potem spokojniej, zapytywała się siebie: Możeż to być, ażeby ten zacny kasztelan, najlepszy człowiek pod słońcem, co mnie tak kocha serdecznie, jak własną córkę, możeż to być, aby

kasztelanowa, taka poczciwa, taka szlachetna, taka dobra dla wszystkich, możeż to być, aby ci ludzie gwałtem mnie oderwali tego, który mi szczęście przynosi, a któremu nic nie mają do zarzucenia, i przykuwali mnie gwałtem do tego, który mi jest obcy, jak ta turma zamkowa, którego się boję, jak zwierza, dla którego mam tylko wstręt i pogardę? A po namyśle, któremu przyświecała bujna jej wyobraźnia i jeszcze z klasztoru wyniesiona skłonność do czarnego zapatrywania się na świat i ludzi, odpowiadała sobie z boleścią: Że to być może, że tak jest pewnie. Smolicki powiedział, on wszystko wie. Wszyscy się na mnie sprzysięgli.

Po takiem rozmyślaniu zapadła w ciężką i bolesną zadumę, a jej wszystkie uczucia snuły się około tej myśli czarnej i rozpaczliwej, że jest sama jedna, opuszczona, porzucona przez wszystkich, i na całym zamku nie masz jednej duszy ludzkiej, któraby miała dla niej choć jedno tchnienie litości.

W tej chwili, wśród ciszy grobowej pomiędzy zamkowemi murami, doszły jej uszu tony lutni grającej. Te dźwięczne tony, spływające gdzieś z góry, sprawiły na niej zachwycające wrażenie. Wstała i przystąpiła do okna. To Pretficz siedział na górnem piętrze w otwartem oknie swojej izdebki i grał na lutni dźwięczne piosenki. Jagience, kiedy go obaczyła, zdało się, jakby od niego bił promień światła do jej ciemnicy. Przecież jest jedna poczciwa dusza, która ma dla niej współczucie! Uczucie wdzięczności tak ją opanowało w tej chwili, że porwała bukiecik róż, który miała pod ręką i rzuciła mu go w jego otwarte okno, Pretficz go pochwycił w powietrzu i coś jej powiedział, ale słów jego nie można było zrozumieć, słychać tylko było, że mówił przez łzy. Jagienka się cofnęła w głąb izby.

Po chwili milczenia Pretficz zaczął grać znowu i grał jeszcze długo. Ta cicha i dźwięczna muzyka uspokoiła ją i nareszcie uśpiła. Po tych silnych

wzruszeniach spała snem twardym; dopiero nad ranem zaczęły się jej jakieś sny pokazywać. A wtedy jak niedawno Formozie, i jej także śnił się Cherubin, ale ten był straszny, jak syn Erebu, cały w czarne zakuty żelazo siedział na wspinającym się koniu skrzydlatym i przeszywał kopią pierś leżącego na ziemi białego rycerza — a rycerz ten zwyciężony miał anielską twarz Wilczka.

Starościnie dano pokoje gościnne obok tej małej kaplicy, którą niedawno zbudowano na cześć św. Stanisława. Sama o nie prosiła, miała bowiem zwyczaj także na zamku czorsztyńskim odprawiać swoje modlitwy w kaplicy. Kaplica tutejsza była bardzo maleńka, raczej dosyć szeroka, lecz płytka alkowa, w której na wysokości trzech schodów zbudowano ołtarz z obrazem patrona Kmity, przed którym we dnie i w nocy palił się zawieszony u stropu kaganiec i gdzie się tylko sam ksiądz mógł pomieścić z ministrantami. Podczas nabożeństwa otwierano naścieżaj szerokie drzwi, które wychodziły do dużej, wysokiej i rzeźbionemi z drzewa figurami poważnie przystrojonej komnaty, a w tej komnacie gromadzili się pobożni do wysłuchania mszy świętej. Za tą komnatą znajdowały się dwa gościnne pokoje, w których zazwyczaj mieszczono biskupów i innych dygnitarzy kościelnych, odwiedzających zamek sobieński; teraz dano je Gniewoszowej.

Wróciwszy do swoich pokojów, starościna, jak miała zwyczaj, zaraz się do modlitwy przebrała. Zrzuciła więc najprzód, co miała na sobie ze złota i drogich kamieni, bo nie godziło się wówczas z takiemi świecidłami pokazywać Bogu, potem wdziała na siebie suknię ciemną z grubego sukna, krojem zakonnym uszytą, na głowę włożyła czarny czepiec za spuszczonemi uszyma, jakie w fioletowym kolorze nosili wówczas biskupi, zawiesiła na piersiach duży krzyż ze słoniowej kości, który był po-

święcany w Rzymie, a dłużej niżeli od wieku chował się w jej rodzinie, do ręki wzięła różaniec, który jej przyniósł pielgrzym pobożny z Ziemi Świętej, potarłszy go wprzódy o grób Chrystusa Pana — a tak przystrojona i uzbrojona uklękła przed ołtarzem otwartej kaplicy do swoich modłów wieczornych.

Modliła się długo i szczerze, prosząc zapewne Boga, ażeby pobłogosławił jej zacnym zamiarom, które właśnie zabierała się spełnić w celu podniesienia i uświetnienia rodziny Gniewoszów, rodziny nie jej własnej, bo w nią weszła z domu Magierów, ale której tradycyę, ducha i wszystkie uczucia wzięła w siebie zupełnie i obyczajem chrześcijańskiego świata, zrosła się z nią, jak ze swoją własną.

Gniewosz, wszedłszy do tej komnaty, będącej w tej chwili jakoby nawą kościoła, i obaczywszy matkę zatopioną w modlitwach, przybliżył się na palcach do kaplicy, a ukląkłszy w jej progu, zaczął także się modlić. Albowiem Gniewosz był także nabożnym, ale sposobem ówczesnych rycerzy, którzy mieli się za żołnierzy, obowiązanych bronić powagi korony, której blask opromieniał ich pancerze i chełmy, i całości królestwa, które ich chlebem karmiło, lecz zarazem czuli się zbrojnymi kapłanami tej świętej wiary, która im otwierała Królestwo niebieskie, a za którą zawsze byli gotowi przelać krew swoją. Pod owe czasy te dwa urzędy były nierozdzielne w rozumieniu chrześcijańsko-katolickich narodów: biskupi w złociste ubierali się zbroje, pasowali szlachecką młódź na rycerzy i prowadzili wojny w obronie Kościoła i swoich episkopatów — a świeccy rycerze zostawali niejednokrotnie proboszczami, prałatami, biskupami, chociaż kapłańskich święceń nie mieli. Obyczaje te przyjęliśmy w części od Europy zachodniej, w części zaś od Krzyżaków, o których cheśmy się od lat tak wielu wciąż ocierali; ale Gniewosz miał je głębiej wpojone niż inni, bo

przez lat kilka uczył się rzemiosła wojennego u królów i książąt niemieckich i tam pasowan był na rycerza. Religijne pojęcia tych kapłanów-rycerzy nie były bardzo głębokie. Wiara ich była wprawdzie napozór bardzo gorąca, ale nie całkiem ślepa: modlili się przed bitwą, nosili amulety, czynili śluby, ofiarowywali się swoim patronom, ale przedewszystkiem wierzyli w pięść swoją, byli przekonani, że tylko temu Pan Bóg pomaga, kto sam sobie pomaga, a dewiza Kergolaja: *Ayde toi et Dieu t'aydera* była ich wszystkich dewizą. Ale wiara ich, utopiona w obrządkach religijnych była niezmiernie przesądna, obok swej pięści wierzyli w działanie sił nadprzyrodzonych, w istnienie duchów, cudów i czarów, lada gra wyobraźni wywierała na nich wrażenie rewolucyjne — a te żelazne postacie nietylko przed rozumnym rozkazem, ale przed jakimkolwiek kaprysem ojca lub matki, przed groźbą fanatycznego księdza z ambony, przed lada zaklęciem na karę boską lub duszy zbawienie, uginały się jak lalki woskowe i dawały się prowadzić jak dzieci.

Kiedy starościna skończyła swoje pacierze i wstała z klęczek, to miała twarz wypogodzoną i głowę podniosła do góry, jak gdyby modlitwa ulżyła jej sercu i rozjaśniła jej umysł — a kiedy i syn jej skończył swój pacierz wieczorny, siadła w głębokiem krześle obok kaplicy, posadziła go naprzeciw siebie i zawiązała z nim długą rozmowę.

— Jakże ci się powodzi od czasu, jakem cię nie widziała? — spytała go z wielką powagą.

— Mnie się powodzi jak zwykle — odpowiedział Gniewosz — czasem muszę pracować za innych, bo król na mnie łaskaw, ale nie skarżę się na to, boć to mój obowiązek.

— Na pracę nigdy się skarżyć nie trzeba, idzie

tylko o to, żeby znachodziła nagrodę. Jakież tam masz teraz widoki?

— Na teraz żadnych. Sądzę, że jeśliby jaka mniejsza kasztelania zawakowała, to król by mi jej nie odmówił, ale dotychczas niemasz wakansu.

— Przecież wakuje kasztelania sanocka.

— Och! o tej niema co myśleć — rzekł Gniewosz — wodzą się o nią za łby Balowie z Kmitami, chociaż ja tak rozumiem, że z nich żaden jej nie dostanie.

— Dlaczegoż tak rozumiesz?

— Bo król, oprócz Piotra, wszystkich Kmitów nie lubi, a Balowi jej nie da, bo Kmitowie nie cierpią Balów, więc znowu król nie chciałby Kmitów do żywego urazić.

— Więc możeby właśnie teraz o nią uderzyć?

— Myślałem o tem aż do podróży lwowskiej. Ale teraz się rozmyśliłem, bo mi się zdaje, że król wziął we Lwowie kogoś na oko i temu ją przypnie.

— Któżto jest taki?

— Kergolaj.

Tu Gniewoszowa się przez oka mgnienie zastanowiła, widać było, że ta nowina była dla niej niespodziewana, ale nie dała tego poznać po sobie, owszem powiedziała przeciwnie:

— Chociaż Kergolaj nie jest całym Polakiem i bardzo wielu jest lepszych od niego, jednak by mnie wcale to nie dziwiło, bo ma koligacye. Kmitowie i Lanckorońscy, a do tego ci wszyscy, co z nimi są spokrewnieni, to jest potęga, z którą i królowie liczyć się muszą, choć czasem nie chcą. I myśmy mieli koligacye i jeszcze nam coś z nich zostało, ale wszystko to zaprzepaścił pan Gniewosz z Dalewic...

Gniewosz milczał, a jego matka tak dalej mówiła:

Przez tyle wieków przodkowie nasi krwią

swoją i zdrowiem zarabiali na sławę, a ich potomkowie ją pomnażali, on wszystkich zaćmił — i odtąd cała nasza wiekowa sława się zapomniała, a my żyjemy jego niesławą. Sto lat od tego czasu minęło, twoi ojcowie oddzielili się od jego szczepu, zmienili herb, zaczęli się pisać z Oleksowa, ale i to się na nic nie zdało. W tych wszystkich powiastkach o jego oszczerstwach przeciw królowej Jadwidze, niemasz ani jednego słowa prawdy, owe haúbiące sądy i wyrok na niego były haniebnym jego wrogów wymysłem, nigdy go nikt nie oskarżał, nikt go nigdy nie sądził; został przecież jeszcze potem starostą ruskim i podkomorzym krakowskim, a i na grunwaldzkiej hetmanił chorągwi... Ale cóż z tego, kiedy ludzie, jak skoro jaką plotkę ukochają, to nietylko prawdy nie widzą, ale nawet widzieć jej nie chcą. Co więcej, ktokolwiek chce z nimi żyć w zgodzie, musi im tę plotkę powtarzać, bo prawdą jeszczeby ich oburzył na siebie. Ot jeszcze niedawnym czasem ksiądz Długosz, chociaż człek taki rozumny i mógł się prawdy od ludzi współczesnych dowiedzieć, także tę plotkę, jak słyszę, w swoje kroniki włożył, a nawet jeszcze ją przyozdobił. Niech mu Bóg nie pamięta: nam wielką krzywdę wyrządził, a nie wiem zaprawdę, komu tem dogodził.

Na to zaś rzecze Gniewosz, chcąc to cierpkie uczucie swej matki ile możności osłodzić:

— Jużci i mnie ta plotka o naszym stryjecznym pradziadzie daje się czasem uczuwać i gdybym nie miał ręki tak silnej, że z nią nie każdy chciałby się zmierzyć, to może już nieraz byłoby mi przyszło bronić jego dobrej sławy żelazem. Ale ja tam temi plotkami nie bardzo się gryzę, bo tak rozumiem, że dobre są koligacye, ale przecież najwięcej waży własna zasługa. Toż ja na protekcye, jakieby z koligacyami na mnie spłynęły, wcale się nie oglądam, jeno służę mojemu panu uczciwie i wiernie i tak się spodziewam, że mi to swego czasu poli-

czonem zostanie. Nie równam się z Kergolajem, ani go sobie biorę za przykład, bo to tam inny umysł jest u tego człowieka, ale to muszę powiedzieć, że i on nie przez protekcyę zakradł się w łaskę królewską, jeno tem, że knuje tam po Włoszech i Francyi jakieś polityczne kabały dla króla, może mu jeszcze i inne oddaje przysługi...

Jednak to zapatrywanie się zapewne nie całkiem odpowiadało starościnie w tej chwili, bo na to tak mu odpowiedziała:

— Mój drogi, nikt mocniej odemnie na tem nie stoi, ażeby człowiek swoich zaszczytów dorabiał się własną zasługą. A przecież dlatego, ażebyś mógł służyć skutecznie, pilnowałam ciebie z taką troskliwością, a nawet i z surowością w naukach w Krakowie, dlatego także, kiedyś już podrósł, wyprawiłam cię z takim sumptem, może nawet nad moje siły, a może także z małą krzywdą dla twoich braci, na dwory książąt i królów niemieckich, gdzieś się też służby rycerskiej tak dobrze wyuczył, że ją znasz lepiej od wszystkich innych. Niełatwo to było otrzymać dla ciebie zaszczytną funkcyę u dworu, ale mojem usilnem staraniem i to się udało. Wielką to było dla mnie pociechą, żeś umiał naszemu dzisiejszemu królowi przypaść do serca, a dumną byłam z tego i jestem, żeś się walecznością u jego boku odznaczył nad innych, żeś go w potrzebie własną piersią zasłaniał, żeś nawet z nim dobrowolnie poszedł w niewolę, chociaż, jak wielu innych, mogłeś się od niej ochronić... Tak, jeszcze raz to powtarzam, dumną jestem z tych twoich uczynków i wdzięczną ci jestem, żeś moje trudy i poświęcenia tak sowicie nagrodził.

Tu Gniewoszowi, człowiekowi czułego serca, łzy zakręciły się w oczach, zerwał się z krzesła, ukląkł przed matką, a całując obiedwie jej ręce, zawołał wzruszony:

— Nie syn, moja matko, ale Bóg tylko po-

trafi waszej miłości te wszystkie trudy nagrodzić. Nieraz to rozważałem u siebie, dlaczego mi się cokolwiek więcej macierzyńskiej miłości dostało niż moim braciom — i było to zawsze i będzie potężną dla mnie ostrogą, ażeby tę miłość wdzięcznie odsłużyć. Czy dojdę kiedyś do tego, w Boskiem to ręku. Mnie wszakże pewnie ani woli, ani wytrwania nie braknie — a jeśli o co się najgoręcej modlę do Pana Boga, to o to, ażebym mógł każdym moim postępkiem rozradować serce mojej najukochańszej matki.

Gniewosz mówił to głosem głęboko wzruszonym, ale na starościnie nie widać było prawie żadnego wzruszenia: wyglądała ona jak mistrz grający na lutni, z której wydobywa płacz, jęki i tony radosne, pod jego palcami drżą wszystkie struny po jego woli, ale on sam jest zimny i tylko patrzy, aby mu która struna nie wydała rozdźwięku. Starościna ścisnęła swojego syna za głowę i rzekła:

— Dziękuję ci za tę miłość synowską, o której wszakże nie miałam nigdy powątpiewania, ale usiądź sobie napowrót i mówmy dalej spokojnie. Ty masz wszystkie zalety, jakich można wymagać po szlachetnym młodzieńcu, ale jeszcze brak ci doświadczenia. Ty lekceważysz koligacye, protekcye i wpływy rodzinne — a przeto nie znasz tej Polski, której jesteś obywatelem. Ty nie znasz nawet i króla, chociaż go codziennie widujesz i szczycisz się jego ufnością. O tym królu i o tem królestwie najwierutniejsze bajki chodzą po kraju i wszyscy je powtarzają, bo wszyscy ślizgają się po wierzchu, a nikt się nie stara dno zmacać, bo też i nie każdemu do niego się dostać. Grzegorzów z Sanoka, Kallimachów i Ostrorogów niewielu jest między nami — a jeśli są, to ich głosy nie rozchodzą się po kraju, bo ledwie się z ich ust wydobędą, wrzaskliwa szlachta je zaraz przekrzyczy. O królu najrozmaitsze i najsprzeczniejsze obiegają powieści. Po-

wiadają o nim, że panów chce podbić pod swoją władzę, że szlachtę chce obrócić w żołnierzy, że dąży do *absolutum dominium*. Azaliż był jaki król na tym świecie, któryby nie pragnął w swem sercu wzmocnienia i rozszerzenia swej władzy? Ale nie o to idzie, tylko o to, co rzeczywiście zrobić chce i co zrobić może. A nad tem się nikt nie zastanawia rozumnie; ale ja ci to powiem. Król wie bardzo dobrze, czego tej naszej Polsce potrzeba, ażeby się wewnątrz wzmocniła i stanęła narówni z drugiemi królestwy i także wie dobrze, czego jemu potrzeba, ażeby tą Polską mógł rządzić bez wstrętów, a ku pożytkowi korony i kraju. Nikt temu panu, kto go zna bliżej, nie odmówi doskonałego rozumienia celów, do których dążyć powinien; ale do osiągnięcia tych celów stoją mu dwie przeszkody na drodze. Jedna w tem leży, że zanadto lubi swawolę, zaczem idzie, że bardzo często od takiej roboty, którą sam mądrze rozpoczął, która może się udać, tylkoby nad nią trzeba posiedzieć, oderwie go jakaś pustota, o której nawet nie godzi się mówić. Pustotaby mu nie uciekła, ale robota uciekła, a potem niepodobna już do niej powrócić. Czy nie tak?

— Czasem i to się wydarza – powiedział Gniewosz, a starościna mówiła dalej:

— Nie czasem, lecz bardzo często. Druga zaś przeszkoda jest w tem, o czem Kallimachowie i Ostrorogowie nie wiedzą, że każdemu królowi najprzód na tem zależy, ażeby się przy swojej koronie utrzymał i aby ją swoim przekazał następcom, co też jest jego obowiązkiem względem jego ojczyzny, bo niemasz państwa bez króla, jakośmy to już w czasach przedłokietkowych widzieli — a dopiero potem ma o to się starać, ażeby królestwo swoje wzmocnić i naprawić. Owóż ta naprawa nie taka to rzecz łatwa, jak się królewskim doradcom wydaje, bo aby rząd wzmocnić, potrzebaby szlachtę

wziąć w kluby — a ta szlachta już tak się rozrosła i przyszła do takiej potęgi, że aby ją zmniejszyć, potrzeba ją łamać, a jakby się łamać zaczęło, to kto wie, coby tam pękło, czy prawa szlachty, czy prawa korony. Łatwo to Kallimachowi mieć do tego odwagę, bo on nie ma nic do stracenia, coby mu to szkodziło, gdyby król zaburzenie wywołał, gdyby musiał uciekać z kraju i gdyby tymczasem obcy rozdrapali królestwo, cośmy już także widzieli? Ale król takiej odwagi mieć nie może i mieć nie powinien. I ja tobie powiadam, że głupi są ci, co się boją królewskich zamachów na prawa szlacheckie, on zawsze będzie miał rozmaite rozumne zamiary i zawsze się będzie zapędzał, aby je wykonać, ale nigdy ich nie wykona, bo szlachta z prawdziwym strachem, albo z udanym, zawsze przeciwko tym zamiarom postawi się jeżem, a król zawsze się cofnie, bo nie zechce wystawić na szwank swojej korony. Jest w tem mądrość, jest głupstwo, jest obojga potrosze, jak zwykle we wszystkiem, z czego rozum ludzki się składa.

Tu starościna odetchnęła cokolwiek, a potem taki zwrot nadała swej mowie:

— Król nie rozumie panów, stojących na czele szlachty, a panowie nie rozumieją króla — i w tem leży klucz do tej zagadki, nad którą sobie nieraz głowy łamiemy. Jeżeli bowiem panowie naprawdę obawiają się królewskich zamachów, to jest to strach urojony, bo przecież mają swoje miecze przeciw tym zamachom i wiedzą dobrze, że król, mający tylko półtora tysiąca ludzi swojego zbrojnego dworu, musi koniecznie liczyć się z ich mieczami. Jeżeli zaś król się obawia, ażeby mu panowie nie przewrócili tronu i nie rzucili Polski w nowe podziały, to także się boi upiora, którego sam tylko widuje, bo dzisiejsi panowie nie tacy próżni, ażeby ten tron przewracali, z którego spływają na nich starostwa, urzędy i wszelkie zaszczyty, a którego promienie

są jedynem światłem, w którem ich maleństwo wyrasta w oczach ludzkich do jakiejś wielkości. Najmożniejsi panowie zmaleliby w karły, gdyby przestali być filarami tego tronu, na którym pomazaniec Boży siedzi w swym majestacie. a nawet prędkoby potracili swoje majątki, gdyby nie stanowili wspólnemi interesami spojonego ze sobą stanu i gdyby ten stan nie miał w królu pewnej obrony. Tak obiedwie strony boją się stracha, którego sobie same zmyśliły; jakoż tak rozumiem, że z obojej strony ten strach jest udany. Ale jeżeli która z tych stron ma słuszne powody do pewnych obaw, a przeto do ostrożności w postępowaniu, to król, a nie panowie. Bo panowie ze szlachtą stanowią tłum wielki — a tłumy to mają do siebie, że trudno im o rozwagę, zaczem często dają się porywać namiętnościom i zaślepieniu. Dlatego król, który wie o tem, zawsze będzie się liczył z panami i zawsze będzie ulegał ich wpływom. Cóż tedy ztąd dla ciebie wynika? Oto, że dobrze mieć króla za sobą, ale że nie należy na tem przestawać, bo pańska łaska na pstrym koniu jeździ, dziś jest, jutro jej niema, a często nawet i wiedzieć nie można, dlaczego nas opuściła. Król ma swoje humory, ktoś mu jakąś plotkę powiedział, ktoś inny oddał mu milszą przysługę, wczoraj mu Gniewosz przyrósł do serca, a dzisiaj zakochał się w Kergolaju. Obok łaski królewskiej trzeba mieć koligacye, bo przez nie ma się protekcye i wpływy; kiedy łaska pańska się odwróciła, to one i tylko one mogą ją na powrót przywrócić... Przywrócić, a w razie potrzeby nawet do niej zniewolić. Koligacye, to ważna rzecz wszędzie, a w naszej Polsce niezbędna, bo u nas są one potęgą, która o losie każdego człowieka stanowi, a której nawet sam król oprzeć się nie może. Kmitowie i Tarnowscy najpierwsze dziś miejsca zajmują w tem naszem królestwie, są spokrewnieni ze wszystkiemi zamożniejszemi rodami, kto ich ma, ma

wszystkich za sobą. Jabym to uważała za największe szczęście dla ciebie, gdybyś się z nimi spokrewnił. Powiedzże mi, jak ci się podobała Jagienka?

Gniewosz zrazu wcale się nie domyślał, do czego ta przemowa jego matki zmierzała. I teraz jeszcze jej nie całkiem zrozumiał, wszelako te ostatnie słowa bardzo go niemile piknęły. Jednak odpowiedział ze zwykłym sobie spokojem:

— Jagienka bardzo wdzięczna dziewczyna. Zdarzą się tacy, którym się może nawet bardzo podoba, ale mnie wcale nie przypadła do serca.

— Co tam serce! zawołała na to przytomnie starościna — największe głupstwo ten robi, kto w sprawie postanowienia radzi się serca. Widziałam ja już takich małżeństw niemało: gorące szczęście na razie zawsze tam potem w gorących łzach utonęło. Po jednej słonecznej wiośnie na wszystkie późniejsze pory roku dżdżyste mgły się pokładły i w takich mgłach potem całe życie minęło. Szczęście to jeszcze, jeżeli serdeczna miłość nie zamieniła się w serdeczną nienawiść, bo wtedy i występków, a czasem i zbrodni nie brakło. Mogłabym ci całe setki takich naliczyć przykładów. Kiedy tymczasem wszystkie małżeństwa zawarte z rozwagą, wszystkie, jakie znam, a znam ich daleko więcej, trwają w niezamąconem szczęściu. Szczęście to zresztą łatwo daje się wytłómaczyć, albowiem takie małżeństwa zawierają się zwykle z wyboru rodziców, temu wyborowi przyświeca jako gwiazda przewodnia szczera i żadnemi ubocznemi względami niezamącona miłość dla ich dziecka, wola ich wypływa zatem z Bożego natchnienia i dlatego też takim małżeństwom towarzyszy błogosławieństwo Boże...

Gniewosz miał temperament nadzwyczajnie spokojny. Najwięcej niespodziewane zdarzenia przyjmował zazwyczaj tak zimno, że ani jedna żyłka mu nie drgnęła na twarzy, owszem, im więcej nieprze-

widziane spotkało go nieszczęście (bo i to już mu się nieraz zdarzało), z tem zimniejszą krwią patrzył mu w oczy, a zawsze z uśmiechem na ustach. Prócz w bitwie, gdzie krew unosi człowieka i gdzie żaden rycerz jej w sobie nie chłodzi, bo ona go niesie do sławy, raz tylko go serce uniosło, a to przed trzema dniami, kiedy porwany miłosnym szałem przysiągł wierność Formozie. Ale teraz tak mu się duszno zrobiło, że musiał rozpiąć swój kaftan pod szyją, a zarazem tak mu się w głowie zaćmiło, że nawet swojej matki nie widział przed sobą. Wszakże ile możności nie dał poznać tego wzruszenia po sobie; tymczasem zaś starościna przechyliła się cokolwiek ku niemu i z nieprzebraną dobrocią w sercu, a żywą radością w głosie tak dalej mówiła:

— Kiedy ty służysz twemu królowi we dnie i w nocy i nawet nie masz czasu pomyśleć o sobie, ja upatrzyłam żonę dla ciebie, a Pan Bóg tak mi pobłogosławił, że gdybym była przedeptała całe królestwo, to nie byłabym znalazła nic wspanialszego. A nie myśl, żebym sobie postępowała lekko w tym ważnym terminie, bom bardzo skrzętnie wszystkie informacye zebrała i nie zapomniałam o niczem. Wiedzże o tem najpierwej, że matka Jagienki szła z rodu Hunyadów, w którego żyłach królewska krew płynie i że tam w całem królestwie węgierskiem mało jest domów książęcych, którym przez matkę nie byłaby krewną. Z ojca zaś jest Kmitówna, a przeto jej parenteli w Polsce nikt nie przewyższy. Majątków ma trzy: jeden w Węgrzech, drugi pod Bieczem, a trzeci na Szląsku, podobno wszystkie trzy średniej wartości, ale majątek da się łatwo pomnożyć i zaokrąglić. Natomiast zaś ma prawdziwe zalety umysłu i serca. Widywałam ją, kiedy jeszcze była u panien Klarysek, poczciwe i śliczne było to dziecko, panny chciały ją do klasztoru sposobić, nie udała im się ta sztuka, bo umysł zanadto górny i dumny był w tej dziewczynie, co też inaczej nie

mogło być, jak skoro z ojca i z matki urodzoną jest do książęcych splendorów, a nie do klasztornej pokory. Ale panny dały mi o niej jak najlepsze świadectwo. Tutaj mam ją od kilku tygodni wciąż przed oczyma, wybadywałam ją jak inkwizytor o wszystkie jej sentymenty i wszystkie opinie, a wiesz, że znam się na ludziach; otóż ci powiem, że jest zacna do gruntu, nigdy żadna myśl nieszlachetna nie postała w jej głowie, nigdy żadne niechrześcijańskie uczucie nie odezwie się w jej sercu, umysł ma wzniosły i wie, że nie ostatnie miejsce jej się należy pomiędzy ludźmi, ale tego nam właśnie potrzeba. Wstań zatem—skończyła starościna z lekko tryumfującym uśmiechem—i nie mnie, ale tu przed ołtarzem podziękuj Bogu, że takie szczęście zesłał na ciebie.

Ale Gniewosz nie ruszył się z miejsca. Może jeszcze nie zmierzył przepaści, nad którą jego matka go postawiła, bo jeszcze nie wiedział, jak daleko posunęła tę sprawę, ale trafnym wiedziony instynktem, zajął odrazu stanowisko obronne.

— Dziękuję z całego serca waszej miłości — odpowiedział jej z wdzięcznym uśmiechem — żeście się tak szczerze moim losem zajęli. Niemasz wątpienia, że Jagienka przyniesie swemu mężowi znaczny majątek, wysokie koligacye i wpływy. Ale gdybyśmy się z naszej strony już na to zdecydowali, to jeszcze nie wiemy, jak tam te rzeczy stoją z jej strony. Pannie podobno konkurentów nie braknie. Powiadano mi o tem różne historye we Lwowie. Kergolaj stanął jawnie u niej na służbę i pewnie go nie odprawiono, bo inaczej jako jest człowiek rycerski, samby o tem nie gadał. A oprócz niego jest jeszcze i Wilczek, o którym mi Kamieniecki wspominał...

Starościna, jako kobieta rozumna, umiała podleźć, gdzie nie mogła przeskoczyć, ale jak co postanowiła, to trwałą z męzkim uporem przy swojem

postanowieniu, a gdzie czuła władzę przy sobie, tam nie znosiła oporu. Jakoż przerwała synowi i zawołała z niecierpliwością:

— Kergolaj! Wilczek! a co waść gadasz? Przecieżem ci już powiedziała, żem się pierwej zainformowała jaknajdokładniej, nimem powzięła decyzyę. Nie po tom ci tu kazała przyjeżdżać, ażebyś sobie nos rozbił o jaką przeszkodę. Kergolaj, to tam żarty niewczesne, a nawet i nieuczciwe. Przecież to człowiek czterdziestoletni, a do tego jeszcze jest stryjem Jagience. Zresztą wiedzą to już i tutaj, że w drodze po różę do Jerycho uszczknął jakąś piwonię we Lwowie... Wilczek tu był, to prawda, przysiadał się często do panny, różne tu supozycye obudził; ale Wilczek, może ty o tem nie wiesz, tu jednak wróble o tem świstają, jest zaręczony z córką jakiegoś putnego bojara, a jeślim jego gadatliwego sługę dobrze wyrozumiała, to nawet więcej niż zaręczony... Mimo to byłam przecież przezorną jak matka, która niezamącone szczęście pragnie sporządzić swojemu dziecku i bardzo pilnie wybadałam Jagienkę o Wilczka. I mogę ci na to przysiądz, że Wilczek tak jest jej obojętnym, jak Smolicki albo ksiądz Wara. Przeciwnie zaś uważałam, że na ciebie z upodobaniem patrzała i jestem pewną, że za dzień albo dwa dni będziecie z sobą, jak gdybyście się znali od dziecka.

Ta energiczna przemowa sprawiła ckliwe na Gniewoszu wrażenie, bo widział, że matka upiera się przy swojem, jednak bronił się dalej jak mógł, mówiąc spokojnie:

— Jam tego wcale po Jagience nie spostrzegł. Owszem, zdawało mi się, żem się jej ani kęs nie podobał. Ale choćby tam może, z czasem.. to mi i to jakoś niebardzo się zdaje, aby mnie kasztelaństwo tak zaraz przyjęli, zwłaszcza, że panna jeszcze bardzo młodziutka i nie potrzebuje się śpieszyć. Gniewoszowie tam wprawdzie nie ustępują Tarnow-

skim i Kmitom w starożytności, ale im do nich dosyć daleko w świetności i wszelakiem znaczeniu. A ja tam znowu tak bardzo wiele nie rozumiem o sobie. Rotmistrz królewski i starosta czorsztyński, takich dygnitarzy jest w Polsce jak mrowia, a Kmitowie wcale nie potrzebują schylać się do nich po zięcia...

Ale starościna znów mu niecierpliwie przerwała, mówiąc z ironią:

— A już mi znowu usiłujesz dowodzić, żem głupia. Przecież dopiero co powiedziałam ci dość zrozumiale, żem cię nie po to tu zawezwała, ażebyś się na przeszkodach potykał. Wszystko to już jest ułożone. Kasztelan się w takie sprawy nie miesza, jeno je zdaje na żonę, a z kasztelanową mówiłam o tem nie raz, ale dziesięć razy, i codzień o tem mówimy. Jesteś przyjęty, choćby i jutro się deklarować.

Dopiero te ostatnie słowa uderzyły jakby piorunem w flegmatyczny temperament Gniewosza. Na te słowa jasno mu się zrobiło w głowie i wszystka krew uderzyła do twarzy. Jak to? Dopiero przed trzema dniami przysiągł Formozie miłość i wierność do grobu — a tu już jutro ma się deklarować o inną? Jego miłość dla Formozy może w tej chwili umilkła, ale zato tem raźniej stanęła mu przed oczyma przysięga na krzyż Pański i na honor rycerski. On miałby złamać taką przysięgę? Nigdy, za żadną cenę. Jakoż gdyby kto inny był mu myśl taką podsunął, to jużby go był pochwycił w swoje żelazne ręce i rozdarł na ćwierci, a ćwierci porozrzucał na cztery wiatry.

Ale tę myśl poddawała mu matka. Matki rozdzierać nie można, co więcej, matki słuchać potrzeba, bo tak nakazuje dziesięcioro Bożych przykazań, a te przykazania są ewangelią dla każdego rycerza. Matki nawet obrażać nie można, bo temu sprzeciwia się już nietylko Boże przykazanie, ale nawet wro-

dzone uczucie ludzkie. Ale czy matka wie o tem, jaką myśl mu poddaje? Oczywiście nie wie. Więc trzeba jej to powiedzieć.

Gniewosz wstał i przeszedł się dwa, albo trzy razy wzdłuż komnaty, ażeby się namyślić, jakiemi słowy ma przed nią się wyspowiadać z tej tajemnicy swojego serca, a tymczasem starościna, spojrzawszy z niemałem zdziwieniem po raz i drugi na niego, spuściła głowę na piersi, złożyła ręce przed sobą i mówiła jakby do siebie:

— Jakżeż niewdzięczną jest rola rodziców na świecie! Jam tyle trudów, często wcale nieznośnych, tyle prac, nieraz z upokorzeniem mojej godności, tyle wysileń, niejednokrotnie nadludzkich, nałożyła na moje słabe barki kobiece, ażeby ci drogę uścielić do szczęścia; ja teraz, także trudem niezwykłym otrzymałam dla ciebie panienkę, której związki rodzinne postawią cię odrazu pomiędzy najpierwszymi panami królestwa, a ty to przyjmujesz tak zimno i objętnie, jak gdyby wszystkie wojewodzianki darły się o ciebie. Cóż to jest?—spytała, budząc się i patrząc ciekawie na niego—czyś tąm tak zbutniał na dworze królewskim, a tylko skromnego udajesz? Czy może inni cię kędyindziej swatają? Przecież przed matką nie będziesz chował tajemnic.

Zaczem Gniewosz siadł napowrót naprzeciw matki, przegiął się ku niej, a nabrawszy odwagi, rzekł głosem pełnym szczerości:

— Matko moja kochana, do czegom się miał przyznać dopiero po czasie, to już teraz muszę powiedzieć. Nie może to być, abym się żenił z Jagienką, bo właśnie teraz poznałem inną dziewicę we Lwowie i tę chciałbym pojąć za żonę.

— Inną? — zapytała starościna, odsuwając się w głąb krzesła od niego—któż to jest taki?

— Jest to panna Muryssonówna, herbu Mora, daleko wspanialsza od Jagienki, a idą też na nią daleko znaczniejsze majątki.

— Nie słyszałam nigdy o Muryssonach — rzekła na to cierpko Gniewoszowa—musi to być jakaś szlachta z wielkopolskich chodaczków, co się zbogacili na Rusi. Nigdy też na to nie pozwolę, ażebyś się umorysał Muryssonami.

— Ale to bardzo słuszna jest szlachta — powiedział jej Gniewosz — ojciec panny Formozy był starostą trębowelskim, a matka jej była właśnie Kmitówna.

— Kmitówna? — zawołała starościna zgryźliwie--musiała to być jakaś Kmitówna z bardzo szarego końca, kiedy poszła za Muryssona! — Poczem dodała sucho, ale jeszcze nie bardzo stanowczo: — Ja na takie małżeństwo mojego pozwolenia ci nie dam. Podobała ci się, więc o niej zapomnisz, a z tą się ożenisz.

Tu Gniewosz rozumiał, że zamach ten teraz jednem słowem odeprze, bo zaczerpnąwszy oddechu, powiedział głosem pogodnym i dźwięcznym:

— Jużcibym ja rad pójść za wolą mojej kochanej matki, ale nie mogę, bo z tamtą jestem po słowie.

— Jakto? — zawołała starościna, przechylając się ku niemu i patrząc mu w oczy—po słowie? po deklaracyi? i po zaręczynach? i to wszystko bez opowiedzenia się matce? Ach! takiego despektu przecieżem się nie spodziewała po tobie!

Na te słowa, nie będąc na nie przygotowany, Gniewosz się zmieszał i odpowiedział głosem niepewnym:

— Dałem słowo od siebie i wziąłem od niej, zaręczyn jeszcze nie było...

— Więc cóż? — zawołała starościna z niecierpliwością i z gniewem— bo żemną trzeba gadać na rozum. Panna chce iść za ciebie, ale panu Muryssonowi pan Gniewosz za mały? he? i nie chce zezwolić? Albo są jakie inne przeszkody?

Na to pytanie Gniewosz uczuł, że jego broń,

którą się spodziewał zwyciężyć, zaczyna się kruszyć, jakoż już prawie jąkając się odpowiedział:

— Jest jedna przeszkoda, bo panna jest tymczasem zamężna..

— Zamężna! — zawołała starościna z niecierpliwem zdziwieniem — cóż to ma znaczyć? Coś mi tu bredzisz. Panna.. zamężna tymczasem... niechże kto zrozumie. Cóż to jest? Wytłómacz się jasno.

Tu Gniewosz już dobrze zrozumiał, że temi argumentami nie obroni swojej sprawy przeciwko trzeźwemu rozumowi swej matki, mówił jednak jak mógł:

— Moja matko kochana, sprawa to bardzo prosta i jasna. Panna Muryssonówna, po zamordowaniu jej rodziców przez Tatarów, dostała się sierotą w dom zacny ormiański, ale tam ze zbytecznej troskliwości o jej los przyszły, wydano ją przeciw jej woli za młodzieńca ormiańskiego, z którym ona żyć nie chce, a nawet nie może. Ta kobieta bardzo mi przypadła do serca, zmówiłem się z nią...

Ale w tej chwili starościna zerwała się z krzesła, jak oparzona, chwyciła się obiedwiema rękami za głowę, potem obiedwie ręce podniosła do góry, a chodząc wielkiemi krokami po komnacie, wołała do siebie:

— Ach! ach! ach! otóż to jest historya! Muryssony! Ormiany! Panna, kobieta, mężatka! Tam szuka się żony!

Poczem przystąpiła do syna, który wstał także i z wielką niecierpliwością a głosem blizkim rozpaczy tak do niego mówiła:

— Ależ ty, panie bracie, jak widzę, na czysto zwaryował! Ciebie Pan Bóg, ciebie już nawet i rozum odstąpił! Gniewosz, pan z panów, najstarożytniejszy szlachcic w królestwie, pasowany na rycerza przez cesarza niemieckiego, rotmistrz kró-

lewski i jeden z najpierwszych starostów... ty włazisz w domy ormiańskie, ty się do mężatki zakradasz, ty się z nią zmawiasz—i to tam ślub ma być z tego? Komuż ty takie brednie wyplatasz?.. Jeżeliś już upadł tak nizko, że się nie wahasz kumać z hołotą kupiecką, jeżeliś swe obyczaje tak oplugawił, że się nie wzdrygasz uwodzić kobiety zamężnej, jeżeliś tak zgłupiał, że przy wszeteczeństwach roją ci się śluby małżeńskie po głowie, toż przynajmniej mnie nie miej za taką głupią, ażebym takim opowieściom wierzyła!

Poczem znów łamiąc ręce i mocno sapiąc od gniewu i oburzenia, zaczęła chodzić wielkiemi krokami po izbie.

Natenczas Gniewosz już zwiądł zupełnie. Był wprawdzie tego świadomy, że miał czyste sumienie, lecz widział zarazem jasno, że tego kroku, jaki zrobił we Lwowie, nie zdoła obronić przed matką. Jej rozum, zgodny z duchem obyczajów ówczesnych, jej silna wola, jej temperament gwałtowny, wzmocnione i podniesione macierzyńską powagą, która pod owe czasy była władzą istotną, wzięły nad nim górę jaknajzupełniej. Gniewosz czuł, że siła oporu całkiem go opuściła. Bronił się jeszcze, ażeby się przynajmniej usprawiedliwić i zaczął mówić:

— Ale, moja matko kochana, takich tam ciężkich grzechów niemasz na mojem sumieniu. Murysonowie to naprawdę ród starożytny i zacny. Córka ich błyszczy najwspanialszemi cnotami i w całem mieście w wielkiem jest poważaniu. Ten dom ormiański zasypałby swemi bogactwami niejednego wojewodę lub kasztelana; przecież sam król był tam z nami w gościnie. Panna jest wprawdzie zamężna, ale przeciw swej woli, a na to są przecież rozwody. Sam król mi obiecał...

— Głupiś! — zawołała na to starościna, nie umiejąc już wcale opanować swojego oburzenia —

rozwody! głupiś, jak but, kiedy takie rzeczy powiadasz. A przecież my jesteśmy członkami Kościoła, a w naszym Kościele niemasz rozwodów. Trzeba być poganinem, ażeby o tem nie wiedzieć. Król! — właśnie też król może coś Kościołowi rozkazać! Jak podłą gadzinę rozdeptałby papież takiego króla, coby mu się chciał wtykać w jego sprawy kościelne. Głupstwo i głupstwo jedno na drugiem, że człowiek własnym uszom nie wierzy. Albo i to? mężatka a panna — czy słyszał kto kiedy co podobnego?!

— Ależ, moja matko — wybąknął znów Gniewosz — ja tylko to mówię, co wszyscy wiedzą we Lwowie i co ona sama mi potwierdziła. Jest od roku zamężną, ale...

— Ale co?! — krzyknęła na to starościna, przyskakując do niego i prawie już pieniąc się od gniewu—od roku z młodzieńcem zamężna i panna? A toś ty już zgłupiał, jak chłop, co mu kołtuny mózg ze łba wyssały! Ona sama ci się do tego przyznała? A toż to musi być baba bezczelna, co jeszcze samego dyabła w pole wywiodłaby!.. I takie rzeczy dzieją się tam w tym Lwowie, co go też słusznie zwą drugą Gomorą! I sam król swoich młodzików w takie spelunki prowadzi! Nie, mój kochany, dosyć już tego. Wiem ja już dobrze, kogo tu widzę przed sobą. Dziękuję Bogu, że mnie natchnął tą myślą, ażebym zawczasu pomyślała o tobie. Zmówiłam ci pannę, chciałam cię teraz tylko zaswatać, a ślub odłożyć do zapust, ażeby się też odprawił z odpowiednią naszemu imieniu godnością. Ale, kiedy tak, kiedy ty z mężatkami miłosne stroisz kabały i takiemu plugastwu rozwodami przyświecasz, i króla w to mieszasz, i dyabli tam wiedzą, co jeszcze, to tu ani jednego dnia czekać nie można, bo tu już piekło wisi nad tobą. Patrz! — zawołała starościna i wskazała mu ręką ołtarz w otwartej kaplicy — tu klęknij i módl się, aby ci Pan Bóg

przepuścił twe bezeceństwa. Jest tu ksiądz jakiś na zamku, podobno nie cały, ale lepszy taki, niż żaden. Jutro o świcie przed nim się wyspowiadasz, jutro cię deklaruję i jutro ślub! Jutro! zrozumiałeś mnie? Ani jednej doby nie dam ci stać nad tą przepaścią piekielną, nad której brzegiem chyba cię sam dyabeł postawił!

To rzekłszy, odwróciła się i chciała prędkim krokiem wyjść do swej sypialni. Gniewosz właśnie dopiero w tej chwili zmierzył oczyma całą przepaść, nad którą postawiła go matka; a przecież przysiągł Formozie! Wstrząsł się więc i zawołał:

— Ależ jam przysiągł tamtej!

— Przysiągłeś? — zawołała starościna, zatrzymując się w biegu i odwracając się z podniesioną prawą ręką ku niemu — przysięga! a komu to przysiągłeś? kobiecie, która ma męża. A cóżto jej przysięgałeś? że ją uwiedziesz, jej, która ciebie uwiodła! Jeżeli to nie jest zbrodnia, to wierutne błazeństwo! Za złamanie takiej przysięgi jeszcze ci Pan Bóg wszystkie inne grzechy odpuści. Złamanie tej przysięgi ja biorę na moje sumienie i ja za nie odpowiem przed Bogiem. Jutro ślub, bez oporu i bez apelacyi.

Z temi słowami zniknęła we drzwiach i drzwi zatrzasnęła za sobą.

Gniewosz został sam w tej komnacie, pustej i głuchej i wyglądającej teraz już wcale jak kościół zamknięty. Matka kazała mu się modlić, kaplica stała otworem, ołtarz zwykł nęcić do siebie ludzi pobożnych, zwłaszcza w chwilach takich, kiedy ich jakie nieszczęście uciska; ale on nie czuł się wcale usposobionym do modłów, bo chociaż był niemniej nabożnym od innych, był przedewszystkiem człowiekiem czynu. Był przytem i fatalistą cokolwiek, jak wszyscy ludzie owego czasu. W każdem przeciwieństwie i w każdem nieszczęściu miał zwyczaj wyczerpać wszystkie środki ratunku, a dopiero po-

tem spuszczał się na wolę Bożą. I zawsze mu się to udawało — i wychodził szczęśliwie ze wszystkich trudności. Ale teraz w sposób wcale niezwykły serce mu się ścisnęło, bo na razie nie widział żadnego środka ratunku. Sprzeciwić się tak stanowczej woli swej matki, o tem nie mógł ani pomyśleć: znał on dobrze jej zapamiętałość, dopiero co widział ją własnemi oczyma, w razie oporu, matka by go przeklęła — a na to nie mógł się w żaden sposób narazić. Rozpatrzywszy się głębiej w swem położeniu, musiał nawet przyznać, że matka ze swego punktu widzenia ma słuszność, bo jużci popełnił on krok lekkomyślny, który nawet dość głupio wygląda, a którego przeto ani bronić nie można: zapłonąć miłością dla kobiety zamężnej, a jeszcze do tego przysiądz jej wierność. Uwaga ta zaciężyła mocno na jego nieskazitelnem sumieniu i może przygłuszyła do pewnego stopnia jego uczucie miłości; ale przysięgę wykonał na krzyż Pański i honor rycerski, i tak samo nie mógł jej złamać, jak się narazić na przekleństwo swej matki.

Pod nieznośnym ciężarem tej matni, z której wyjścia nie widział, siadł w krześle, zaczął wąs kręcić i uśmiechać się swoim zwyczajem, chociaż tym razem bardzo boleśnie, i rozmyślał nad środkami ratunku. Pierwsza myśl, która mu przyszła, była czysto ludzka: wybiedz w dziedziniec, kazać konie kulbaczyć i uciec z zamku. Rzecz się odwlecze i prawdopodobnie uciecze. Ale była to myśl nierycerska, rycerz nie ucieka, więc ją odrzucił. Potem mu przyszła myśl inna, równie ludzka, ale wypływająca z wpojonych weń uczuć religijnych: upokorzyć się przed matką, wytłómaczyć jej swe położenie krytyczne, prosić o przebaczenie, błagać o łaskę. Ale temu sprzeciwiało się także uczucie godności rycerza, trzymające przodek przed wszystkiemi innemi. Rycerz nie upokarza się przed nikim, chyba przed pomazańcem Bożym — a i to jeszcze.

Zresztą na nicby to się nie zdało, matkaby go nawet nie wysłuchała. Myślał więc dalej — a tak pomału mu świtać zaczęło w skłopotanym umyśle. Przysięgi dotrzymać musi; ale czy nie mógłby jej dotrzymać, choćby się nawet ożenił? Dlaczegoż nie? Tigranesem wprawdzie nie jest, ale każdy nim być może, gdy zechce. Są rzeczy, do których mężczyznę żadna moc ludzka zniewolić nie zdoła. Więc tak; ożeni się, jeżeli go matka zmusi do tego, ale przysięgi nie złamie.

Rozumowanie to było może scholastyczne cokolwiek, ale scholastyka panowała jeszcze na dworach i w całej dyplomacyi ówczesnej i całe rycerstwo sobie nią pomagało w potrzebie. Właśnie podczas pobytu Gniewosza w Niemczech jeden z tamtejszych rycerzy, zadłużywszy się u Żyda w gospodzie i nie mając go czem zapłacić, aby nie umarł z głodu ze swymi ludźmi, musiał dać słowo rycerskie Żydowi, ze nie przestąpi progu gospody, póki go nie zaspokoi; progu nie przestąpił, ale kazał przejście wykopać pod progiem, przez które jego ludzie go przeciągnęli, a sami, nie będąc słowem związani, gwałtem się za nim wydarli z gospody — i dowcip ten został po całych Niemczech przyjęty jednogłośnym oklaskiem, a filut ten pozostał nadal wzorem słownego rycerza, jak był nim dotąd. On nie chce przecież oszukać Formozy, owszem, przysięgi święcie dotrzyma, a nawet w trudniejszych okolicznościach. Prócz tego jeszcze położenie ich obojga całkiem się zrówna: ona zamężna i jemu wierna, on żonaty i jej wierny — a zresztą, niech tam Bóg radzi o swojej czeladzi. Ale i o to nie należy rozpaczać. Dotąd, żeby się mógł ożenić z Formozą, potrzeba było rozwodu, odtąd potrzeba będzie dwóch rozwodów; jeżeli król jeden rozwód wyrobi, to i dwa także wyrobi, kanoniczna przeszkoda będzie w obydwóch wypadkach ta sama. Więc co tam! — powiedział sobie Gniewosz — postę-

pujmy zawsze uczciwie, a resztę zostawmy losowi... I z tem poszedł spać — i spał jak kamień do rana.

Starościna przespała tę noc także bardzo spokojnie. Była ona przekonaną, że zmuszając syna do tego małżeństwa, dopełniła obowiązku troskliwej i przewidującej matki jaknajsumieuniej Co więcej, była nawet wysoce z siebie zadowoloną, bo niktby jej nie odebrał tego uczucia, że spełniła czyn heroiczny, a zarazem bardzo pobożny, bo ochroniła potomka świetnego rodu i chrześcijańskiego rycerza od zaprzepaszczenia swej duszy i sponiewierania swego imienia w nizkich warstwach kupieckich. Nazajutrz rano, z umysłem pogodnym, jaki się zawsze miewa po osiągnięciu zamierzonego celu. z uśmiechem na twarzy i z głową podniesioną do góry, poszła odwiedzić kasztelanowę.

Kasztelanowa już ją oczekiwała, zdaje się nawet, że z pewną niecierpliwością, bo nim jej jeszcze krzesło podała, zapytała ją żywo:

— Cóż tedy? miałaś podobno już wczoraj wieczorem długą ze swym synem rozmowę, jakiż rezultat?

— Rezultat nie mógł być inny — odpowiedziała jej starościna, siadając spokojnie na krześle — jak tylko ten, któregom oczekiwała. Mój syn jest uszczęśliwiony nad wszelki wyraz... Ale muszę tobie powiedzieć, że i ja jestem tem małżeństwem daleko więcej uradowaną, niżelim się spodziewała, a raduję się dla mnie i dla ciebie. Bo jużci sama przyznasz, że Jagienka była w niebezpieczeństwie. Z takim Wilczkiem, co jest taki rozpustny, a do tego jeszcze ma tę tam jakąś bojarównę na karku, nie mogłaby być nigdy szczęśliwą — i byłabu z nim zapewne dożyła wielkich zgryzot i fatalności. Tybyś się pewnie była sprzeciwała temu małżeństwu, ale mów tam sobie co chcesz! gdyby się Kamieniecki, gdyby się król w to wmieszał... my kobiety jesteś-

my słabe stworzenia, opieramy się jakiś czas, ale w końcu zawsze ustępujemy. Jagienkę tedy ochroniliśmy od wielkiego nieszczęścia, a ciebie od wielkich nieprzyjemności. Ale wyobraź sobie, że i mój syn także był w pewnem niebezpieczeństwie. Już go tam zaraz we Lwowie o mało co nie uwikłano w jakieś kabały z tą tam Muryssonówną, co to ją gwałtem wydano w jakiś dom ormiański. Ma to podobno być bardzo piękna kobieta, ale... pożal się Boże!

— Pożal się Boże! — odpowiedziała kasztelanowa z litościwem westchnieniem.

— Tak tym wszystkim niebezpieczeństwom łeb utniemy odrazu — rzekła Gniewoszowa z zadowoleniem i zaraz spytała: — Więc możeby teraz zawołać Jagienkę?

— Zawołajmy ją — rzekła kasztelanowa i zaraz po nią posłała.

Jednak w tej chwili wymalował się pewien niepokój na jej twarzy. Wstała, spojrzała przez okno w dziedziniec, jak, gdyby tam kogoś dojrzeć pragnęła, poczem zwróciła się do starościny i powiedziała jej głosem cokolwiek zmienionym:

— Ale wiesz moja droga, muszę cię z góry uprzedzić, że ja wszystko zrobię co mogę, aby Jagienkę przekonać, aby ją zresztą namówić. Ale gdyby się opierała, gdyby ją zmuszać potrzeba, to przyznam ci się...

— Zmuszać! zmuszać! — zawołała starościna — któż o tem mówi? Przecież jej nikt za kark brać nie będzie, aby ją gwałtem prowadzić do ślubu; wola rodziców i opiekunów jest tylko prawem, nie trzeba jej nazywać niewolą — a prawu każdy poddać się musi, inaczejby się świat wywrócił do góry nogami. My przecież wszyscy żyjemy pod pewnemi prawami, a chociaż niektóre z nich się zdają nam uciążliwemi, przecież się im poddajemy. Dzieciom dyktują prawa rodzice — a kiedy dzieci

same zostają rodzicami, to znowu one dyktują prawa swym dzieciom. Takim porządkiem rzeczy stoją i utrzymują się rodziny w tem znaczeniu i w tym duchu, w jakim istniały od wieków—a na rodzinach stoi całe królestwo i zresztą cały ród ludzki. Czy mogłyby się po wiek wieków utrzymywać rodziny w swojej własnej istocie, gdyby dzieciom wolno było się żenić i iść zamąż według ich chwilowych kaprysów? Nigdy, przenigdy. Gdyby małżeństwa się kojarzyły według miłosnych zachcianek, gdyby następujące po sobie rodziny tworzyły się z obcych sobie żywiołów, niedobranych ze sobą według rodzinnych tradycyj, tylko według wybryków krwi lub fantazyi, to jużby syn nie był podobny do ojca, a wnuk jużby wcale nie wiedział, jakiemu Bogu modlił się jego dziadek. Ale, że u nas jest, chwała Bogu, inaczej, że u nas rodzice wybierają zięciów dla swoich córek, a żony dla swoich synów, że tylko rodem, znaczeniem, wiarą, tradycyą i sposobem myślenia pokrewne łączą się z sobą żywioły, więc też mamy rodziny, które niezmiennie trwają od niepamięci, a trzymając się z sobą, jak sieć nieprzedarta, niosą na swoich barkach to nasze królestwo, już je przez bardzo wiele burz i powodzi w całości puzeniosły i tak je na sobie w całości doniosą aż po dzień ostateczny. W obec takiego celu, cóż tam znaczy jakiś kwaśny humorek, co opanuje panienkę w dzień deklaracyi, a choćby nawet i jakaś łezka, którą uroni w dzień ślubu? A zresztą pomnijmy na siebie samych. Ja mego męża pierwszy raz obaczyłam, kiedy z wielkim dworem do Magierowa przyjechał, aby mnie poprowadzić przed ołtarz. A ty, żaliż ty sama wybrałaś sobie twojego męża? A przecież, pomimo drobnych, przemijających zgryzotek, bez których nigdy się nie obchodzi w małżeństwach, nie możemy się skarżyć, bo dobrze nam [illegible]ło na świecie. Toż jeszcze za naszą przyczyną Kmitowie znacznie podrośli, a Gnie-

woszowie przynajmniaj nie podupadli — a ja ci powiadam, że obydwa te rody jeszcze pójdą bardzo wysoko, jeżeli postępować będziemy z naszemi dziećmi tak samo, jak niegdyś z nami postępowali nasi ojcowie.

— Wszystko to dobrze—rzekła na to kasztelanowa, pochwalając zupełnie zapatrywania swej przyjaciółki — ja ci tylko chciałam powiedzieć, że Jagienki zmuszać nie mogę, nie mam nawet do tego prawa, bo my nie jesteśmy jej opiekunami...

Na te słowa Gniewoszowa spojrzała niezmiernie zdziwionemi oczyma na kasztelanową. Widać było po jej przeciągniętej twarzy i ustach wpółotwartych, że o tym szczególe nie wiedziała, ale w tej chwili weszła Jagienka.

Jagienka miała twarz bladą jak ściana, na jej cerze przebijał się odcień zielony, widocznie całą noc strawiła bezsenną, w strasznej grozie, w najstraszliwszej walce przeciwko przemocy, na którą żadnego nie znalazła ratunku. Jeszcze teraz drżały w niej wszystkie wnętrzności, była podobną temu nieszczęśliwemu, któremu mają ogłaszać wyrok na śmierć; ale widać było po niej zarazem, że wszystkie swe siły zebrała, że była jaknajzupełniej przytomną i powzięła bohaterskie postanowienie cios ten wytrzymać z odwagą. Tak weszła, nie z głową podniesioną do góry, nie z dumą w swojej postawie, owszem, pokornie schylona, i tak stanęła przed ciotką.

Kasztelanowa, która już przedtem przeczuła, że Jagienka nie przyjmie z dobrą chęcią deklaracyi Gniewosza, jednym rzutem oka odgadła jej obecny stan duszy, i dlatego z bardzo łagodnym wyrazem na twarzy i wielką słodyczą w głosie prosiła ją, aby usiadła, zapowiadając jej, że chce z nią o bardzo ważnych rzeczach pomówić.

Ale Jagienka nie siadła, mówiąc sucho:

— Wysłucham stojąc, jakem powinna, rozkazu mojej ciotki.

Kasztelanowa zaprotestowała przeciwko tym słowom natychmiast, mówiąc z dobrocią serca:

— Ale moja droga Jagienko, tu niemasz żadnego rozkazu. Chcę tylko, co też moim jest obowiązkiem, powiedzieć ci, co mi właśnie oświadczyła pani starościna.

Tu zabrawszy głos, wyłożyła jej z wielką łagodnością, jako przeznaczeniem każdej dziewczyny jest wyjść zamąż, a im wcześniej, tem lepiej, jako ród Gniewoszów należy do najświetniejszych w królestwie, a Cherubin, chociaż tak młody, pasowan jest na rycerza przez niemieckiego cesarza, zajmuje wysoki urząd w Polsce, cieszy zię łaską królewską i niezawodnie wielką ma przyszłość przed sobą, jako nareszcie jest człowiekiem wspaniałego umysłu i tak dobrego serca, jakiego napróżnoby szukać pomiędzy dzisiejszem rycerstwem, o czem też wczoraj w rozmowie z nim zapewne sama się przekonała. Kasztelanowa byłaby swoją przemowę zapewne zakończyła w tym samym łagodnym tonie, ale Gniewoszowa patrzała na nią wzrokiem tak surowym i tak imponującym, że się przed nim ugięła i powiedziała z rodzicielską powagą i stanowczością:

— Naradziwszy się tedy z moim mężem, ile że cię jak własne dziecko kochamy i prawdziwego szczęścia dla ciebie pragniemy, postanowiliśmy przyjąć pana Gniewosza i dać go tobie na męża.

W tej chwili obiedwie matrony wpatrzyły się w nią jak w posąg wydający wyrocznie, zaparły oddech w piersiach i czekały jej odpowiedzi

Jagienka, ścierpnięta z bólu, a przekonana, że opór jej na nic się nie zda i tylko sceny wywoła, w których ją ból całkiem rozbierze i nie dozwoli jej utrzymać się w swojej godności, odpowiedziała sucho jak pierwej, ale z przerażającą cierpkością w głosie:

— Jak skoro już takie postanowienie zapadło, to mnie nie pozostaje nic, jak tylko przed niem się skłonić.

Na to Gniewoszowa wstała raźniej niż zwykle z siedzenia i otwierając ku niej ramiona, rzekła z wzruszeniem:

— Przyjmujesz więc, moja najdroższa...

Ale Jagienka cofnęła się od niej i odpowiedziała głosem ciętym:

— Przyjmuję, bo tak chcą ci, którzy mną dysponują, ale nie z mojej woli.

Zaczem zaraz ukłoniła się ciotce i starościnie, zginając się przed niemi prawie we dwoje, i wyszła z komnaty.

Wyszedłszy w korytarz i idąc do swego mieszkania, miała krew skrzepłą w żyłach i wszystkie myśli zmącone, ale jednak była jeszcze o tyle przytomną, że rzekła do siebie z zaciśniętemi zębami:—Jeśli mi gwałt zadają, to niechże choć wiedzą, że to jest gwałt, i że się dzieje przeciw mej woli!—Lecz powiedziawszy te słowa, straciła całkiem przytomność, była jak człowiek znajdujący się w ciemnicy i nic nie widząc przed sobą, doszła prawie poomacku do drzwi swego apartamentu.

Wszakże przy samych dzwiach ktoś ją chwycił za rękę. Spojrzała nań, był to Smolicki.

— Cóż tam? — zapytał Smolicki, patrząc na nią ze współczuciem — czy już dzisiaj deklarowano?

— Wydają mnie gwałtem za Gniewosza! — zawołała Jagienka. I w tej chwili serce jej skrzepłe, dotychczas silną wolą na uwięzi trzymane, rozpłynęło się z żalu: rzuciła się Smolickiemu w ramiona i głośnym płaczem wybuchnęła.

Szydzący nieraz cierpko ze wszystkich, Smolicki miał przecież serce i przycisnął ją do swej szerokiej piersi, ale miał także przytomność umysłu, która go nigdy nie opuszczała. Będąc zaś niezmiernie ostrożnym z obawy, aby nie stracił łaski

swych panów, otworzył drzwi, wepchnął ją do jej apartamentu i sam wszedł za nią.

— Nieszczęście! nieszczęście! — rzekł do niej półgłosem, zamknąwszy drzwi za sobą — kasztelan duda, cale już zapomniał o Wilczku. A potem, co to, kiedy się przyczem uprą kobiety! Ale nie trzeba jeszcze rozpaczać. Przecie to nie kasztelaństwo są twoimi opiekunami, tylko twój stryj o. Chryzostom. Bez niego nie mogą stanowić o tobie...

Na te słowa Jagienkę jakby błyskawica olśniła. Chwyciła Smolickiego kowulsyjnie za rękę i zawołała:

— O. Chryzostom! to prawda, ani mi to na myśl nie przyszło, bo też się nie znam na prawach. O. Chryzostom taki dobry, on mnie tak kocha, on nie da mnie zgwałcić. Ale cóż zrobić?

— Trzeba w lot posłać po niego — rzecze Smolicki.

— Kogóż ja poślę? — zawołała rozpaczliwie Jagienka. — Prócz ciebie, na całym zamku nie mam żywej duszy, którąby miała litość nademną...

— Ksiądz Wara pojedzie.

— Pojedzie!? — krzyknęła Jagienka z radością — to bądźże łaskaw, przyślijże mi go natychmiast.

— Zaraz go przyślę — rzekł Smolicki, a biorąc za klamkę, dodał te słowa: — Ale słuchaj waćpanna, trzeba mieć rozum we wszystkiem. Niech Wara nie jedzie wprost od waćpanny do o. Chryzostoma, bo mogłoby się to potem wydać, a zato tutajby się pogniewano na nas oboje. Wilczęk jest we Lwowie, niechaj więc jedzie do Wilczka, a Wilczek niechaj sam skoczy do Wiszni. Niedaleka to droga, na jednym dniu nic nie zależy; przecież tu jeszcze się ziemia nie pali pod nami, a kiedy zechcesz, to małej odwłoki ci nie odmówią.

Smolicki z tem wyszedł. Jagienka była jakby na węglach, łamała ręce z niecierpliwości, łzy jej

się toczyły po licach: czy Wara przyjdzie, czy zechce się podjąć tego poselstwa? czy nie będzie się obawiał kasztelanowej?—Jednak za jakie kilka pacierzy Wara przyszedł.

— Mój drogi Wara - zawołała do niego Jagienka, kładąc mu obiedwie ręce na ramionach — Smolicki już ci powiedział.. Pojedziesz?

— Dlaczegoż nie?—odpowiedział jej Wara—ja pannę Jagienkę tak kocham, że i do piekłabym dla niej pojechał. Byłaś przecie tak dla mnie łaskawa, żeś mi obiecała probostwo...

— Nie obawiaszże się kasztelanowej?

— Ja o ten cały zamek dbam tyle, co o dźbło słomy, które leży na drodze. Pięknie mnie nagrodzili! Kiedy kasztelan jęczał pod grzechem śmiertelnym zabójstwa..

Ale Jagienka mu przerwała, mówiąc:

— To jedźże. Ale jedź prędko. Jedź prosto do pana Wilczka i powiedz mu... przecie już wiesz, już ci powiedział Smolicki.

— Wiem wszystko—rzekł Wara—i dobrze się sprawię. Nie nowina mi jeszcze daleko trudniejsze sprawiać poselstwa. Jutro w nocy, a najdalej pojutrze będę we Lwowie. Tylko ja biedny...

— Ach! — zawołała Jagienka — jestem dziedziczką trzech kluczów, a nie mam ani grosza przy sobie! Ale tu masz...

To mówiąc, pobiegła prędko do szkatułki, co stała na stole, wyjęła z niej złoty łańcuch i dając mu go, zawołała:

— Masz! Ktoś ci tam na to pożyczy pieniędzy. Jedźże już jaknajprędzej...

Ale Wara stał jeszcze, spojrzał na nią, a potem rzekł:

— Wiem ja, że pannie Jagience to nie bardzo wypada. Ale przecie, gdybym miał jaki listek do pana Wilczka..

— Nie wypada?—zawołała Jagienka—co mnie

nie wypada! Tu śmierć wisi nademną! Ja umrę, jeżeli mnie za Gniewosza wydadzą! Ja gwałtu nie zniosę i pierwej się w łóżku własną ręką zadławię! Ja przed żadnym środkiem ratunku się nie ulęknę... Zaraz ci list napiszę.

To rzekłszy, siadła natychmiast do stołu, porwała papier i pióro i wzięła się do pisania. Ale pisanie nie było wówczas rzeczą tak łatwą, jak dzisiaj. Zaczęła jeden list i podarła, podarła drugi i trzeci. Zaczem obróciła się z krzesła do Wary i rzekła: Jakoś mi nie idzie. Może ty za mnie napiszesz. Ja ci powiem, co trzeba w liście położyć, a potem podpiszę.

Ale te słowa niezmiernie zakłopotały Warę. On nie miał także wprawy do pisania, tylko wiele czytywał, zwłaszcza gdy nie miał weselszej rozrywki. Zaczął się jąkać, mówiąc, że przecież lepiejby było, gdyby listek był własnoręczny...

Więc Jagienka, decydując się prędko, odpowiedziała mu:

— Niemasz tu czasu na długie pisanie, ale dam ci mój podpis.

Poczem na małej kartce papieru napisała te słowa:

— *W smyennych lossach nyesmyenna Yagienka.*

— Masz!—zawołała, oddając mu kartkę—to ci wystarczy. Resztę sam mu dopowiesz. Jedźże więc. A jedź prędko, na dzień i noc. I powiedz Wilczkowi, niech zaraz po odebraniu tej kartki jedzie do Wiszni. Niech prosi króla o pozwolenie, a jeśli król nie pozwoli, to niech jedzie bez pozwolenia, choćby miał stracić łaskę królewską. Choćby i urząd miał stracić! Co tam! mamy dóbr dosyć, będziemy żyć szczęśliwie bez urzędów królewskich. Jedźże, jedź zaraz...

— Za godzinę będę już siedział na koniu — rzekł Wara i ucałowawszy ręce Jagienki, wyszedł z komnaty.

Po jego wyjściu Jagienka, chociaż jeszcze głęboko wzruszona, przecież się uspokoiła cokolwiek. Do ciemnej kaźni więzienia skazanego na śmierć, promyczek światła uderzył przez kraty—i świeci.

Po wyjściu Jagienki z komnaty kasztelanowej obiedwie matrony spojrzały po sobie, lecz żadna z nich nie wiedziała, coby miała powiedzieć. Starościna przybrała taki wyraz twarzy, jak gdyby kasztelanowa coś przeciw niej zawiniła i powinna się przed nią usprawiedliwić. Kasztelanowa to zrozumiała i rzekła:

— Moja droga, cóżem ja temu winna? To jest dziewczyna dumna z natury i opozycyę ma we krwi. Zakonnice nie potrafiły sobie z nią dać rady, pokora, której ją nauczyły, jest u niej tylo zewnętrzna, a wewnątrz, kto tam wie, jakie ma myśli. Ja to wiem zdawna, że się czuje Kmitówną i chciałaby sama dysponować swym losem. Czy i o ile myśli o Wilczku, to trudno wiedzieć; według mnie, już to samo, że ktoś inny dla niej wybiera męża...

Tu wszakże przerwała jej Gniewoszowa, mówiąc sucho:

— To mniejsza. Każdej z nas się takie myśli roiły zamłodu. Ale dlaczegożeś mi nie powiedziała zawczasu, że nie przy was jest nad nią opieka? Któżto jest jej „opiekunem"?

— Jej stryj, ojciec Chryzostom.

Tu Gniewoszowa podniosła głowę do góry, oczy otworzyła szeroko i usta do połowy rozwarła, widać było, że ta wiadomość była dla niej całkiem niespodziewaną. Jednak po chwili namysłu ocuciła się i spytała:

— Tenże to jest Jan Chryzostom Kmita, co jako rycerz długo się błąkał po świecie, a potem wstąpił do Franciszkanów?

— Ten sam — rzekła kasztelanowa — a teraz siedzi w swoim własnym eremie około Wiszni.

— To ja go znam — odpowiedziała jej Gniewoszowa żywo i prawie z wyrazem zadowolenia na twarzy. - Znałam go dobrze zamłodu. Był to rycerz przedziwnej piękności, ale duch niespokojny i zapamiętały wielbiciel kobiet. Kochał się w Salomei Rytwiańskiej, nie dano mu jej, bo ojca obraził, a kiedy potem poszła za Lanckorońskiego, został jej wiernym i dziwy za nią wyprawiał. Chodził podobno dwa razy do Ziemi Swiętej, zawsze na jej intencyę Aż wreszcie przyjął święcenia kapłańskie i przywdział habit zakonny. Nie wiedziałam o tem, że około Wiszni erem założył...

— To człowiek święty—rzekła kasztelanowa— ten pewnie się nie pomyli...

— Za młodu zdawał mi się być sowizdrzałem— mówiła dalej starościna — ale wielkiego ducha i bardzo dobrego serca. I mnie się tam swego czasu niejeden komplement dostał od niego. Być jednak może i bardzo chętnie w to wierzę, że za pomocą pokuty łaski Bożej dostąpił. Więc cóż teraz zrobić? Kiedy on jest „opiekadlnikiem" Jagienki, to bez niego się obejść nie można. Czy sądzisz, że przyjechałby tutaj, gdybyśmy go zaprosiły? czy trzeba jechać do niego?

Na to zaś rzekła kasztelanowa z uczuciem zadowolenia:

— Właśnie go oczekuję. Bo muszę ci się przyznać nareszcie, że jakem się tylko dowiedziała, żeś posłała po twego syna, zaraz pchnęłam zaufanego cichaczem do niego, napisawszy mu, co jest, i prosząc go, ażeby bez zwłoki przyjeżdżał. Ja moich praw bronię jak mogę, ale w cudze prawa się nigdy nie wdzieram. A potem, nie miałabym przez całe życie spokojnego snmienia, gdybym Jagienkę do małżeństwa namówiła i gdyby później... przepraszam cię, że ci to powiadam otwarcie... i gdyby później w tem małżeństwie nie była szczęśliwą. Przeciwko Wilczkowi byłam i jestem, bo jakem się

dowiedziała o tej tam bojarównie, nabrałam przekonania, że jej nie godzien. Ale jej męża narzucać, którego nie znam, to znów co innego. Niech o tem stanowi ten, przy którym jest prawo...

Starościna mogłaby była za tę wiadomość rzucić się kasztelanowej w ramiona, bo czuła to dobrze, że każda zwłoka mogła się dla niej stać niebezpieczną: Cherubin nie chce i Jagienka widocznie nie chce, jedno słowo wymienione pomiędzy nimi mogłoby ich do wspólnej rewolucyi pobudzić, zwłoka dni kilku mogła zatem jej plantę przewrócić i zniszczyć. Ostatnie słowa kasztelanowej, wyrażające brak zaufania do jej syna, wprawdzie ją ochłodziły cokolwiek, ale zawsze była jej głęboko wdzięczną za zawezwanie o. Chryzostoma na Sobień, jakoż odpowiedziała jej na to z zapałem:

— Zawsze jesteś rozumna, a sumienna i zacna nad podziw! Więc tedy tak dobrze, więc będziemy czekać na o. Chryzostoma. Ale powiedzże mi ze swej łaski o nim coś więcej, bo chciałabym wiedzieć, jak mam z nim mówić...

Ztąd wywiązała się pomiędzy obydwiema matronami bardzo długa rozmowa, która trwała aż do samego obiadu.

Od czasu jak istniał zamek sobieński, jeszcze na nim takiego ponurego obiadu nie było. Izba jadalna zamieniła się jakby w klasztorny refektarz, ba, nawet gorzej, bo nietylko, że nikt prawie nic nie jadł, nietylko że żadna nie mogła się zawiązać rozmowa, ale nad stołem biesiadnym wisiała chmura gradowa, która przyciskała powietrze i ukrócała oddech jedzącym. Wszyscy to czuli, że chmura ta pęknie może dziś jeszcze, ale co z niej wyleci, czy deszcz ulewny, czy gradobicie, czy pioruny i błyskawice, nie wiedzieli nawet ci, którzy sami ją sprowadzili nad głowy mieszkańców zamku. Gniewosz, najspokojniejszy i najwięcej dworski ze wszy-

stkich, napróżno się silił opowiadaniem różnych historyj rycerskich zgromadzenie cokolwiek ożywić, nikt go nie słuchał. Jagienka, przejęta uczuciem dumy, a może nawet pogardy dla swych gwałcicieli, udawała pogodę myśli; ale ponieważ musiała unikać spotkania się ze wzrokiem kasztelanowej, starościny i jej syna, więc widać było po niej aż nadto, że siedzi jakby na szpilkach. Starościna była milcząca i zamyślona, widocznie się uzbrajała w argumenty i wszelką inną broń oratorską, krórąby mogła skaptować dla siebie opiekuna Jagienki. Kmita wiedział zapewne, co się przygotowuje i było mu to dość obojętnem, ale był chmurny, że mu te babskie historye psują apetyt. Nawet Smolicki, zawsze taki wymowny, nie umiał ani jednego słowa wydobyć z siebie. Do tego jeszcze cały fraucymer był jak zwarzony, wszystkie kobiety i panny wiedziały dobrze, że się toczy kabała, ażeby wydać Jagienkę za niemiłego jej kawalera i wszystkie serdecznie się litowały nad tą nieszczęśliwą. Tylko jeden niewinny Pretficz, przyciskając od czasu do czasu do serca ów mały bukiecik kwiatów, który wczoraj od Jagienki otrzymał, a teraz miał pod kaftanem, stał z twarzą wesołą i uszczęśliwioną za krzesłem kasztelana, pilnował służby daleko żwawiej niż zwykle i rzucał od chwili do chwili ukradkiem radosny wzrok na Jagienkę, która, jeżeli była dziś roztargnioną, to oczywiście dlatego, że o nim myślała.

Wszakże pod koniec tego mniszego obiadu dały się słyszeć trąby na bramach zamku, zapowiadające przyjazd nowych gości. Odgłos tych trąb wstrząsnął Jagienkę radośnie, odezwało się w niej przeczucie, że to Wilczek przyjechał. Przeczucie ją omyliło, niebawem bowiem wszedł bronny i zapowiedział z otwartych drzwi, że ksiądz Chryzostom właśnie zsiada z kulbaki w dziedzińcu. Natenczas jej radość nie ustąpiła, ale jej się w oczach ście-

mniło, zdało jej się bowiem, że Wara, o którego kunsztach nieswojskich różnie gadano, a który czasem i Świętych widywał, o czem nikt nie śmiał wątpić, Chryzostoma przez chmury z Wiszni na Sobień zczarował. Pod tem wrażeniem pierwsza zerwała się z krzesła, co zresztą było jej obowiązkiem i ku drzwiom pobiegła — a kiedy o. Chryzostom pokazał się w przyległej komnacie, pobiegła pędem ku niemu i rzuciła mu się do kolan, jak wtenczas dzieci zazwyczaj swoich rodziców i opiekunów witały. O. Chryzostom podniósł ją z ziemi, po ojcowsku przycisnął do piersi i przyprowadził za rękę do izby jadalnej.

A wtenczas już wszyscy wstali od stołu, prócz kasztelana, który uważał siebie jako głowę nad całym narodem Kmitów, a podobno ich wszystkich nie bardzo nawidził, owszem nacisnął jeszcze kuczmę na głowie, poprawił się w krześle i czekał, póki Chryzostom do niego nie przyjdzie. Tymczasem Chryzostom witał się najprzód z kasztelanową, potem poznał starościnę i przypomniał jej wspólne czasy młodości, a dalej się wcale do Kmity nie śpieszył, tylko spojrzał wdzięcznie na Gniewosza, którego starościna zaraz mu przedstawiła i rzekł uprzejmie:

— Bardzo grzecznego jejmość wychowałeś nam kawalera, wszystkich nas głową przenosi, nie wątpię o tem, że i w służbie około tego królestwa nas wszystkich wyprzedza.

Dopiero potem do Kmity przystąpił, ścisnął pana brata za rękę, a zaproszony przezeń, zaraz obok niego usiadł do stołu. Z drugiej strony, tuż przy nim, usiadł Gniewosz — a ks. Chryzostom, wymieniwszy kilka słów z kasztelanem, jedząc przytem i pijąc pod miarę, zaczął zaraz wypytywać Gniewosza o jego służbę za granicą i w kraju i o jego dzisiejsze stanowisko u dworu. Starego rycerza, chociaż już to rzemiosło porzucił, niezmier-

nie zajmowały myśli i czyny jego dzisiejszych następców, a przytem zapewne chciał wyrozumieć, który jest ten, co mu go zalecają na męża dla Jagienki. Jakoż Gniewosz musiał dobre sprawić na nim wrażenie, bo kiedy wstano od stołu, rzekł do starościny:

— Trudno tego nie przyznać, że nasze rycerstwo robi progresy. Syn jejmości bardzo słuszny kawaler. Nie taki to pędziwiater, jakimi, panie Boże nam odpuść, myśmy byli za młodu. Zna on swoje rzemiosło ledwie nie lepiej, niż myśmy je znali, ale ma przytem rozumienie swych obowiązków i obywatelskie uczucia, których myśmy w tym stopniu nie mieli, dlatego też szukaliśmy Bóg nie wie czego po cudzych krajach, zamiast poprostu służyć własnej ojczyźnie.

Więc starościna była tem bardzo uradowana, dziękowała Chryzostomowi za jego opinię o jej synu i rozmawiając z nim dalej, prowadziła go wolnym krokiem do drugiej komnaty.

Ale Jagienka te słowa także słyszała, a na nią sprawiły one niemal przerażające wrażenie. Już się Gniewosz jej stryjowi podobał, to bardzo złe omen. Do tego jeszcze starościna go wzięła zaraz w swoje obroty i pewnie go już nie wypuści, dopóki go nie przerobi dla siebie. Jagienka weszła także do drugiej komnaty i kręciła się tam przez chwilę; lecz widząc, że obiedwie matrony posadziły Chryzostoma pomiędzy sobą i bardzo ożywioną z nim rozpoczęły rozmowę, zniecierpliwiona i gniewna, z ściśnionem sercem i prawie ze łzami w oczach, nie patrząc już na nikogo, poszła do swego apartamentu.

Gniewosz także nie spuścił z oka tego wszystkiego, co się działo przed jego oczyma. Nie miał on już żadnej nadziei wyłamania się z pod wyroku, jaki jego matka rzuciła na niego. Poddał mu się bez stanowczego oporu, bo został przychwycony znienacka i jako wzorowy syn nie mógł postąpić

inaczej; lecz przeto nie pozostał bezczynnym. Od rana starał się wszelkiemi środkami dowiedzieć, jakie są tutaj na zamku stosunki rodzinne, i szukał pilnie sposobów, za pomocą których mógłby ten ślub ukartowany podkopać i pomału przewrócić, albo przynajmniej odwlec. Rozmawiał zaraz rano ostrożnie z kasztelanem, nie znalazł go tylko niechętnym dla siebie, a zresztą niczego się nie mógł od niego dowiedzieć. Mówił ze starszymi żołnierzami i z pannami z fraucymeru, ale żołnierze nic nie wiedzieli, a panny dawały mu odpowiedzi wymijające. Mówił nareszcie ze Smolickim. Ale miał z nim bardzo trudną rozmowę, bo Smolicki, nie wiedząc nic o tem, w jakiem on znajduje się położeniu, domyślając się wcale przeciwnie, że on sam pragnie poślubić Jagienkę, a licząc przytem także cokolwiek na to, że Chryzostom tę kabałę potarga, zamiast go o wszystkiem oświecić, był tylko pełen przycinków dla niego i dawał mu złośliwie do zrozumienia, że podobno nic z tego nie będzie. Gniewosz, na nieszczęście, jako przed obcym człowiekiem, nie mógł się przed nim rozpiąć zupełnie; ale jednak z tych jego przycinków dowiedział się, że Chryzostom jest opiekunem Jagienki i tylko on sam nią dysponuje, a z niektórych jego półsłówek wyciągnął wniosek, że Jagienka mu wcale nie jest przychylną, a może nawet myśli o Wilczku. Złożywszy sobie te wiadomości, powziął zamiar rozpocząć jakieś działanie, gdyby tylko miał choć dwa lub trzy dni przed sobą.

Gdyby był w swojej rozmowie przy obiedzie przedstawił się Chryzostomowi, choćby tylko jako człek lekki a wierny achates króla we wszystkich jego swawolnych rozrywkach, to byłby tą sztuczką niezawodnie zwłokę uzyskał, bo Chryzostom byłby się nad tem zastanowił i co najmniej zapragnął przez kilka dni bliżej mu się przypatrzyć—a wtedy mógłby się był otwarcie przyznać do przysięgi ślu-

bowanej Formozie, mógłby był nawet przed nim się wyspowiadać i wyznać mu to na spowiedzi. Ale do takich chytrości nie był on zdolen, nie zgadzało się to z jego umysłem szlachetnym i zawsze czystem sumieniem.

Jednak kiedy starościna i kasztelanowa zaprowadziły Chryzostoma do przyległej komnaty i tam z nim zasiadły do długiej rozmowy, oczywiście, ażeby wziąć słowo od niego, zdjął go lęk przed zbliżającą się stanowczą chwilą i powziął myśl heroiczną, postanowił zbliżyć się do Jagienki i przyznać się, że jej nie kocha i że go do tego małżeństwa zmuszają. Ale ludzie najznamienitszej odwagi wojskowej nie zawsze mają odwagę moralną, postanowienie uderzenia na nieprzyjacielskie szeregi jak iskra się w nich zapala i jak błyskawica w czyn się zamienia, ale nieraz długo się nad tem zastanawiają, nim zrobią jakie wyznanie kobiecie.

Tak się stało i Gniewoszowi. Kiedy się zdecydował i ruszył z miejsca, aby do Jagienki przemówić, Jagienki już w tych komnatach nie było. Iść zaś z tem do jej apartamentu, toby już był krok otwarcie buntowniczy przeciwko matce, na to nie mógł się zdobyć. Wszelako wyszedł i zaczął się błąkać po wszystkich komnatach i korytarzach, ażali gdzie Jagienki nie spotka—ale jej nigdzie nie spotkał.

Tymczasem obiedwie matrony już uchodziły o. Chryzostoma. Kasztelanowa, jako kobieta wprawdzie silnego charakteru, ale bardzo delikatnego sumienia, nie wiele się do tej rozmowy mieszała; ale tego nawet nie było potrzeba, bo Gniewoszowa nie miała zwyczaju liczyć na cudzą pomoc, gdzie o to chodziło, ażeby komuś rzecz jakąś zręcznie i jasno wyłożyć. Toż ks. Chryzostom doskonale ją zrozumiał, a zastanowiwszy się nad tem wszystkiem w swoim rozumie, obrócił się do kasztelanowej i rzekł z łagodnym uśmiechem na twarzy:

— Więc tedy ofertę tę możnaby przyjąć. Ale przecież pozostaje mi jeszcze jedna kwestya do wyjaśnienia. Był tutaj u was Wilczek w takich samych zamiarach, wiem o tem pewnie, bom go sam tutaj posłał w tej myśli. Cóż on tu zrobił?

— Wilczek?—rzekła kasztelanowa ważąc starannie swe słowa — Wilczek tu bawił przez cały miesiąc, albo i dłużej. Jagience się trochę przymilał. Ale potem nagle wyjechał na parę dni—i dotąd nie dał żadnej wiadomości o sobie. Zdaje się zatem, że jeśli o Jagience myślał, to się rozmyślił.

— Ale jabym to chciał wiedzieć napewno — rzekł o. Chryzostom — bom go sam tutaj posłał, a więc to dotyka mojego sumienia.

Tu wszakże zabrała głos starościna i tak zaczęła:

— Mój ojcze kochany, nie mamy my tej łaski Bożej, jaka na ciebie spłynęła, dlatego we wszystkiem poddajemy się twojej woli, ale ile sił naszych strzeżemy także czystości naszego sumienia. Jam się tu zaraz dowiedziała, że imć pan Wilczek smalił cholewki do panny, i dlatego starałam się o nim zainformować, bo mój syn zdaje mi się być dobrym, ale mogą być lepsi od niego, a nigdybym sobie tego nie darowała, gdybym się komukolwiek stała przeszkodą do osiągnięcia lepszego losu. Otóż na podstawie tych informacyi mogę ci z czystem sumieniem powiedzieć, że Wilczek Jagienki nie godzien i nawet cale o nim nie powinno być mowy.

A tu opowiedziała całą historyę o bojarównie, przedstawiając Wilczka, jako człowieka, którego dusza piekłu się należy.

Wiadomość ta nie sprawiła na Chyzostomie tak wielkiego wrażenia, jakiego Gniewoszowa się spodziewała; być może, że o tem wiedział, boć przecie Wilczek się przed nim spowiadał. Cóżkolwiekbądź zdaje się, że udzielenie mu tej wiadomości

nie pozostało bez skutku, bo na to tak odpowiedział:

— Ja na tego rodzaju wybryki muszę się zapatrywać inaczej. Młodzież, co ich się dopuszcza, odpowie za nie swego czasu przed Bogiem, ale my ludzie i kapłani nie powinniśmy ich za nie zaraz ze społeczeństwa wyklinać, bo tym sposobem zamknęlibyśmy im drogę do poprawy. Przed chwilą byłbym ten jego postępek położył na inną wagę, ale kiedy wy o nim wiecie, to znowu rzecz inna. Porównawszy go z imć Cherubinem, oczywiście, że trzeba się przechylić na stronę syna jejmości. Tak każe rozum, ale pozwólcie mi, abym się Panu Bogu pomodlił — a dopiero potem ogłoszę wam moje postanowienie.

Zaczem wstał zaraz i szedł do wielkiej kaplicy na modły.

Obiedwie matrony rozmawiały jeszcze przez chwilę ze sobą, ale starościna nie mogła oprzeć się ciekawości, która ją piekła. Jakoż rzekła do kasztelanowej:

— Pójdę chyba i ja się pomodlić, trzeba mi łaski Boskiej, abym wiedziała, jak mam postępować w każdym wypadku.

A to rzekłszy, zaraz odeszła; ale nie poszła do tej małej kapliczki, która się znajdowała przy jej mieszkaniu i w której zawsze się modliła, tylko do owej wielkiej kaplicy, która była prawie jak kościół, a do której poszedł Chryzostom. Tam siadła w ostatniej ławce przy samym konfesyonale i uklęknąwszy, zaczęła się modlić. Kiedy weszła, o. Chryzostom klęczał na najniższym schodzie przed ołtarzem i modlił się ze złożonemi rękami. Potem wstał i położył się krzyżem na posadzce—i tak leżał z jakie dziesięć pacierzy. Gniewoszowej się zdało, jakoby przez ten czas głośno z sobą rozmawiał, albo może z kim innym, którego widział lub przywoływał do siebie; ale zapewne jej się to tylko zda-

wało, a on tylko głośno odmawiał pacierze. Nareszcie wstał, przeżegnał się, skłonił się przed ołtarzem ku ziemi, a obróciwszy się, szedł krokiem prawie żołnierskim i z głową podniesioną do góry ku drzwiom kaplicy.

Na jego widok Gniewoszową wziął taki lęk przed nim, że chciała się ukryć; być może, że jego surowa, a zarazem wspaniała w tej chwili postać przejęła ją zgrozą, być może także, że wśród modlitwy zachwiało się jej własne sumienie, ale przed jego orlim wzrokiem nigdy się nic nie ukryło. Spostrzegł ją zaraz, skinął ku niej głową, a wyprowadziwszy ją za próg kaplicy, rzekł do niej z pogodnym uśmiechem na twazy:

— Podziękujże Bogu. Miałem takie natchnienie, że trzeba dać Jagienkę twemu synowi.

Na to starościna pochyliła się nad nim, pocałowała go w ramię i rzekła:

— Niechże się dzieje Jego wola. Ale wracam twoją uwagę na to, że ze strony Jagienki może być opozycya.

Na to o. Chryzostom wyprostował się i rzekł głosem stanowczym, a zarazem wyniosłym:

— Przeciwko mnie opozycyi nie będzie. Kiedy ja idę z rozkazem Pana, to idę jak burza, żadna potęga ludzka mi się sprzeciwić nie może, kamienie się w proch rozsypują pod mojemi stopami, a dęby stuletnie gną się przede mną jak trzciny.

W tej chwili o. Chryzostom tak wyrósł w jej oczach, że zdawał się głową dosięgać pułapu. Gdyby jej kto był teraz powiedział, że ze swojej puszczy czasem głowę wystawia ponad wierzchołki lasu, to byłaby uwierzyła na ślepo. Ale zarazem napełnił ją wiarą i zaufaniem do siebie. Zaczem powiedziała mu jeszcze:

— Więc kiedyś już tak łaskaw na twoją sługę, mój ojcze, to jeszcze cię o coś poproszę. Oto, ażeby ślub odbył się jutro. Bo widzisz, mój syn

jest na służbie przy osobie królewskiej, wyrwał się tutaj za powoleniem swojego pana i lada chwila może być odwołany. Gdybyż go odwołano, to wiesz co to jest służba i jak król czasem jest nieużyty. Kto tam wie, coby się mogło wywiązać z takiej zwłoki?

Ojciec Chryzostom się nad tem przez chwilę namyślił, a potem rzekł:

— Najwłaściwiejby by było, gdyby im dał ślub biskup przemyski. Ale biskupa tam teraz nie ma, katedrę tę trzyma tymczasem arcybiskup lwowski, a do Lwowa daleko. Ale ja także nie mam czasu tu wysiadywać. Więc masz jejmość racyę, więc utro ślub.

To rzekłszy, odszedł prędkim krokiem, jak gdyby istotnie bardzo mu się śpieszyło. Starościna, uradowana nadspodziewanie, pobiegła czemprędzej do kasztelanowej, aby się z nią tą radosną nowiną podzielić. O Jagience tam ani mowy nie było. Dziecko, skutkiem przeciwnego naturze urządzenia rodziny, datującego jeszcze z czasów pogańskich, skutkiem niewłaściwego zastosowania do niej ustaw religii chrześcijańskiej, która ile możności tolerowała obyczaje znalezione pomiędzy nawróconemi ludami, skutkiem nareszcie tradycyi, która się z tych dwóch pierwiastków wyrobiła i z wiekami stężała, dziecko było naówczas rzeczą martwą w rękach rodziców i opiekunów, którzy też niem rozporządzali całkiem według swej woli. Synowie i córki, dopiero gdy utworzyli własną rodzinę, wyzwalali się z pod tego żelaznego prawa — a i wtedy jeszcze wola ojcowska dawała się często uczuwać żonatemu synowi, tylko córki podlegały już odtąd wyłącznie woli swych mężów.

Jagienka strawiła tę parę godzin we wrzącej, ale zarazem głęboko bolesnej niecierpliwości. Tam stanowiono o przyszłości całego jej życia — a ona nawet odezwać się nie mogła. Hardy jej umysł

burzył sia przeciw tej barbarzyńskiej niewoli: postanawiała sobie chwilami podnieść bunt jawny, powiedzieć wszystko, niechaj się dzieje, co chce, rzucić się wreszcie na ziemię i dać się wlec jak zarznięte bydlę do ślubu. Może się jej stryj nad nią zlituje, może i Gniewosz takiej żony nie zechce. Ale dusza jej upadała po każdem takiem postanowieniu. Jej czarne zapatrywanie się zabijało jej wolę. Stryj nie zlituje się nad nią, bo jest zakonnikiem i wobec zasady obedyencyi wszystko zniknie u niego; Gniewosza nic wzruszyć nie zdoła, bo idzie mu o majątek i koligacyę: ona sama nareszcie nie będzie miała siły potemu — jest sama jedna, nie ma nikogo po swojej stronie i nikt się za nią nie ujmie. Tak chwiejącą się między ożywczą pochucią buntu a odbierającą jej resztę sił rezygnacyą zastał ją o. Chryzostom.

Obaczywszy go wchodzącego, Jagienka się wstrząsnęła, objęło ją jakieś nieświadome uczucie, nad którem ból tylko górował świadomie i rzuciła mu się do kolan, a dwa strumienie łez potoczyły się po jej twarzy. Chryzostom, nie wiedząc wcale, co się w niej dzieje, a rozumiejąc, że jest to zwykłe wszystkim dziewczętom wzruszenie w chwili tak ważnej, podniósł ją z sercem ojcowskiem z ziemi, objął lewem ramieniem, pocałował w czoło, pogłaskał po twarzy i rzekł:

— Uspokój się moje dziecko, ja z dobrą przychodzę nowiną. Nie dam ja ciebie pierwszemu lepszemu, boś też ze wszystkich względów warta doskonałego męża. Wiem całkiem dokładnie, kto jest imćpan Gniewosz, jaki jest jego ród i jakie ma łaski u króla, prócz tego wybadałem go jak na spowiedzi, ma umysł wyniosły, a serce wyborne: jego tobie przynoszę i jestem pewny, że będziesz za nim szczęśliwą.

Na te słowa, potwierdzające jej czarne przeczucia, Jagience ciemno zrobiło się przed oczyma,

wszystkie siły ją opuściły, a tylko tyle przytomności jeszcze zostało, że się po sukni Chryzostoma zsunęła, upadła mu do nóg i zawołała łzami zalanym głosem:

— Mój ojcze!

Tu Chryzostom przypomniał sobie, o czem go staościna ostrzegła, podniósł ją z kolan, posadził przy sobie i zapytał głosem łagodnym, ale oczywiście z myślą podstępną:

— Powiedzże mi otwarcie, moje dzieciątko, Gniewosz nie bardzo ci się podoba, możebyś wolała którego innego?

To niespodziewane pytanie ocuciło Jagienkę i dodało jej cokolwiek odwagi, przechyliła się na piersi swojego stryja i rzekła półgłosem:

— Wolałabym Wilczka.

Więc Chryzostom posadził ją znów z dobrocią koło siebie i rzekł:

— Dobrze, żeś mi to powiedziała. Słuchajże moja dziecino, a wiedz najprzód o tem, że ja sam pierwszy pomyślałem o Wilczku dla ciebie. Ale taksamo sumienne wziąłem o nim informacye, jak o Gniewoszu i muszę ci powiedzić, że Wilczek ciebie nie godzien. Wilczek ma występek na swojem sumieniu, występek taki, któryby ci zatruł całe twoje życie...

Przy tych słowach Jagienka, cała łzami zalana, cofnęła się od niego i podniosła rękę do góry, jak gdyby chciała stanowczo temu zaprzeczyć; ale Chryzostom, wyborny znawca serc ludzkich, widząc już dobrze, że Jagienka jest Wilczkiem zajęta, że każda zwłoka jest niebezpieczną, że powinien działać raźnie i użyć w ten moment całej swojej powagi, wstał i dodał głosem stanowczym i uroczystym.

— Każdy inny, tylko nie Wilczek. Na Wilczka nigdy ci nie pozwolę. A żebyś o nim zapomniała tem prędzej, wybrałem dla ciebie Gniewosza.

Jutro sam was pobłogosławię. Przygotuj się więc do tego aktu—a wiedz o tem, że za maluczko tak samo padniesz mi do nóg za to, żem tobą tak rozporządził.

I z temi strasznemi słowami wyszedł prędkim krokiem z pokoju.

Jagienka była tym ostatecznym wyrokiem jak odurzona. Jednak w pierwszej chwili ból i lęk przed Gniewoszem ustąpiły jej z serca, a natomiast zdjęło ją oburzenie, że ktoś śmie taką potwarz rzucać na Wilczka. Załamała ręce przed sobą, oczy podniosła ku niebu i zawołała do siebie:

— Wilczek! występek!... O Boże! takich ohydnych środków używają ci ludzie, ażeby swemu gwałtowi drogę do mnie uścielić!...

Potem to oburzenie ją opuściło. Natomiast zaś cała groza jej położenia przed nią się ujawniła.

Stało się. Nie było już dla niej żadnego ratunku. Zniknęły ostatnie promienie nadziei. To śmierć. Czarna otchłań napełniła jej izbę — a na progu kat stoi...

Niebawem potem kasztelanowa i starościna weszły do jej pokoju.

Obaczywszy te dwie matrony, Jagienka zupełną odzyskała przytomność. Uczucie dumy ją ożywiło i powróciło jej władzę nad sobą. Jeśli mam zginąć — mówiła sobie w głębi swej duszy — to niechże zginę z godnością niewinnej ofiary i z pogardą dla tych, którzy mnie gubią. I zacięła się tak, jak dziś rano. Nie wypuściła ani jednej łzy z oka, ani jednego z piersi westchnienia—a wszystkich grzeczności, perswazyj i powinszowań słuchała w milczeniu, a nawet z udaną obojętnością. Kasztelanowa i starościna, przekonane najgłębiej, że humory rozpierzchną się po weselu, były z niej dosyć zadowolone i tak ją poprowadziły do wieczerzy.

Przy wieczerzy obiedwie matrony, a nawet sam

Kmita usiłowali rozbudzić wesołość. Jagienka temu wcale nie przeszkadzała. Chociaż nie rozgłoszono jeszcze, że deklaracya już się odbyła, a ślub ma się jutro odprawić, posadzono ją przy Gniewoszu; ona była bardzo grzeczną dla niego, a nawet, kiedy on się zamyślił, po kilka razy sama z nim rozpoczynała rozmowę. Ale wesołość się nie da narzucić. O. Chryzostom, widząc tę niestrojność humorów, zabrał głos i opowiadał o swoich podróżach do Ziemi Świętej, a tak uwolnił wszystkich od wymuszonych uśmiechów. Wczas przed północą wszyscy udali się na spoczynek.

Nazajutrz rano odbył się ślub w zamkowej kaplicy—a po południu wesele.

Na tym naszym świecie, odkąd ludzie na nim poukładali się w społeczeństwie, gdzie nad uczuciem i wolą człowieka muszą koniecznie górować prawa i obyczaje, bo inaczejby społeczeństwa nie było, częstokroć w najważniejszych pomiędzy ludźmi układach zupełnie inną jest właściwa treść aktu, a inne pozory. Bywają pogrzeby, które dla ich uczestników są prawdziwem weselem — i bywają wesela, które dla łączących się ślubem dozgonnym są prawdziwym pogrzebem. To pamiętne w dziejach sobieńskiego zamku wesele, z którego poezya gminna stworzyła powieść ludową, a którą tradycya aż do naszych czasów doniosła, grzebało także szczęście tych dwojga ludzi, jeżeli nie na zawsze, to pewnie na długo. Czuli to oni oboje i szli przed ołtarz jak na rusztowanie: Jagienka blada jak śmierć, pochylona cokolwiek naprzód, jak gdyby się uginała pod przenoszącym jej siły ciężarem niedoli, patrząca przed siebie i unikająca wzroku swych gnębicieli—Gniewosz z uśmiechem na twarzy i niby całkiem siebie świadomy, lecz widać było po nim, że krew w nim zastygła i idzie naprzód nie własną siłą, ale moralna przemocą wleczony, której się oprzeć nie może.

Na to wesele zbębniono cokolwiek szlachty z bliższych okolic — i wyprawiono sowitą biesiadę z muzyką i tańcami. Jagienka wytężyła wszystkie swe siły i trzymała się jak mogła, ażeby nikt nie dostrzegł, co się w niej dzieje; tańcowała nawet zarówno ze wszystkimi, choć jej się serce krajało. Gniewosz także tańcował i pił ze szlachtą ochotnie, odpowiadając wesoło i głośno na jej szumne wiwaty.

Już sama załoga zamkowa stanowiła tłum bardzo liczny—pomnożona okolicznymi gośćmi, przepełniła wszystkie komnaty; nie żałowano trunków, hałaśliwej muzyki i wszelkiej ochoty, wszczęły się więc hałas, tartas i wrzawa, tak, że trudno było siebie samego dosłyszeć. Jagience dobrze było w tej wrzawie; mówiła sobie: Gdyby to wesele trwało wciąż, choćby do grobu...

Ale obyczaje ówczesne chciały, ażeby wśród trwającego wesela odbyły się pokładziny. Poczem o samej północy pozapalano wieloramienne lichtarze, po jednej stronie stanęły matrony i drużki, po drugiej starostowie i drużbowie, w środku zaś państwo młodzi — i tak ten tłum różnobarwny przy świecach jarzących odprowadził ich do łożnicy.

Była to chwila najstraszniejszej grozy i najwyższej boleści dla Jagienki. Natenczas krew całkiem ścięła się w jej żyłach, czuła obiegające po całem ciele jak gdyby lodowate strumienie, dreszcz zimny objął ją od stóp do głowy, trzymała się już tylko bezwiednie na nogach, w głowie uczuła próżnię, jak gdyby w niej już żadnej myśli nie było. A przecież jeszcze się tam jakieś myśli błąkały, ostatnie wysiłki jej woli. Bo mówiła sobie: — Rzucę się przed nim na kolana i będę go błagać, jest przecie szlachetnym rycerzem, może się zlituje nademną, a jeśli nie, to niech mnie rozedrze; — tak lepiej.

Na tymczasowe mieszkanie dla państwa mło-

dych Gniewoszowa odstąpiła swojego apartamentu. Przeprowadzono ich więc przez tę wielką komnatę, w której była kaplica, potem jeszcze przez jednę izbę przepełnioną sprzętami i zatrzymano się u progu sypialni, w której środku, nagłowiem o jednę ścianę oparte, stało szerokie łoże pod baldachimem z otwartemi ze wszystkich stron firankami. Tam jeszcze jakiś starosta miał dosyć długą przemowę, oddając Gniewoszowi pannę młodą, potem starościna i kasztelanowa uścisnęły Jagienkę, a wreszcie wprowadzono ich oboje do sypialni i drzwi za nimi zamknięto. Teraz mą się jej los zdecydować — życie lub śmierć.

Jagienka stanęła przy nogach łoża, oczy spuściwszy ku ziemi i ręce opuściwszy ściśnięte przed sobą, gotowa jednak podnieść je w swojej obronie.

Gniewosz stał przed nią, lecz wcale tak nie wyglądał, jak gdyby ją chciał atakować. Owszem przeciwnie, sam niezmiernie zakłopotany, milczał przez chwilę. A kiedy uczuł, że to milczenie już jest za długie, rzekł do niej grzecznie:

— Waćpanna zdajesz się być wzruszoną i mocno zmęczoną, możebyś chciała w samotności odpocząć.

Słowa te ożywiły Jagienkę, złożyła przed nim ręce i zawołała z pokorą:

— Jeżeli mam tylko cokolwiek łaski u mego męża i pana, to proszę o to.

Natenczas Gniewosz rad bardzo, że mu się ta wymówka udała, ukłonił jej się i wyszedł, a w zbytku radości zapomniał nawet drzwi przymknąć za sobą.

Jagienka odetchnęła z głębi piersi i rzekła do siebie:—Być może, że jeszcze nie dziś!

Ale niebawem dostrzegła, że drzwi niezamknięte, więc znów ją przejął lęk niewymowny. Nie zamknął drzwi, zapewne powróci. Siadła więc w głowach łóżka, schowała się za firankę i w piersi od-

dech zaparła, mówiąc sobie: On pewno siedzi w pierwszej izbie i czeka, jak usłyszy, że nie śpię, to gotów wrócić. Tak w niewysłowionej trwodze czuwała dobrą godzinę.

Tymczasem zaczęło ją morzyć zmęczenie, powieki ciążyły jej ołowiem na oczach, wysilała się, aby sen od siebie odpędzić, lecz czuła zarazem, że ciało jej mdleje. Zebrała więc znów wszystkie swe siły i przystąpiwszy na palcach do drzwi otwartych, nie miała odwagi do pierwszej izby zaglądnąć, ale drzwi lekko zamknęła i zasunęła zasuwkę. Czuwała jeszcze przez chwilę, ale nic w pierwszej izbie się nie ruszyło; Gniewosz nie wrócił. Poczem, nie rozbierając się, jak żołnierz na czatach, chociaż w nieustających dreszczach i trwodze, usiadła na krześle przy łóżku, oparła głowę o poduszki i zasnęła.

Bóg tylko wiedział, jakie piekielne przez tę noc przeszła męczarnie. Jeszcze w tym śnie dorywczym najstraszliwsze mary pastwiły się nad nią, którym chciała się bronić, ale siły potemu nie miała. Tak męczyła się z sobą i z temi marami, aż póki światło w oknach nie zabielało. Ze świtem uspokoiła się cokolwiek, bo jej się zdało, że teraz już Gniewosz nie przyjdzie. Dopiero promienie słońca, uderzając w jej szyby, obudziły ją z tego snu, który ją zmorzył, ale nie mógł pokrzepić.

Gniewosz przedrzemał noc całą w tem samem krześle obok kaplicy, w którem usłyszał wyrok swej matki, skazujący go z macierzyńskiej miłości na niewolę małżeńską na całe życie.

Nazajutrz rano panny służebne niepomału były zdziwione, że zastały Jagienkę nierozebraną i we wczorajszej sukni weselnej — i różnie o tem pomiędzy sobą gadały; ale ubrały ją milcząc wedle jej woli. Poczem Gniewosz przyszedł także przebrany i poprowadził ją pod ramię do komnat, gdzie na nich czekano z obiadem.

Oboje byli na teraz zadowoleni z siebie, chociaż tego po nich nie było widać. Jagienka miała cerę jakby zwarzoną, powypiekane rumieńce na twarzy i oczy podbite łukami niebieskiemi; Gniewosz zaś miał twarz obrzękłą i był cały, jak z krzyża zdjęty; dowcipni ludzie, mrugając na siebie, robili sobie o tem rozmaite uwagi — ci mądrzy ludzie, co rozumieją, że nic przed nimi się nie ukryje, rzadko kiedy co wiedzą, zawsze sadzą z pozorów, lecz mimo to tworzą opinię.

Jednak cały ten dzień przeszedł na przystojnej zabawie, wszystko się rozwijało napozór jak najpomyślniej i obiecywało ziszczenie wszystkich nadziei; jakoż istotnie dotychczas zdarzył się tylko jeden niespodziewany wypadek.

Oto dnia wczorajszego, właśnie w tej samej chwili, kiedy ogłoszono całemu dworowi, że pan Gniewosz żeni się z panną Jagienką i że wszyscy dworzanie mają w wielkiej gali wystąpić do asystencyi przy ślubie, młody Pretficz został porażony jakąś niesamowitą niemocą; padł, jakby piorunem zabity bez zmysłów na ziemię i długo nie można go było docucić. Wszyscy już rozumieli, że umarł. Jednak nareszcie się go docucono, balwierz zamkowy upuścił mu krwi, położył do łóżka i dał mu pić jakieś zioła, ale nie ręczył za to, że go wyleczy, bo go objęła gorączka mózgowa, która na teraz odjęła mu zmysły. Biedny Lubek, z bukietem Jagienki na piersi, oczywiście bujał po niebie; na wieść o jej ślubie spadł nagle w piekło i tam się teraz borykał ze złymi duchami. Tak trzeba było domyślać się z tego, co teraz w gorączce bredził. Tak się domyślał Smolicki i dlatego wczoraj wieść o jego ciężkiej chorobie zataił, a nawet samemu kasztelanowi tylko powiedział, że Lubek lekko zaniemógł; dopiero dziś się to jakoś rozniosło, wszyscy go żałowali, ale więcej się tem nie zajmowano. Tylko starościna, której bacznemu oku żaden szczegół nie uszedł, powiedziała kasztelanowej na stronie:

— Widzisz, moja kochana niebogo, jakie niebezpieczeństwa tu was otaczały. Ten chłopiec oczywiście rozchorował się z miłości. Tam Wilczek, tu Pretficz... a jeszcze do tego i Kergolaj, który nie ku pomnożeniu jej dobrej sławy hałasuje po świecie. Przyznasz mi sama, żeśmy w sam czas tym kabałom głowę ucięli.

Kasztelanowa ścisnęła jej rękę w milczeniu i więcej o tem już nie mówiono.

Odtąd Gniewoszowie jeszcze trzy dni bawili na zamku. Wszystkie te dnie były zupełnie do siebie podobne. Co wieczór Gniewosz odprowadzał swoją żonę do sypialni, powiedział jej kilka słów obojętnych, oddał dobranoc i wychodził, ażeby całą noc przespać w krześle obok kaplicy.

Jagienka nie umiała sobie wytłómaczyć tego postępowania i przypisywała je delikatnym jego uczuciom rycerskim, które mu nakazywały mieć wzgląd na jej zdrowie, na które ciągle skarżyła się sama. Nie oddawała się wszakże żadnym złudzeniom, albowiem w swojem ciężko zbolałem sercu miała to przekonanie, że chwila gwałtu, a zatem i chwila śmierci, na którą była stanowczo przygotowaną, tylko się z dnia na dzień odwleka, lecz przyjdzie niechybnie. Ale zawsze ta zwłoka przynosiła jej pewną ulgę, która skołatany jej umysł cokolwiek krzepiła. Prócz tego, skutkiem wypływającym z natury serca ludzkiego, za względy doznane dotąd od męża odezwało się w niej uczucie wdzięczności i szacunku dla niego, a po tem uczuciu zakradł się do jej serca promyczek nadziei, że w chwili stanowczej, rzuciwszy mu się do nóg, a choćby nawet przyznając się do swojej miłości dla Wilczka, może potrafi sobie wybłagać litość u niego. Tak wśród najczarniejszej rozpaczy, gdzie rozum ludzki nie może dojrzeć żadnego środka ratunku, serce człowieka, pragnące życia, dopatrzy jeszcze jakiś blask szary, w którym jego wyobraźnia wymaluje nęcącą postać nadziei...

Dla Gniewosza te noce przespane w twardem krześle skórzanem były równie nieznośne. Już nie czuł kości w sobie, a tylko jego młodość i nadzwyczajna siła fizyczna trzymały go jakkolwiek na nogach. Jakże się uradował, kiedy mu matka nareszcie zapowiedziała, że intercyza jest już spisana i że jutro mogą wyjechać. Podróż uwolniła go od tych męczarni nieznośnych.

Podróż tę urządził on według swego rozumu. Matka i żona jechały w landarze, za niemi wozy z fraucymerem i pakunkami, a on z żołnierzami na koniu, czasem na przodzie, a czasem za kobietami. Noclegi porozkładał po gospodach, gdzie nigdy dostatkiem miejsca nie było, ledwie jedna izba jakokolwiek wygodna, którą zawsze dawał matce i żonie; sam zaś sypiał gdziebądź, byle nie w jednej izbie z Jagienką—a o to mu głównie chodziło. Podróż ta trwała cały tydzień, bo drogi ówczesne były bardzo niesposobne dla ciężkiej landary, a często nawet dopiero ich trzeba było szukać, objeżdżając pagóry i puszcze, aż dopiero ósmego dnia wieczorem pokazał się im na zachodniem tle nieba wspaniały zamek Czorsztyński.

Zamek na Czorsztynie, jeden z najstarszych w Polsce, jeszcze rzymskie czasy pamiętał i wtedy nazywał się *Carrodunum*. Położony na samej granicy Węgier, nad brzegiem Dunajca, na wyniosłych czerwonych skałach, był wielokrotnie przebudowywany i powiększany przez Bolesława Wstydliwego, który się tutaj chronił przed najazdem Mongołów, przez św. Kingę, księżnę ziemi Sądeckiej, przez Kazimierza W., przez Władysława Jagiełłę, a wreszcie przez Zawiszę Czarnego, który, będąc starostą spiskim, tu rezydował. Teraz była to wprawdzie nieregularna, ale ogromna budowa, z trzema zębatemi wieżami, sterczącemi tylko cokolwiek wyżej nad dachy miedziane, a z czwartą o wiele wyższą od wschodu, opatrzoną kilkoma krużgankami i dachem

spiczastym. Ściana wschodnia była też ze wszystkich najszerszą i najokazalszą i widać było w niej cały szereg ogromnych okien gotyckich. Czarne lasy otaczały z trzech stron to zamczysko, tylko od południa w rozległej dolinie błyszczał niebieską wstęgą szeroki Dunajec, odgraniczający Polskę od Węgier.

Noc już zapadła, niebo było zasiane mdlejącemi gwiazdami, których światło wcale nie zmniejszało ciemności, tylko zachodni kres widnokręgu jeszcze szarzał cokolwiek i pozwalał ludzkiemu oku dojrzeć poważną i surową postać zamczyska, rysującą się ostro na tle puszczy lesistej. Jednak w tej chwili wszystkie okna zamku były rzęsisto oświetlone i rzucały wstęgi żółtawego światła na czerwone skały i gęste drzewa liściaste, skupione grupami u stóp murów zamkowych.

Widok tej zatopionej w nieprzebytych lasach rycerskiej siedziby, w której wnętrzu płomienne ognie gorzały, sprawił na zbolałą ogromem swojego nieszczęścia Jagienkę przerażające wrażenie; cała jej przyszłość straszliwa stanęła jej przed oczyma, westchnęła z głębi ściśnionej piersi i rzekła do siebie: Jeśli to nie jest mój grób, to będzie to moje wieczne więzienie...

Tymczasem Gniewosz, jak tylko stanął na zamku, prawie do niepoznania się zmienił. Był on tu panem samowładnym i panem nielada, bo do jego starostwa należało wsi kilkanaście i ogromne przestrzenie, a oprócz tego, na zamku stała załoga z kilkudziesięciu zbrojnych ludzi złożona, nad którymi miał komendę namiestnik, człowiek poważny, szlachcic herbowny i mający swe własne dobra w sąsiedztwie. Namiestnik ten rządził w jego imieniu całem starostwem i zamkiem, i nikt nie mógł się mieszać do jego rządów, bo on był za nię odpowiedzialny przed królem. Jego matka miała tu tylko mieszkanie, wszelki respekt i wszelkie wygody, ale żadnej

władzy nad nikim, bo przecie obrona granic, rządy i sądy nad całym tak znacznym kraikiem nie mogą być rzeczą kobiety. Kiedy więc tutaj całkiem inny duch w niego wstąpił, jego matka dziwnie przed nim zmalała. Pod wpływem tego uczucia nie mógł sam tego zrozumieć, jak nizko upadł na duchu na zamku sobieńskim. Rozmyślał nad tem i znalazł, że niepotrzebnie się ugiął tak prędko: głupstwo zrobił, że przyznał się matce do niedorzecznej napozór przysięgi danej Formozie, przez co odkrył jej słabą stronę swoich zamiarów i wykonanie przymusu ułatwił, ale zawsze mógł jeszcze się uprzeć i odwlec wesele. Dlaczego tego nie zrobił, sam dzisiaj nie wiedział. Pochwycono go w słabej chwili i w takiem miejscu, gdzie nie czuł ziemi pod swemi stopami. Ale stało się; trzeba się teraz obejrzeć, jakby się z tej matni wydobyć, a na teraz ulżyć sobie istnienie.

Jakoż przedewszystkiem tak urządził mieszkanie dla siebie i dla Jagienki, aby nikt nie mógł wiedzieć, co się dzieje pomiędzy nimi. Potem zaś zajął się musztrą żołnierzy, rewizyą zbrojowni, rynsztunków, rachunków i objeżdżaniem folwarków tak skrzętnie, że zwykle dopiero późno w nocy powracał, kiedy wszyscy już spali.

Zarazem zajął się napisaniem listu do Formozy. Bardzo to trudne było zadanie: najprzód z powodu niesforności pióra, które bardzo było niepos łuszne ówczesnym rycerzom, a powtóre dlatego, że sam zwątpiwszy o tem, czy musiał się poddać swej matce, czy mógł się oprzeć, nie mógł znaleźć argumentacyi, którąby swój postępek mógł zupełnie usprawiedliwić. Ale jego otwarty charakter mu pomógł: powiedział jej całą prawdę, jak to nieszczęście się stało, ponowił jej swoją przysięgę, ją od wszystkich przyrzeczeń uwolnił, resztę oddał na wolę Bożą—i wyprawił z tym listem zaufanego człowieka do Lwowa.

Tak minął mu jaki tydzień w Czorsztynie — a po tygodniu przybiegł goniec z Krakowa, z listami, ażeby natychmiast przyjeżdżał do króla.

Natenczas Gniewosz, uradowany niezmiernie, że choć na jakiś czas może się wyrwać z tej matni, jeszcze tego samego dnia do Krakowa wyjechał — a jeśli był kto na zamku, który ze szczerego serca mu życzył szczęśliwej podróży, choć sam zostawał w więzieniu, to była nim pewnie Jagienka.

IX.

Średniowieczna imaginacya.

Wara, pobożny pielgrzym po zamkach i dworach, będący w łaskach u św. Stanisława, znający jak własną kieszeń Rzym, Palestynę i górę św. Graala, w istocie rzeczy nigdy nosa nie wytknął po za granice Polski, a żył z przesyconej zabobonami łatwowierności szlachty. *Mundus vult decipi*, to było jego zasadą, a zarazem i środkiem do życia. Pełen żywej imaginacyi i nieprzebrany w pomysłach, umiejący kłamać z zuchwalstwem swojemu wiekowi właściwem, a do tego odgrywać z wielką zręcznością każdą rolę, jaka mu właśnie była potrzebną, przywłaszczywszy sobie charakter sługi Bożego, w tych czasach, gdzie Kościół jeszcze nie mógł się otrząsnąć z niezliczonej ilości pasorzytów najrozmaitszego rodzaju, mógł był sobie istotnie wykłamać jakie intratne probostwo; ale, na swoje nieszczęście, fatalną miał konduitę.

Wyrwawszy się z zamku na Sobniu, gdzie mu widoki na jakąś tłustą prebendę już całkiem się zachmurzyły, i schwyciwszy na drogę łańcuch złoty wielkiej wartości, najpierw ten łańcuch zastawił u Żydów w Sanoku i pił sobie przez całą noc w tem wesołem miasteczku. Kiedy nazajutrz rano doszła

go głucha wieść, jakoby już dziś miało się odbyć na zamku wesele, chociaż tej wieści nie wierzył, zerwał się i czem prędzej w dalszą podróż pośpieszył. Ale mimo to jechał rzemiennym dyszlem. Albowiem tutaj, zajechawszy do szlachica na popas, zagadał się z nim przy dzbanie, wieczorem przyjechali sąsiedzi, ani podobna było im się wymówić, przepił więc z nimi dzień jeden i drugi; tam znowu wpadł między bogatych kmiecі, którzy właśnie wyprawiali wesele i przenosiny i zabawił się z nimi cokolwiek— a kiedy się wyrwał z pomiędzy kmiecі, to znowu mu szlachta zajechała drogę przy samej gospodzie. Śpieszył się bardzo, ale cóż, kiedy go wszędzie na rękach noszono, a jak wziął opowiadać, to mu i konia w stajni zamknięto i nie wypuszczono, aż póki nie skończył opowiadania. Tak przemarudził cały tydzień i ani się spostrzegł, że zamiast jechać prosto na Przemyśl, zajechał aż gdzieś koło Komarna, i dopiero ztamtąd puścił się wielkim gościńcem do Lwowa. Przyjechał nareszcie, ale gdy zsiadł z kulbąki przy bramie Niskiego zamku, dowiedział się ku swemu zdziwieniu, że Wilczek właśnie przed dwoma dniami odjechał z królem do Krakowa.

Na tę wiadomość naprawdę cokolwiek mu się ckliwo zrobiło, bo spostrzegł, że przecież to nie jest rzecz, wziąwszy poselstwo w sprawie tak nagłej, tak wiele dni przemarudzić w podróży. I Jagienka gotowa się na niego pogniewać, i chociaż pójdzie za Wilczka, nie dać mu w swoich dobrach probostwa, i Wilczek gotów go sfukać—a z takim rycerzem nie dobrze żartować, bo czasem, jak się rozfuka, to zaraz i kości połamie. Trzeba się będzie z tej zwłoki jakoś zręcznie wykłamać. Jednak teraz już wziął rzecz na seryo, sprzedał Kmitowskiego konia we Lwowie razem z kulbaką — a najmując sobie furki od miasta do miasta, i nakładając nocą w podróży, czwartego dnia w nocy stanął w Krakowie. Przespawszy się w bursie rybałtów, gdzie jako między

wesołą gawiedzią jest po bratersku przyjęty, nazajutrz rano poszedł na zamek i kazał się zamkowym żołnierzom zameldować u Wilczka.

Wilczek, od czasu swego wyjazdu ze Lwowa, popadł w bardzo pochmurne usposobienie umysłu. Już podczas jego pobytu w tem mieście, zwłaszcza od chwili wyjazdu Gniewosza na Sobień, kiedy już widział, że nie tak łatwo się wyrwie od króla, gorąca niecierpliwość żarła mu serce, a czasem nawet w chwilach samotnych w czarną zamieniała się rozpacz. Zaciął się, jego uczucie rycerskiej godności, podsycane słuszną obawą, ażeby obojętni na cudze cierpienia dworacy, zamiast mu ulżyć współczuciem, nie naigrawali się z jego miłości, nie pozwalało mu przyznać się komukolwiek do tych piekielnych boleści, które mu duszę targały. Nie przyznał się do nich nawet przyjaciołom tak szczerym, jakich miał w domu Kijasa. Zaciął się więc, zamknął się w sobie i stał się nieprzystępnym dla wszystkich.

Tak nawet zachował się względem Kamienieckiego, bo nie mógł mu tego przebaczyć, że mu nie przychodzi z pomocą, chociaż wie dobrze, jakby mu ulżył, gdyby tylko od czasu do czasu mu się usprawiedliwił, że jeszcze wyjechać nie może. Kiedy król kazał zatrąbić na odwrót we Lwowie, przemógł swoją zaciętość i dał Kamienieckiemu do zrozumienia, że teraz król by mu zapewne pozwolił skoczyć na Sobień: przyśpieszywszy cokolwiek podróży, mógłby deklaracyą odprawić na Sobniu i prawie razem z królem zdążyć na zamek krakowski, boć niedaleka to droga. Ale Kamieniecki wyściskał go i wycałował i zapewnił słowem rycerskim, że tego zrobić nie może, król waży teraz w swej głowie bardzo doniosłe projekty na sejm niedaleki, więc jego obowiązek obywatelski nie pozwala mu go ani na chwilę odstąpić. Tej jego sprawie małżeńskiej nie grozi przecież żadne, a zwłaszcza tak

nagłe niebezpieczeństwo; jak tylko będzie można najprędzej, obydwa razem na Sobień pojadą... Taka była odpowiedź Kamienieckiego.

— Niechże was jasne pioruny zatrzasną z waszą przyjaźnią — pomyślał sobie Wilczek w swojej piekącej niecierpliwości, ścisnął swą boleść pomiędzy żebrami, jak w kleszczach żelaznych, zamilkł jak mnich, czoło pokrył pochmurnemi zmarszczkami, dumę swą jeszcze wyżej napiętrzył i rzekł do siebie: Pierwej samemu dyabłu się oddam w opiekę, niżeli którego z was o pomoc poproszę!

W takiem usposobieniu zastał go Wara.

Jak tylko Wilczek tego Kmitowskiego dworaka obaczył, zerwał się z krzesła, przystąpił żwawo ku niemu i zawołał:

— Wara! Wara w Krakowie! jakiż zły duch ciebie tutaj przynosi? zkądże ty jedziesz? ze Sobnia?

— Dobry duch mnie przynosi — odpowiedział Wara z uśmiechem — przyjeżdżam w sekretnem poselstwie od panny Jagienki do pana starosty.

— Więc cóż? z czemże cię przysyła Jagienka? czy tam się co stało?

— Nic, wszystko dobrze — powie mu Wara — panna Jagienka sercem miłuje pana starostę i bardzo tęskni za waszą miłością, ale się boi, aby jej nie zaswatano z kim innym.

— Z kimże to?—zawołał Wilczek, bledniejąc jak ściana—przecie tam nie było nikogo.

— Nie było dotąd, ale teraz jest tam pan Gniewosz i jego matka jest także, prawdę mówiąc z piekła rodem... matrona i oboje myszkują około panny.

— Gniewosz! — zawołał Wilczek, zamyślając się na oka mgnienie—Gniewosz? nie może to być. Nigdyby Gniewosz nie zajeżdżał do panny, którą ja zmówiłem dla siebie.

Na to zaś rzecze Wara:

— Ale być może, że pan Gniewosz nic o tem nie wie...

— Nie wie?—rzekł Wilczek jakby do siebie— jużci nie wie, bom mu nic nie powiedział. Więc gadajże prędko, co się tam dzieje?

Tu opowiedział mu Wara ze szczegółami, jako Gniewoszowa tego samego dnia zajechała na Sobień, kiedy on do Kamieńca wyjechał, jak tam cały miesiąc przesiedziała widocznie w tym celu, ażeby swemu synowi drogę do Jagienki uścielić, jak potem swojego syna na Sobień wezwała—i owóż rzecz.

Wilczek go słuchał z taką ciekawością, że prawie jego słowa połykał, tu wszakże porwał go drżącą ręką za rękaw i spytał:

— Więc cóż się stało? nic jeszcze?

— Już się coś stało—rzekł Wara — i właśnie dlatego za jegomością tak gonię na dzień i noc. Zdaje się, ba i rzecz pewna, że kasztelaństwo stanęli po stronie Gniewosza, bo właśnie pani kasztelanowa zaprosiła pannę Jagienkę do swojej komnaty i zapowiedziała jej, że postanowili ją dać Gniewoszowi.

— Już postanowili?—zawołał Wilczek ustami drżącemi od gniewu i oburzenia — więc z tem do mnie przyjeżdżasz? z tem cię Jagienka do mnie przysłała? Czegoż więc ona chce odemnie? Niechże ją Bóg błogosławi, oto moja odpowiedź.

— Panie starosto! — powie mu na to Wara ze spokojnym uśmiechem—nie potrzeba rozpaczać. Gdyby tak było, to Waraby tu nie przyjeżdżał. Można jeszcze temu zapobiedz...

— Cóż ty mi gadasz! — zawołał Wilczek, porwany w tej chwili zupełnie uczuciem rozpaczy — kiedy kasztelaństwo stanęli po stronie Gniewosza, to wszystko przepadło. Nigdy u nas dziewka nie oprze się woli swych opiekunów. A potem, co tam! Widzę ja dobrze, jak się to stało. Gniewoszowa, coby wszystkie krakowskie przekupki potrafiła przegadać, wszystkich ich opanowała. Kasztelanowa so-

bie do mnie coś upatrzyła, wiem o tem, dlategom też do Kamieńca pojechał, zawzięła się na mnie, nawinął się Gniewosz, więc jemu dać Jagienkę; komukolwiek, byle nie mnie. Kasztelan, duda jak zawsze, najniższy sługa jejmości, jejmość tak postanowiła, więc i on za tem. Jak Zawisza podpisze, to i Pakosz takoż. A Jagienka... Panie Boże jej odpuść. Prędko się zapomniało, co się sto razy przysięgło!...

Te ostatnie słowa powiedział Wilczek głosem zalanym łzami, widać było, że obok uczucia rozpaczy, głęboki żal go porywa; ale Wara mu nie dał dokończyć, mówiąc prędko:

— Nie tak, panie starosto. Co Wara mówi, to prawda. Można jeszcze temu zapobiedz, bo kasztelaństwo nie mają nad panną Jagienką opieki. Jej opiekunem jest jej stryj, o. Chryzostom—i właśnie z tem mnie panna do jegomości przysyła. A tu jest znaczek, napisany jej własną ręką, abyś mi jegomość uwierzył.

To mówiąc, podał mu kartkę Jagienki.

Wilczek, wyrwawszy mu kartkę z ręki i przeczytawszy na niej te słowa: „W zmiennych losach niezmienna Jagienka", jak gdyby nagłem światłem olśniony, całkiem się zmienił. Jego twarz się rozpromieniła, oczy błysnęły blaskiem nadziei, w całą jego postać nowe wpłynęło życie; tak spojrzał w twarz Warze i rzekł:

— Więc cóż ci Jagienka powiedziała? powiedz mi jeszcze raz, chciałbym wiedzieć każde jej słowo.

Zaczem Wara opowiedział mu szczegółowo, ażeby widział to wszystko jak na dłoni, jako Jagienka na tę zapowiedź kasztelanowej rozpłynęła się w łzach, jako już zrozpaczyła o wszystkiem, jako ją Smolicki nauczył, że to wszystko nie ma żadnego znaczenia, bo tylko sam o. Chryzostom dysponuje jej losem, jako jej zaraz poradził wysłać zaufanego człowieka do Lwowa, jako Smolicki jego

na tego posła nastręczył, jako Jagienka sama mu to poselstwo zleciła, jako mu powiedziała wyraźnie, że to jej śmierć, jeśliby ją za Gniewosza zmusili— a wreszcie jako mu nakazała pędzić na dzień i noc i Wilczka ubłagać, ażeby bez odetchnienia jechał do o. Chryzostoma i za jego pomocą ją wyratował.

Wilczek słuchał go z rozczuleniem, pożerając chciwie jego wszystkie wyrazy, ale widocznie już sobie układał w głowie, co i jak ma przedsięwziąć, bo wysłuchawszy go, zawołał:

— Juźci mnie o to błagać nie trzeba! Mnie nie żyć bez niej. Ja cały świat przewrócę do góry nogami, abym ją dostał — a jeśliby mi się sprzeciwiali Kmitowie, to im zamek najadę i w proch go zetrę, że kamień na kamieniu tam nie zostanie! Jeszcze ja zbiorę taką chorągiew jak trzeba — a choćbym miał dyablu duszę zapisać, to podruzgocę tę budę Kmitowską na miazgę, a jego ciurów jak podłe płazy podepczę! Dla Jagienki żadna cena nie będzie za drogą... Ale Chryzostom mnie przecie nie zdradzi. Bylem się tylko ztąd wyrwał! Bywajże zdrów. Panie Boże ci zapłać za tę usługę— a jeżeli czego będziesz potrzebował odemnie, to licz na mnie jak na Zawiszę.

To rzekłszy, szedł zaraz do króla.

Chociaż to było jeszcze bardzo rano, król siedział już z Kamienieckim w swym gabinecie i ważną był z nim zajęty rozmową.

Kamieniecki prawdę powiedział Wilczkowi, że nie może opuścić króla ani na chwilę, ale nie całą, bo cała prawda w sprawach publicznych objawia się dopiero w czynach. We wszelkich o nich dyskusyach wychodzi na jaw tylko jej cząstka, ta cząstka, jaką każdy z dyskutujących objawić musi w swym interesie, bo dobro publiczne każdy zawsze pojmuje ze swego własnego punktu widzenia, a Rzeczpospolita — bardzo rzadkie są od tego wyjątki — była po wszystkie czasy i we wszystkich narodach

tem polem, na którem człowiek goni za podniesieniem siebie samego, zaś tylko to uważa za korzyść publiczną, co zadowala zarazem jego własne ambicye. Ci wielcy ludzie duszy anielskiej, co wszystkie swe interesy i całą swą miłość własną, nic zgoła nie wymagając dla siebie, złożyli na ołtarzu ojczyzny, są bardzo rzadko posiani w dziejach wszystkich ludzkich pokoleń...

Co król istotnie zamierzał w głębi swojego skrytego umysłu, co było prawdą z tego, co mówił, a co mówił dlatego, ażeby osłonić swoje zamiary, co przedsiębrał w celu rzeczywistego przeprowadzenia, a które jego postępki służyły mu tylko do odwrócenia uwagi publicznej od jego rzeczywistych zamysłów, to było zawsze jego wyłączną tajemnicą, z którą się nie wydawał przed nikim; albowiem prawdą jest, co sam powiedział o sobie, „że gdyby jego koszula wiedziała o jego zamiarach, toby ją zrzucił z siebie i spalił". Ze wszystkich królów, którzy rządzili Polską, on był najskrytszym, a mimo przystępności dla wszystkich i bardzo łatwego obejścia, najwięcej w sobie zamkniętym. Żaden z jego braci, ani król węgierski i czeski, z którym niedawno zbrojnie się spierał, ani Aleksander, który mu zawadzał na Litwie, ani Fryderyk kardynał, któremu dla jego bystrego rozumu nie ufał, ani Zygmunt, którego kochał, ani nawet Kallimach, któremu się zdało, że jest jego jedynym inspiratorem, żaden z nich nigdy jego tajemnych myśli nie wiedział; toż tem mniej mogli go przejrzeć jego dworzanie, z którymi wprawdzie w swoich swawolnych rozrywkach jaknajpoufalej się bratał, ale których zawsze tylko jako swoje narzędzia uważał i tak się z nimi obchodził.

Kamieniecki silił się napróżno, aby odgadnąć jego zamiary względem przyszłego sejmu. Chociaż codziennie po kilka godzin z nim trawił i nieraz mu się zdawało, że go przejrzał do gruntu, prze-

cież nakoniec musiał sobie powiedzieć, że w gruncie rzeczy nic nie wie. To tylko miał za rzecz pewną, że król usiłuje, tak przez niego, jak i przez wielu innych, kaptować średnią i drobną szlachtę dla siebie, ażeby przez nią opanować sejmiki, a w nich znaleźć przewagę przeciwko możnowładcom, których wprawdzie nie podejrzywał o to, ażeby kiedykolwiek chcieli go korony pozbawić, ale którzy, wzrastając ciągle w majątki i samoistne znaczenie, coraz więcej mu się narzucali na protektorów i kontrolerów jego politycznych zamiarów i coraz nieznośniej we wszystkiem mu ciążyli. Z jego dążnością przywiązania tłumów szlacheckich do siebie łączyła się myśl utworzenia armii stałej ze szlachty, myśl w głowie absolutnego i niedostatecznie kraj znającego Kallimacha może całkiem dojrzała, ale w jego subtelnym a ostrożnym rozumie jeszcze bardzo chwiejna co do sposobu przeprowadzenia. Jednak ta myśl zajmowała Kamienieckiego daleko więcej niż wszystkie inne; albowiem będąc żołnierzem może najznamienitszym w tym czasie, a zarazem nadzwyczaj popularnym u szlachty, miał dosyć ugruntowaną nadzieję, że jakąkolwiek król armię postawi na nogi, jemu powinna się dostać nad nią buława. Ta więc nadzieja trzymała go przy królu i nad jej ziszczeniem głównie pracował.

Toż i teraz o tem z królem rozmawiał, wykładając mu swoje zapatrywania w ten sposób, że należy przedewszystkiem królewski dwór pomnażać i wzmacniać częścią ochotnikami ze szlachty, a częścią żołnierzem zaciężnym; tak zwolna utworzy się armia — a im więcej ta armia będzie wzrastać i im do większego będzie przychodzić znaczenia, tem więcej młodzież szlachecka będzie się do niej garnąć, a tem mniej będą znaczyć pańskie załogi po zamkach i zwoływane przez nich pospolite ruszenia. Takim sposobem przyszli do armii cesarz niemiecki i król francuski i książe sabaudzki, a wreszcie i papież, droga to zatem ubita i na nią wejść trzeba.

Król temu rozumowaniu nie przeczył, ale miał zdanie odmienne, które temi słowami wyraził:

— Droga to wprawdzie ubita, lecz długa. U nas nie można się opierać na takich robotach, które pożywne owoce przynoszą dopiero po czasie, bo u nas co rok, co dwa lata, to Tatarzy, to Turcy, to Wołosi, to Moskwa włamuje się w nasze granice, toż my nie mamy czasu do sztyftowania armii, któraby dopiero w lat kilka mogła coś znaczyć.

— Jedno drugiemu nie powinnoby wadzić — rzekł Kamieniecki—armie się składa w pokoju, ale także i w wojnie, mając zaś tę myśl dobrze na oku, możnaby nawet z wojny z większą armią powrócić, niżeli się na nią wyprowadziło boć to po wojnie niemało zostaje rozbitków, które tem łatwiej wcisnąć w szeregi.

A król na to, idąc wciąż swoim torem:

— U nas też inni są ludzie i inne stosunki Skarb teraz wprawdzie nie bardzo ubogi, chociaż sam wykup Zatora niemało pożarł pieniędzy i jeszcze coroku pożera. Jeszczeby się trochę grosza znalazło na wystawienie kilku dworskich chorągwi, aleć to ziarnko piasku wobec tych tłumów rycerstwa, którym hetmanią kasztelani i wojewodowie. Te tłumy wziąć w rękę, w tem sztuka...

— Jużci to byłoby pewnie najlepiej — rzecze mu Kamieniecki—aleć prawdę mówiąc, to te tłumy są w ręku waszej królewskiej mości, jenoby trzeba nad nimi postawić hetmana...

Na te słowa król spojrzał na niego, a Kamieniecki zaraz się spostrzegł, że się za daleko zapędził. Albowiem urzędu w. hetmana jeszcze wtedy nie było, a chociaż myśl utworzenia wielkiej buławy już nieraz podnoszono, popierając ją niektóremi dziejowemi wspomnieniami z epok dawniejszych, opór przeciw niej, zwłaszcza pomiędzy wojewodami, był tak stanowczy, że ani myśleć nie można było o jej przeprowadzeniu. Hetman w. koronny zjawił

się dopiero we dwanaście lat potem, przyparty wielką powagą Zygmunta Starego, a został nim tenże sam Kamieniecki; ale wtedy, kto nie chciał wszystkich senatorów oburzyć przeciwko sobie, nie mógł nawet wymówić tego nazwiska. Kamieniecki się zaraz poprawił i dodał prędko:

— Albo jakiegoś takiego urzędnika, któryby z ramienia króla przynajmniej w czasie pokoju miał nadzór nad chorągwiami...

Ale król na to machnął ręką i rzekł:

— Na nicby się to nie zdało. Inaczej trzeba się brać do tej sprawy. Słysz Kamieniecki, ja tobie powiem, czegom jeszcze nie powiedział nikomu. Jużci ja i z wojewodami niemało mam wstrętu, bo mi się na te urzędy wciskają ludzie, którzy nie tak są przywiązani do tronu, jak być powinni. Urzędy te są u nas jeszcze prawie dziedziczne. Czyj ojciec a dziad albo pradziad był wojewodą, to i on sobie rości prawo do województwa. A jakto się wychowują ci młodzi panicze? Najprzód już w domu przy niańce nabiją mu głowę tem, że urodził się senatorem, potem go z wielkim sumptem wyprawiają na dwory postronne i każą go tam czcić jak udzielne książątko, więc kiedy wróci do Polski, ani mu gadaj, że powinien się służbą a pracą dorabiać zaszczytów, jeno zaraz dawaj mu krzesło przy samym królu. Ot masz tam zaraz w twojem sąsiedztwie imci pana Kmitę, co ma dwóch synów dorosłych, cóż z nimi zrobił? oto jednego wysłał na dwór cesarza, a drugiego do księcia Sabaudyi — a swemu królowi jeszcze żaden się nie pokłonił. Skręcę ja z czasem łeb tym obyczajom.—i tak tobie powiadam, że do wszystkich urzędów tylko tych będę przypuszczał, którzy tu u mnie, na moim dworze, odbędą terminowanie. Wszelako i o tych wojewodów, jacy tam są, jeszcze mnie głowa nie boli. Obronię się im, bo ich nie wielu, mam zresztą na nich sta-

rostwa. Ale na kasztelanów pilne muszę mieć oko, bo oni wodzą chorągwie powiatów i mają szlachtę w swych ręku, a jest ich dużo w tej Polsce. Przedewszystkiem więc trzeba kasztelanie pewnymi ludźmi obsadzać — a za ich przewodem daleko prędzej armia królewska się złoży, choćby nawet wbrew wojewodom. Kallimach mówi, że armia królewska stać powinna po wielkich miastach, ale to nic do rzeczy dla Polski; jak będzie jedna chorągiew królewska w każdym powiecie, to lepiej. Reszty tam sobie dopełnij swoim własnym rozumem...

Więc Kamieniecki się nad tem namyślił, a potem rzekł:

— Miłościwy królu! myśl to wyborna. Gdzie kasztelania *vacat*, tam ją można wedle woli obsadzić. Ale co zrobić z takim, co na swojej kasztelanii siedzi, a ani do tańca, ani do różańca?

— Jak właśnie Kmita — rzecze mu król — ale ja tobie powiem. Takiemu kasztelanowi, jak się wojna zakurzy, doda się rotmistrza — a po wojnie już my w tem będziemy, ażeby rotmistrz pozostał przy swojej buławie. Tak zwolna możemy doprowadzić do tego, że kasztelani tylko przy tytule pozostaną, a chorągwiami w powiatach będą rządzić nasi rotmistrze: lepsza to rada, niżeli Kallimachowa, do której wykonania prawie gwałtu potrzeba...

A w tej chwili wszedł Wilczek i z mocno bijącem sercem stanął o kilka kroków przed królem.

Wilczek, chociaż do jego posępnego humoru już się w ostatnich czasach przyzwyczajono, dziś jeszcze daleko pochmurniej wyglądał, niż dotąd. Na jego wybladłej twarzy przebijał się ból bardzo głęboki, ale zarazem powaga i rezygnacya; widać było po nim na pierwszy rzut oka, że cierpi, ale zarazem, że w ważnej przychodzi sprawie i że jest zdecydowany na wszystko. Nastrój ten ztąd pochodził, iż mu się zdało, co zresztą każdemu dworakowi zawsze się zdaje, że jest królowi niezbęd-

nym i że go król nie łatwo puści od siebie. Kamieniecki, obaczywszy taki surowy wyraz na jego twarzy, a mając go przytem do pewnego stopnia na swojem sumieniu, przestraszył się go, obawiając się jakiejś sceny niemiłej, a może nawet gwałtownej, ale król zwrócił się ku Wilczkowi łaskawie i spytał go bardzo uprzejmie:

— Cóż nam przynosisz, mój Wilczek?

— Miłościwy królu — rzekł Wilczek głosem przerywanym, w którym odbijał się cały jego nastrój bolesny — przychodzę z pokorną prośbą, którąbym rad waszej królewskiej mości przedłożyć. Od stu lat przeszło służą Wilczkowie swym panom, a przodkom waszej królewskiej mości pilnie i wiernie i żaden z nich jeszcze nigdy swym obowiązkom nie chybił. I ja też, ile mam siły, służę memu miłościwemu panu od mojej rannej młodości, bez odetchnienia. Stawałem w ogniu razem, a nieraz i przed innymi, nie żałowałem krwi mojej, nie żałowałem niewoli, za honor mojego króla — i nigdy nie prosiłem o wypoczynek. Ale teraz ciężkie przyszły na mnie terminy. Sprawa to nagła, może na jednym dniu stoi, a może na jednej godzinie. Potrzeba mi za nią pobiedz koniecznie, a bez odwłoki. Proszę zatem waszej królewskiej mości a mego miłościwego pana, aby mi łaskawie pozwolił jeszcze dzisiaj wyjechać. Za parę tygodni powrócę, albo też waszej królewskiej mości doniosą, żem nie żyw.

A na to król mu powiedział z ojcowską dobrocią:

— Jeśli tylko o to ci chodzi, toż się nie frasuj—ą wiedz o tem, że choćbym się już cale nie mógł obejść bez ciebie, to jeszczebym ci nie odmówił. Jednak tak nie jest, albowiem jest tu Kergolaj, a potem zaraz każę zawołać Gniewosza. Ale powiedzże nam, jakie to ciężkie terminy przyszły na ciebie? Może będziemy mogli ci pomódz, cobyśmy też z wielką chęcią zrobili.

Na takie łaskawe słowa, a zwłaszcza też na wiadomość, że król Gniewosza odwoła, Wilczek z głębi piersi odetchnął i tak odpowiedział:

— Miłościwy królu! nie omieszkam ja upaść do nóg waszej królewskiej mości, jak będę potrzebował łaski mojego króla i pana. Ale na teraz tylko jeden człowiek może mi pomódz, a to ksiądz Kmita, co siedzi na swoim eremie około Wiszni, albowiem o jego synowicę tu chodzi, którą chowają na Sobniu. On sam mnie wysłał z wiosną do Kmitów, abym ją sobie obejrzał. Pojechałem — a dzieweczka mnie chwyciła za serce, właśnie jak gdyby rozpalonemi kleszczami. Chciałem zaraz się zdeklarować, ale przyjaciele mi powiedzieli, że pani Kmicina będzie wstręty mi czynić, zaczem za ich dobrą radą skoczyłem za swatem, którego mi naraili. Za tym swatem zapędziłem się aż do Krakowa—i musiałem już zostać na służbie przy moim panu. Tymczasem dzisiaj dzieweczka przysłała mi gońca z nowiną, że tam do niej forytują Gniewosza na gwałt, żebym więc zaraz jechał do księdza Kmity, który jest jej opiekunem i sam jeden może na to poradzić. Muszę więc popędzić do niego, choćbym miał skrzydła sobie przyprawić.

Tu król się obrócił do Kamienieckiego i rzekł:

— Przyznam ci się, że nie rozumiem Gniewosza. Dopiero co przysiągł tej tam Ormiance we Lwowie wierność i czystość do grobu – a jeszcze kur nie zapiał trzy razy, już poszedł w konkur do innej. Nie wiem też, jakiemi kunsztami go tam uchodziły te kury czubate na Sobniu.

Zaczem rzekł znowu bardzo łaskawie do Wilczka:

— Jedźże więc, kiedy tak chcesz, zabaw się tam wedle potrzeby, ale wracaj nam wczas, bobyśmy radzi mieć ciebie przy naszej osobie na sejmie.

Więc Wilczek ze łzami wdzięczności w oczach

rzucił się do nóg królowi, Kamienieckiemu ledwie że głową kiwnął zdaleka i wybiegł prędko z komnaty.

A kiedy już był za drzwiami, król się znowu obrócił do Kamienieckiego i rzekł:

— Gniewosz już się z tą dziewką ożenił. Jego matka przysłała mi z tą nowiną gońca z drogi na zamek czorsztyński, ekskuzując się, że dla nagłości nie mogła mnie prosić o błogosławieństwo przed ślubem. Wilczkowi już żaden ksiądz nie pomoże. Ale wolę, ażeby wyparskał się na świeżem powietrzu, niżeli żeby mi tu kwilił pod nosem.

Kamieniecki zbladł trochę na tę wiadomość, ale król na to nie zważał, tylko prowadził z nim dalej dyskurs o rzeczach publicznych.

W godzinę potem Wilczek wyjechał z Krakowa tylko z jednym żołnierzem i z jednym koniem podwodnym—a wziął z sobą lekkie bachmaty i ubrał się lekko, aby mógł dobrze pośpieszać. Jakoż śpieszył się bardzo, gdzieniegdzie tylko przystanął na parę godzin, raczej we dnie dla wielkich upałów, niżeli w nocy, a nie żałował ani siebie, ani swych koni. W gruncie rzeczy był dobrej myśli, bo o.Chryzostom oczywiście nie może go zdradzić, sam go przecież niejako zaswatał i opiekuńczą ma władzę, gdyby zaś Kmitowie z jakich tam familijnych powodów lub kabał robili trudności, to przecież król mu swą pomoc obiecał. A jednak wrzący niepokój go męczył przez całą drogę. Chwilami czuł jakąś boleść nieokreśloną, która mu serce targała i głębokie ze zbolałej piersi wydobywała westchnienia; tęskno mu było, że od tak dawna nie widział Jagienki, a nawet nie wie, co się z nią dzieje. Czy jeszcze ją kiedyś obaczy? czy wolno mu będzie ją przycisnąć do serca? — To znowu czarne myśli się nad nim wieszały i zdawało mu się, że Chryzostom go zdradził, Kmitowie bardzo dumny to naród, patrzą

wysoko, on dla nich za mały, jeśli się uprą przeciwko niemu, to może i sam Chryzostom ich nie przemoże, oprą się nawet samemu królowi. Jedyną pociechę w tem jeszcze znajdował, że Jagienka go kocha i pewnie go nie porzuci. Jeśli ona się oprze, to przecież jej gwałtu zadawać nie będą. Ale czy zdoła się oprzeć? czy będzie miała do tego odwagę? czy wytrwa w oporze? czy nie da się ugiąć? czy nie upadnie na siłach?—Tak chwiejąc się w swoich przewidywaniach, dręczony naprzemian to chwiejącą się przed nim nadzieją, to nieodstępną obawą, z gorączką w głowie, ze spieczonemi ustami, z ognistym krwiogorzem w piersi, trzeciego dnia o samym zachodzie słońca wjechał w tę puszczę, w której stał Chryzostoma klasztorek franciszkański.

Były to dnie bardzo gorące, sierpniowe. Niebo było pogodne bez chmurki, od kilkunastu dni ani jedna kropla deszczu nie padła, ziemia była spalona na popiół, trawy pożółkły, liście na drzewach pozwijały się w trąbki, powietrze było rozpalone, jak w piecu, a złoty pył się po niem unosił, który, jak gęsta a sucha mgła, widok zasłaniał. Duszno było na ziemi, jak gdyby była szklaną banią nakryta i ani z puszczy, ani od stawu najlżejszy chłód nie zawiewał. Na stawie, który wązkim klinem się wbijał pomiędzy klasztor stojący po lewej a przerzedzoną puszczę po prawej, woda pożółkła, nad nią sterczały po brzegach powysychane szuwary i trzciny, po jej powierzchni powyzdychane ryby pływały, a od niej zawiewał przejmujący odór zgnilizny i śmierci. W dali, gdzie staw rozszerzony łączył się z widnokręgiem, otwierała się próżnia bez dna i bez końca, jakoby przejście z tej ziemi w nieskończoną otchłań i westchnął: możeby teraz najchętniej wjechał w tę nicość bezdenną i zostawił za sobą na wieki tę ziemię, gdzie wśród tak gwarnego mrowiska ludzkiego nie miał ani jednego człowieka, któryby mu był bratem, coby uczuł ból jego i podał mu rękę pomocną...

Chryzostom siedział na przyźbie przy drzwiach klasztoru i patrzył zamyślonemi oczami w żółte a nieruchome w swojej zgniliźnie zwierciadło stawu. Miał twarz spokojną i uśmiechniętą; może na wód powierzchni widział dusze tych zmarłych, którym odpuścił grzechy w godzinie śmierci i przeprowadził je w wybielonej postaci w krainę wiecznego szczęścia i spokoju, a może tylko lubował się w tej ciszy, jako w obrazie swojej własnej za grobem przyszłości, do której starcy, zmęczeni ciężarem życia, nieraz tak tęsknie wzdychają. Jednak kiedy obaczył Wilczka wjeżdżającego w obejście klasztoru, wzdrygnął się i twarz niemile przeciągnął, wstał i powitał go grzecznem skinieniem ręki, ale widać było po po nim, że tego niespodziewanego gościa nierad widzi u siebie.

— Wilczek—zawołał ku niemu — nie spodziewałem się widzieć cię w tych czasach. Zkądże to Pan Bóg prowadzi?

Tymczasem Wilczek zeskoczył z konia, pocałował go w ramię, a jako był niecierpliwy, wpadł zaraz *in medias res*, mówiąc:

— Jadę z Krakowa. Jadę na dzień i noc, bo mnie wieść doszła, że tam na zamku sobieńskim knują się przeciw mnie i przeciw Jagience jakieś kabały.

Z tych kilku słów Chryzostom zaraz zrozumiał, że Wilczek jeszcze nic nie wie o ślubie Jagienki z Gniewoszem, zebrał więc w ten moment całą swoję przytomność umysłu, a widząc zarazem, że Wilczek jest rozgorączkowany, postanowił obejść się z nim po ludzku i po chrześcijańsku i nie podać mu odrazu całego kielicha goryczy. Rzekł więc do niego łagodnie:

— Siadajno sobie przy mnie, a spocznij. O jakich to kabałach słyszałeś?

— Zajechała tam Gniewoszowa i swego syna do siebie zawołała, a teraz tam chodzi koło tego,

aby kasztelaństwo dla siebie pozyskać i syna zaswatać z Jagienką.

— Powiedzże mi, ale spokojnie — zapytał go Chryzostom — a cóż ty zrobiłeś na zamku sobieńskim?

— Com zrobił? — rzekł Wilczek spokojnie: — zrobiłem to, coś mi wasza wielebność ze swego własnego natchnienia rozkazał. Pojechałem na Sobień, upodobałem sobie Jagienkę i ona mnie także, zmówiliśmy się; ale że mi dopowiedziano, że kasztelanowa mi wstręty robi, a że Kamieniecki ma tam wpływ wielki, więc skoczyłem do Kamienieckiego, nie zastałem go, pojechałem za nim do Krakowa—a tam mnie król zatrzymał do dziś dnia.

— Któż to tobie dał taką radę, ażebyś jechał do Kamienieckiego?

— Sam Kmita — rzekł Wilczek z naciskiem.

— Sam Kmita — powtórzył Chryzostom, mówiąc powoli i ważąc każde słowo — toż Stanisław o tem nie wiedział, że nie Kamieniecki, tylko ja jestem „opiekadlnikiem" Jagienki?

— Może on wiedział, — rzekł Wilczek — toż i nie wiem dlaczego mi taką dał radę. Ale jam nie wiedział, boś mi wasza wielebność tego nie powiedział. Żałuję teraz, żem zamiast na Kamienicę, tu nie przyjechał...

Tu Chryzostom zastanowił się chwilkę, a potem rzekł zwolna:

— Nie żałuj. Nie my sami, ale Bóg rządzi naszemi losami. Gdyby wola Boża była po twojej stronie, to byłby cię tak natchnął, ażebyś tutaj przyjechał...

— Nie przyjechałem, żałuję — rzekł Wilczek —nie małom się też zato nacierpiał. Żałuję i przepraszam, jeżelim waszą wielebność tem obraził. Ale naprawiam zło i przyjeżdżam.

A na to Cryzostom:

— Każde zło da się przebaczyć, ale nie każde naprawić.

— Jakże to, mój ojcze?—zawołał Wilczek niecierpliwie — przecież nie będziesz mnie zato karał, żem czegoś nie wiedział.

— Ja nikogo nie karzę, mój miły, ale Bóg karze.

Na to Wilczek spojrzał z bolesnym uśmiechem na niego i rzekł z lekkim wyrzutem:

— Wy wszędzie zastawiacie się Bogiem, jak gdybyście zawsze wiedzieli, czego On chce, a czego nie chce. Za cóżby Pan Bóg mnie karał?

— Wiesz ty to lepiej odemnie.

— Nic nie wiem.

— Nic nie wiesz? — zapytał Chryzostom — a któż to uwiódł niewinną dzieweczkę bojara?

Tu Wilczkowi twarz mocno się zmieniła, jednak powiedział przytomnie:

— To zato mnie Pan Bóg ma karać? A przecieżem się z tego spowiadał i waszmość sameś mi grzech ten odpuścił.

— Jam odpuścił, ale Bóg nie odpuścił.

— A już mi znowu wyjeżdżasz z Bogiem! — zawołał Wilczek z niecierpliwością i chciał dalej coś mówić, ale zgorszony takim wyrzutem Chryzostom, przerwał mu i powiedział stanowczo:

— Myśl ty sobie o tem, co chcesz, i grzesz dalej myślą i czynem. A tymczasem tak będzie, jak jest. Ja tobie Jagienki dać nie mogę i nie dam.

Tu Wilczek zbladł i wargi mu zaczęły dygotać, ale jeszcze się opanował i spytał głosem drżącym, ale spokojnym:

— Nie dasz? i to już jest wasze postanowienie niezmienne?

— Niezmienne — rzekł sucho Chryzostom.

Usłyszawszy ten wyrok zabójczy, Wilczek zerwał się z przyźby, stanął z zaciśniętą pięścią przed księdzem i zawołał głosem pełnym wrzącego bólu, ale zarazem i złości:

— Nie dasz? i dlatego mi nie dasz, żem uwiódł córkę bojarą? A zkądto waszmość wiesz o tym grzechu mojej młodości? Z mojej spowiedzi. To księdzu wolno używać sekretu konfesyonału, ażeby ludziom szczęście zagradzać?

Ciężki to był zarzut, ale Chryzostom nie czuł nim się wcale dotkniętym. Albowiem z tym sekretem konfesyonału postąpił sobie sumiennie: nie użył go wcale przeciw Wilczkowi, dopóki rozumiał, że o nim wie tylko ze spowiedzi — a dopiero wtenczas wziął go w rachubę, kiedy się dowiedział, że o nim zkądinąd wiedziano w Sobniu. Odpowiedział mu więc spokojnie:

— Nie bluźnij przeciwko mojemu kapłańskiemu sumieniu. Jam przeciw tobie nie użył żadnego sekretu. Opiekun Jagienki głuche uszy ma na to, o czem jako ksiądz dowiaduje się na spowiedzi. Zresztą idź, rozejrzyj się po świecie, popytaj ludzi, a dowiesz się prędko, że taki to sekret, o którym wróble świstają po całej Polsce.

Ale Wilczek tych słów ostatnich nie słyszał. Miał przed oczyma tylko postępek kapłana, który mu się zdawał ohydnym. Siadł twardo na przyźbie, załamał zaciśnione pięście przed swoją twarzą i zawołał:

— Taki to Kościół mamy nad sobą! takich duchownych! Spowiadajże się tutaj przed księdzem — a on ci w obliczu całego świata twój grzech rzuci pod nogi, ażeby na ciebie sprowadzić nieszczęście! Oj! pono lepszy rozum mają ci, co złego ducha biorą na pomoc, niżeli wasze ołtarze i konfesyonały...

Tu wszakże Chryzostom się zniecierpliwił, wstał i powiedział mu z wielkim naciskiem:

— Pleciesz jak opętany — a może on cię już naprawdę opętał! Jakiemże sumieniem możesz ty mi zarzucać, żem użył sekretu konfesyonału przeciwko tobie, kiedym ja ciebie już po spowiedzi na

Sobień wyprawił? Ciebie już rozum opuszcza. Na ciebie zstępują złe duchy i dyabelskie myśli tobie poddają. Wstań, oto kościół otwarty, idziemy właśnie na wieczorne modlitwy, chodź, połóż się krzyżem, po modlitwie ulży ci się na sercu i w głowie wyjaśni. Miłość ziemska, walcząca z przeszkodami na zabój, to upór cielesny, to bunt podniesiony przez zmysły — a zmysły ludzkie to arsenał dyabelski, napełniony wszelką bronią przeciwko duszy człowieka. Chodź ze mną, w modlitwie znajdziesz klucz, którym zamkniesz drzwi tego arsenału, wzbronisz złym przystępu, a sam z niej wyjdziesz pokrzepiony na duchu—i własnemi oczyma obaczysz dyabła wijącego się w prochu ze złości, a uśmiechy strzegących ciebie aniołów w niebiosach.

A wtedy słońce już zaszło. Na wieżyczce kościelnej odezwał się dzwonek i mnichy zaczęli wychodzić z klasztoru, idąc jeden za drugim do kościoła. Chryzostom rzekł raz jeszcze do niego: Chodź! — lecz widząc, że on wcale nie patrzy na niego, poszedł także do kościoła.

Wilczek sam został na przyźbie. On ostatnich słów Chryzostoma nawet wcale nie słyszał. W jego uszach brzmiała jeszcze nielitościwego opiekuna rekuza. W głowie mu się pusto zrobiło, żadna myśl w niej nie wstawała, widział bezdeń przed sobą pełną nicości, może nawet nie wiedział, gdzie jest; tylko tętna mocno mu biły, usta paliła gorączka i czuł jakby kurcz w rękach, pragnących pomścić się na kimś tej krzywdy. Wszystka krew się w nim burzyła przeciwko temu srogiemu losowi, chciałby był go złamać przemocą, jakąbądź bronią, choćby nawet dyabelską, byle zwyciężył, byle posiadł Jagienkę, ale nie wiedział, co począć.

W tej chwili przystąpił do niego braciszek, mówiąc, że ks. Chryzostom prosi go, aby szedł do kościoła. Wilczek spojrzał na niego szklanemi oczyma, lecz zaraz błyskawice się zapaliły w tych oczach i rzekł głosem pełnym szyderstwa i gniewu:

— Przed wami się będę spowiadać! abyście mnie znowu zdradzili? Idź sobie.

Braciszek odszedł. Po chwili przyszedł drugi z tem samem wezwaniem; ale na tego już ani spojrzał, tylko wstał, odsunął go ręką od siebie i odszedł, aby się od dalszych posłów uwolnić.

Nie wiedząc sam, dokąd ma iść, szedł tą samą drogą, którą przyjechał, po lewym brzegu wody. Tak doszedł zwolna aż do końca stawu, ale chociaż żywego ducha nie było na drodze, przecież droga zdawała mu się zanadto ludną: zapewne jego wyobraźnia zapełniała ją podróżnymi - a on chciałby być sam, sam jeden, gdziekolwiekbądź, choćby pod ziemią. W tem miejscu spostrzegł ścieżkę ubitą, wiodącą w puszczę po prawym brzegu stawu, poszedł więc nią pomiędzy drzewa.

Idąc dalej tą ścieżką, doszedł niebawem do miejsca, na którem znowu się zbliżył do klasztoru, tylko był przedzielony od niego klinem stawu. Tu stanął, oparł się o drzewo i wśród zapadającej nocy patrzał bezwiednie na klasztór, na ten grób jego wszystkich nadziei.

Patrzył także na kościół, z którego drzwi szeroko otwartych teraz jasne światło uderzało żółtym strumieniem w dziedziniec. Razem ze światłem wypływały z tych drzwi przeciągłe tony organów. Była to wstępna muzyka do nowej pieśni nabożnej. Jakoż niebawem zabrzmiał chór mnichów stentorowemi głosami i dały się słyszeć te słowa:

Te lucis ante terminum, rerum Creator...

Wilczek słuchał uważnie; tak bowiem zaczynał się hymn, który w owych czasach śpiewano, aby Bóg wiernych ochronił od nocnych duchów i wizyj, hymn wszystkim rycerzom dobrze znany. Po chwili jeszcze daleko głośniej dała się słyszeć strofa następna:

Procul recedant somnia et noctium phantasmata,
Hostemque nostrum comprime, ne pulluantur corpora...

Ten chór poważny z towarzyszeniem organów, wypływający śród ciemnej nocy z oświeconych drzwi kościoła, jakby z odwiecznej krynicy światła, sprawiał przejmujące wrażenie. Pobożni ludzie zasyłali tam ze szczerej miłości bliźniego hymn serdeczny do Boga, ażeby złe myśli, złe duchy i wszelkie pokusy odegnał od grzesznego człowieka. Zachwiany w wierze, mógł się w tej chwili nawrócić Ale Wilczek przestał już wierzyć. Doświadczywszy takiego straszliwego pogromu właśnie od sługi Kościoła, przekonany przytem najgłębiej, że ten sługa Boży ukuł z sekretu spowiedzi zabójczą broń przeciw niemu, zbuntował się przeciw Kościołowi i zburzył przeciwko samemu Bogu.

Na ten hymn śmiech go porwał, zaczem zawołał szyderczo:

— *Hostemque nostrum!...* Mocniejszy on od was. Gdybym go tylko gdzie znalazł!..

Ledwie wymówił te słowa, kiedy coś zaszeleściało o kilka kroków od niego.

Spojrzał na ścieżkę: Marucha tam stała—i patrzała jak gdyby zdziwionemi oczyma na niego.

Byłali to istotnie Marucha? czy tylko, skutkiem bezwiednego rodzenia się myśli, skutkiem przypomnienia mu Ofki przez Chryzostoma, która zniknęła z Maruchą, a teraz go pozbawiała Jagienki, skutkiem nareszcie głęboko rozdrażnionego sumienia, ta czarownica wymalowała się teraz tak żywo w jego pamięci — sam tego nie wiedział. Bardzo ciemno już było, trzeba było wzrok mocno natężyć, ażeby przy szarym odblasku zamarłych świateł zachodnich przedmioty rozeznać. Ale jeżeli to była Marucha, to się strasznie zmieniła. Była bowiem prawie w łachmanach, całą twarz miała zmarszczkami pokrytą, jej oczy zielone już tylko jak próchna świeciły, przytem plecy jej się wydęły, zgarbiła się, jak gdyby jej od kilku miesięcy lat dwadzieścia przybyło. Musiała przez ten czas bardzo wiele wycierpieć.

Wilczek wiedział wprawdzie, że Marucha ma kędyś w tych stronach swój futor, podobno nawet na gruntach klasztornych, ale przecież go jej zjawienie się w tej puszczy śród nocy niepomału zdziwiło, a zarazem wstrętnie dotknęło. Wolałby był jej nie widzieć, więc milczał.

Ale ona nie ustąpiła, a przypatrzywszy mu się raz jeszcze, rzekła do niego:

— Jegomość tutaj? pewnie nocuje w klasztorze?

— W klasztorze—rzekł Wilczek—a ty zkąd wracasz tak późno?

— Wracam z Wiszni, gdziem trochę szmatek nakupiła dla dziecka.

Na wspomnienie dziecka, Wilczkowi wargi się przekrzywiły; chciał to czem prędzej zagadać i spytał:

— Ale tak idziesz sama po ciemku?

— Nie sama — rzekła Marucha — mam towarzysza, co się czasem w naszej chałupie przytula. A dalej będą mi przyświecać moje światełka...

Tu Wilczek spojrzał koło niej i zdało mu się, że jakiś cień dojrzał. Wytężył wzrok i spostrzegł człowieka średniego wzrostu w zgrzebnym kubraku i skórzanym hełmiku na głowie, miał twarz bez zarostu, nos spiczasty, oczy rybie i włos ryży, krótko strzyżony przy samej głowie. Ale lepiej dojrzeć go nie mógł, bo kiedy mu się chciał bliżej przypatrzyć, ten cień, czy człowiek, jakby się rozpłynął w ciemnościach. Zaczem powie jej Wilczek:

— Dobrze robisz, że nie sama idziesz tą puszczą. Nie samowito tutaj wygląda, właśnie jak gdyby dyabłów siedziba, jeno żem jeszcze z nich żadnego nie spotkał.

— Jest ich tu dosyć—odpowiedziała mu Marucha — czasem tak się tu tłumią, a takie kozły

wywracają po ścieżce, że trudno się przez nich przecisnąć.

A na to Wilczek:

— Widziałem złe duchy po zamkach i innych starych murzyskach, nawet i u mnie niektóre mieszkają, ale nie wiem, coby tutaj robiły w takiej odludnej pustyni.

— Jest ich tu dosyć,—powtórzyła raz jeszcze Marucha — jak wszędzie koło klasztorów. Wiedz bowiem jegomość o tem, że gdzie ksiądz mieszka, co dyabłów wypędza z ciał ludzkich, tam oni się najwięcej gromadzą. Wypędzić go z człowieka, do tego księża moc mają, ale mieszkania mu zabronić nie mogą, choćby nawet u progu samego klasztoru. Tutaj też oni najlepszy targ mają, bo kto na swoją biedę nie znalazł pomocy u księdza, to do nich się udaje o pomoc. Czasem i sami księża nieszczęsnych do nich odsyłają, odpędzając ich od konfesyonału albo i wyklinając z ambony...

Wilczek słuchał ją z wielkiem zajęciem, jej słowa zaczęły rozbudzać jego wyobraźnię, która już nieraz duchy widywała, lecz chcąc się czegoś więcej od niej dowiedzieć, rzekł niby nieufnie:

— Małe to jakieś dyablęta muszą tędy się chować; on sam, co ma moc człowiekowi statecznie usłużyć, nigdyby w takim dzikim ostępie nie siedział.

A na to Marucha:

— I on tutaj bywa; przecież o. Chryzostom sam nieraz powiada, że go widuje i jest odeń kuszonym. Jeno, że nie łatwo go poznać, bo coraz to inną postać na siebie przybiera. To dziad, to żołnierz—a czasem i kutę zarzuci na siebie...

— Żołnierz —rzekł Wilczek do siebie i rzucił okiem koło Maruchy, ale nic nie obaczył.

Tymczasem Marucha mówiła dalej:

— A jegomość zabawi jaki czas w tym klasztorze? Ztąd do nas niedaleko. Za tą puszczą

moczary, a za moczarami zaraz nasza chałupa. Ofka już ozdrowiała — a i chłopczysko zdrów, jakby go kto wykuł z żelaza. Widać zaraz dziecko rycerskie. Mógłby też jegomość i do nas zaglądnąć...

Wilczek znowu się skrzywił i spytał prędko:

— Macież żyć z czego?

— Dopóki mój stary żyje, nie umrzemy z głodu. A potem, to już jak łaska klasztoru. Jeno tak mi się widzi, że ja mego starego pono nie przeżyję— a na Ofkę się tam oglądać nie będę. Jegomośćby powinien o tem pamiętać ..

Na te słowa Wilczek się trochę zamyślił. Najlepsze miał chęci, Marucha oczywiście ma racyę, po jej śmierci mnichy bez wątpienia wyrzucą Ofkę z futoru, on będzie o niej pamiętać. Chciał to starej powiedzieć, ale kiedy spojrzał w to miejsce, gdzie stała, już jej tam nie było.

Słuchał potem jeszcze przez chwilę i zdało mu się, jakoby słyszał dwa głosy rozmawiające ze sobą zatrzymujące się w miejscu, a potem znowu oddalające się ku moczarom. Raz nawet obiły się o jego uszy te słowa: — Starosta, pan z panów, ma na swym zamku załogę... Ale potem znów to przycichło. A po chwili sam już nie wiedział, czy kogo widział, czyli z kim innym, czy z samym sobą rozmawiał. W głowie mu się coraz gorzej paliło, skronie go piekły jak ogniem, nic nie widział przed sobą, cały zamknął się w sobie — a tam, rozpacz i niecierpliwość targały mu wszystkie wnętrzności.

—Gniewoszowa mi wojnę wydała... Gniewoszowi się uśmiechają trzy klucze i koligacya z Kmitami... Kmitowie się przeciw mnie obrócili... Kamieniecki mnie opuścił! Chryzostom mnie zdradził! Tylko Jagienka mi wierna. Jagienka! Jagienka! Życie moje dam za to, abym ją mógł choć raz do piersi przycisnąć — a potem niech się cały świat na mnie zawali!—Ale co począć?

Natenczas już noc zupełna pokryła ziemię czarnym jak węgiel całunem. Nieba wcale widać nie było, albowiem między niebem a ziemią porozkładały się grubemi warstwami gęste mgły kurzu. Przez te mgły tu i owdzie przebijały się gwiazdy, ale tylko jak iskry mlecznego koloru, świadcząc o tem, że są, ale nie posyłając żadnego blasku na ziemię. Na ziemi parno było jak w łaźni. Wysuszone dziennemi upałami powietrze rozdymało płuca, nie orzeźwiając piersi, a wypędzając krople potu na czoło. Od rozpalonej ziemi biło gorąco, jak gdyby się ognie pod nią paliły. Nad zgniłą powierzchnią wody unosiły się rzadkie szarawe mgły i zdawały się płynąć w dal — a w dali, gdzie staw zlewał się z widnokręgiem, od czasu do czasu powietrze się zapalało pożarem i zaraz gasło jak błyskawica, rozszerzając jeszcze czarniejszą noc po całej ziemi. W puszczy olbrzymie drzewa, obrośnięte dzikim chmielem i powojami, stały nieruchomie jak przedstworzenne skały opodal od siebie, opierając swoje gałęzie o młodsze drzewiny i tonąc głęboko w nieprzebrodzonych chaszczach leszczyny i głogów. Tu leży spróchniały tułów jakiegoś wiekowego starca tej puszczy, cały gęstemi mchami zarosły, napróżno czekając pogrzebu; tam świerk wyniosły, przeżywszy półtora wieku, zwalił się z nóg, lecz nie doleciał do ziemi, tylko padł na dąb rozłożysty, a dąb objął go w swoje ramiona i będzie tego trupa w nich trzymać, aż póki sam z nim nie runie. Ucichły śpiewy w kościele, pogasły światła w klasztorze, sen zamknął powieki wszelkiemu stworzeniu, co żywie. Cisza zaległa powietrze i całą puszczę, że ani jeden listek nie ruszy się na drzewie. Cisza w całej naturze; tylko w piersi człowieka wyją nieokiełznane orkany, namiętności i żądze kłębią się z sobą jak rozhukane bałwany na morzu i miotają jego sumieniem jak maleńkim okrętem z potrza-

skanemi masztami i podartemi żaglami; raz go widać na wierzchu spienionej fali, to znowu spada jak strzała w przepaść syczącą; ale czy jest tam jeszcze sternik na jego pokładzie, czy okręt się dobije do brzegu, czy zginie w bezdennej głębi cyklonów — nikt nie wie. Wilczek stał nieruchomy i chciał myśleć nad sobą. Ale gdzie człowiekiem gwałtowne miotają uczucia, kiedy wściekające się namiętności go porywają z sobą, tam ustaje wszelkie myślenie. Wilczek nie był sobie przytomnym, tylko żądze się w nim odzywały, unosząc z sobą cały jego umysł. Chwilami tak gwałtowna wstrząsnęła nim niecierpliwość, że chciałby był skały rozdzierać na dwoje i tłuc je na miazgę. To znów żałował, że nie ma swoich żołnierzy ze sobą: byłby był napadł na klasztor i spalił, a upiekł w jego płomieniach tego mnicha rycerza, który jak mur niewziętej fortecy zagrodził mu drogę do szczęścia. Lecz potem opanowywała go zupełna bezwładność woli i mówił do siebie: Najnędzniejsze stworzenie na świecie, to człowiek. Stoi na własnych nogach, dopóki może się bronić, ale kiedy go przemoc obali, a nie chce się poddać, jak słabsze zwierzątko musi szukać pomocy u obcych. A i tak jeszcze zginie, bo człowiek zwierzątko przytuli do siebie, ale swemu bliźniemu nigdy nie pomoże...

Tak mówiąc, czuł, że jakaś bezwiedna siła go ciągnie w tę stronę, kędy zniknęła Marucha. Miał wstręt do tej baby—a przecież go za nią ciągnęło Już raz mu pomogła, na jego zgubę, niechby go zgubiła na wieki, byle i teraz pomogła. Popchany tą żądzą, szedł dalej za ścieżką — i uszedł z jakie pięćdziesiąt kroków. Tam puszcza już się zaczęła przerzedzać, stare drzewa już stały zdala od siebie, krzaczyska jeszcze się lęgły gęstwiną, lecz przez nie już było widać szarzejące moczary.

Tu Wilczek stanął nagle niezmiernie zdziwiony, bo całe niespodziewany się widok przez nim

otworzył. Za puszczą, po całym moczarze biegały jasne płomyki, jedne nizko nad ziemią, drugie w miarę wysokości człowieka, niektóre goniły za sobą i ulatywały w powietrze, inne uderzały o puszczę i gasły. Wilczek, zrodzony w górach, nigdy takiego widowiska nie widział. Oczy mu się otworzyły szeroko, patrzył ciekawie i widział, że to są duchy z płomiennemi twarzami, igrające ze sobą po powierzchni moczaru. Widział jak najwyraźniej ich szaty szarawe, ich ręce, ich nogi, ich twarze, czasem dziecięce, a czasem szkaradne jak maszkary. Nareszcie jeden większy płomyk rozpędził się prosto ku niemu, uderzył o kierz i zgasł, zostawiwszy czarną ciemnicę po sobie. Wilczek wpatrzył się w ten kierz—i ujrzał między liściami twarz ludzką, tę samą twarz z rybiemi oczyma, którą dopiero co widział obok Maruchy. Tylko teraz hełmu nad nią nie było, a na jego miejscu jeżyła się ryża czupryna. Była to twarz przejmująca brzydotą, ale teraz uśmiechała się ku niemu wyszczerzonemi zębami, kłaniając się mu uniżenie.

Wilczek tak był chciwy znalezienia jakiejś nadludzkiej pomocy, że się wcale nie przestraszył, tylko przeciwnie, rad, że mu się zjawia, rzekł do siebie: To on! Zaczem zapytał z niecierpliwością:

— Kto tu jest?

— Biedny dyabeł—odpowiedziała mu ta twarz z niemiecka — Marucha mnie przysłała do jegomości...

Wilczek pomyślał w duchu: Mówi po niemiecku, to on. Wszystkie dyabły przychodzą z Niemiec do Polski. To on. Zaczem wpatrzył się w niego i widział wyraźnie, jako mu się uszy przedłużyły powyżej głowy, rogi się pokazały na głowie, a oczy, wielkie jak dwa talary, kręciły się między powiekami, jak koła we młynie. Widok ten zaparł mu oddech w piersi na chwilę, ale zebrał w ten moment wszystkie swe siły, ochłódł zupełnie i rzekł:

– Któż jesteś? jak się nazywasz?

— Ludzie mnie wołają Kostruban.

— Kostruban!—zawołał Wilczek, rozśmiawszy się zimno—gdzież twoje kompany?

— Niema wojny, moje kompany także się rozeszli po świecie.

— Ale Węglik i Smółka? co zawsze się kupy trzymacie.

— Ja sam umieram z głodu, głupibym był, gdybym jeszcze drugich wodził ze sobą.

— Ciężkie czasy i na was przyszły, jak widzę! — zawołał Wilczek — Księża wam chleb odebrali, a jeszcze i święconą wodą was kropią i napędzają w lasy i puszcze. Czegoż ty chcesz ode mnie?

— Szukam służby. Jestem żołnierzem z regimentów niemieckich, co je porozpuszczano. Umiem dobrze narabiać wszelaką bronią, czy człowieka, czy konia, czy wóz z wojłokami, obsłużę jak trzeba, a w bitwie mało kto mi wyrówna, bom też już dosyć się nawojował, a jeszczem nigdy nie był raniony...

Na to Wilczek w głos się roześmiał, mówiąc:

— Jużby też chyba świat się przewrócił do góry nogami, gdyby dyabła kto ranił. Bywają charakternicy, co nie są dyabłami, a przecież ich żadną bronią zmacać nie można. Więc szukasz służby?

— Marucha mnie powiedziała, że jegomość mnie przyjmie. Ja jegomości do wszystkiego się nadam, a służę wiernie...

— Ba!—rzecze Wilczek — ale u mnie będzie służba ciężka dla ciebie, bo wszystkie ziemskie potęgi się na mnie sprzysięgły. Kiedyś tu przyszedł, to wiesz, czego mnie trzeba. Namyślże się więc dobrze, a powiedz prawdę, dostaniesz ją dla mnie, czy nie? Mów prędko, dostaniesz?

Tu dyabeł jakoś się skręcił i myślał przez oka mgnienie, lecz odpowiedział przytomnie:

— Ja dla jegomości wszystkiego dostanę. Ja wszystkim moim panom zawsze przynosiłem szczęście, wszystkim się przy mnie zawsze wiodło po myśli...

Na te słowa Wilczkowi się serce podniosło, więc rzekł radośnie:

— Dostaniesz? Jak zechcesz, to pewnie dostaniesz. Więc cóż chcesz za to?

To pytanie jakoś dyabła skonfundowało, skręcił sie znowu i odpowiedział:

— Co łaska. Ja się z moimi panami nigdy nie targowałem, a zawsze mnie nagrodzili przystojnie.

— Co łaska! — zawołał Wilczek — toś głupio powiedział. A nie myśl, abyś mnie złapał na głupstwo. Ty za nią chcesz wziąć duszę moją. A najlepiej byś ją wziął, choćby i zaraz, a nie dał Jagienki. Ale ze mną w to nie potrafisz. Duszę weźmiesz, ale musimy pakt zawrzeć o to, kiedy ją weźmiesz?

Dyabeł milczał.

Wilczkowi milczenie to było wcale na rękę, bo sam chciał się nad tem namyśleć. A myśląc, przypomniał sobie owe starożytne powieści, które o dawnych panach tustańskiego zamku krążyły pomiędzy okolicznym ludem, a według których we wszystkich ważnych wypadkach tamtejszych główną rolę odgrywała muzyka. Wspomnienie te podsunęło mu myśl, której szukał w swej głowie, zerwał się więc i rzekł raźnie:

— Wiesz co, niechaj tak będzie, jak za moich poprzedników bywało. Jak muzyka zagra na moim zamku, to wtedy wolno ci jest wziąć duszę moję. Rozumiesz? Ale słuchaj mnie dobrze, abyś nie zapomniał: Jeżeli nie dostanę Jagienki, to duszy mojej nigdy nie weźmiesz. A jeżeli muzyka nie zagra do mojej śmierci, to jej także nie weźmiesz. Taki mój pakt. Czy zgoda?

A dyabeł na to:

— Ja z jegomością na wszystko się zgadzam.

— Więc zgoda—zawołał Wilczek—więc odtąd jesteś u mnie na służbie i możesz się wziąć choćby dzisiaj do roboty.

Dyabeł wyszczerzył zęby ku niemu, pokłonił mu się i zniknął.

W tej chwili jakiś łopot rozgłośny dał się słyszeć na wierzchołku drzewa, pod którym stał Wilczek, zdało się, jak gdyby tam puhacz uderzył skrzydłami i zleciał na niższe gałęzie, ale Wilczek widział własnemi oczyma, że to dyabeł się w puhacza zamienił i ponad staw poleciał w tę stronę, gdzie leżał zamek sobieński. Zaczem się roześmiał śmiechem serdecznym i zawołał.

— Las nie las, wieś nie wieś! Biesie nieś, a bywaj wczas!

Po tym pakcie zawartym Wilczkowi daleko lżej się zrobiło na sercu. Uśmiechał się sam do siebie i myślał głośno. Teraz już pewnie Jagienkę dostanie, przecież dyabeł mocniejszy, niżeli cały ród Gniewoszów razem ze wszystkimi Kmitami. A oprócz tego i z dyabłem zawarł pakt taki, że choćby całe piekło stanęło po jego stronie, to duszy jego nie dostanie. Bo jużciż to w jego własnej jest mocy, na jego zamku muzyka nigdy nie zagra.

Tak myśląc, wrócił powolnym krokiem w to miejsce, gdzie z początkiem nocy dostrzegł był Maruchę. Tam stanął i myślał dalej. Myślał o Jagience. Chociaż cieleśnie był bardzo zmęczony, usta miał spieczone gorączką, a oczy mu się pomimowoli co chwila do snu sklejały, był rzeźwy na duchu i teraz jakieś więcej ludzkie się w nim odzywały uczucia. Nad niemi wszystkiemi wszakże górowała tęsknota za Jagienką. Dlaczegoż tak chciało nieszczęście, że z Sobnia wyjechał właśnie w tej chwili, kiedy matka Gniewosza miała tam przyjechać? Dlaczego mu przyszła myśl nieszczęśliwa gonić za Ka-

mieniecckim do Krakowa? Dlaczego jest w służbie królewskiej i nie mógł się od tej służby oderwać? Biedna, nieszczęśliwa Jagienka, przez jakie ona tam teraz musi przechodzić serca i duszy męczarnie? Kto wie, jak się to skończy. Ale niechaj się dzieje co chce, gdyby ją przynajmniej mógł widzieć! Gdyby ją mógł ujrzeć choćby tylko na chwilę, choćby tylko jej obraz, chociażby tylko jak senne widzenie... On chce ją widzieć koniecznie — i musi ją widzieć, choćby miał zaraz pojechać na Sobień.

Tak wysilając gorączkowemi myślami swą wolę, patrzył bezwiednemi oczyma na klasztor przez staw, ale nic przed sobą nie widział. Jeszcze noc czarna okrywała ziemię, jednak od wschodu niebo już szarzeć zaczęło. Tam gdzieś daleko za wschodem słońce toczyło się z grzmotem po niebieskiem sklepieniu i jeszcze daleką drogę miało przed sobą do ziemi, ale parte naprzód jego rydwanem zimne pokłady powietrza już dolatywały ku ziemskim przestrzeniom. Od wschodu chłód zaczął zawiewać. Nad stawem zaczęły się kurzyć białawe mgły, które najprzód się rozlegały nad wodą, a potem w wielkich okrągłych kłębach unosiły się w górę i odpływały ku szerszym przestrzeniom stawu.

Te mgły, przybierające w ciągłym ruchu rozmaite postacie, uwięziły całą uwagę Wilczka przy sobie, wpatrzył się w nie i zdało mu się, że ludzkie twarze się na nich rysują i kłębi się w nich tłum ludzi. Wytężył wzrok tak silnie, że wszystkie władze jego zbolałej duszy się w nim skupiły — a wtedy ujrzał wyraźnie Jagienkę, jako z tych mgieł wypływała ku niemu...

Miała długą białą suknię na sobie, białe kwiatki we włosach, za jej plecyma powiewały długie warkocze, anielski wyraz na twarzy, promiennemi oczyma patrzała na niego i ręce wyciągała ku niemu, jak gdyby chciała na ten brzeg stawu przepłynąć i rzucić mu się w ramiona. Za nią o kilka kroków stał

Gniewosz, cały w szarą żelazną zbroję zakuty, w hełmie z długim końskim ogonem i z piórami na głowie, z podniesioną przyłbicą, twarz miał spokojną i uśmiechnioną jak zwykle, stał nieruchomy na mgłach, ale prawą rękę podniósł ku Jagience, jak gdyby ją żegnał i rad był, że od niego odpływa. Za niemi w głębi rysowały się jeszcze jakieś twarze, jakoby Kmity śmiejącego się tryumfalnie, Gniewoszowej i kasztelanowej załamujących ręce, ale ich postacie rozpływały się w mgłach. Z głębi tych mgieł odzywały się tony cichej muzyki, które porywały za serce, właśnie jak gdyby Pretficz tam grał na lutni swoje pieśni anielskie...

Wilczek wpatrzył się w ten obraz zachwyconemi oczyma, usta nawpół otworzył i stał tak nieruchomy przez oka mgnienie, jak gdyby własnym oczom nie wierzył. A przecie widział — i widział istotnie, bo nie tylko na ziemskim świecie, ale i w świecie ducha pokazują się fata morgana.

Objąwszy wreszcie całą postać Jagienki szeroko rozwartemi oczyma, wyciągnął ku niej ramiona, chcąc ją pochwycić w swoje objęcia — a wtedy muzyka odezwała się głośniej, promień jasnego światła przebił się przez mgły — i obraz mu zniknął z przed oczu.

Wilczek spojrzał przed siebie i ujrzał to samo światło, wypływające szerokim strumieniem z otwartych drzwi kościoła w dziedziniec, które widział wieczorem. Zarazem usłyszał poważne tony organów i stentorowy chór mnichów, śpiewających pieśń:

Stabat mater dolorosa
Juxta crucem lacrymosa,
Dum pendebat filius...

O. Chryzostom, mający szczególniejsze nabożeństwo do Matki Najświętszej, zawsze tą pieśnią swoje poranne modły zaczynał.

Chłód ranny coraz mocniej zawiewał od wschodu. Wilczek zaczął się cokolwiek orzeźwiać i myśleć nad tem, co czuł i widział tej nocy, ale jego umysł wzburzony przynosił mu tylko bałamutne wspomnienia. Był w tej chwili jak człowiek, który się upił do bezprzytomności, a wytrzeźwiwszy się, niektóre rzeczy sobie przypomina, a innych wcale sobie przypomnieć nie może.

Tymczasem w kościele ciągle śpiewano, przeplatając strofy chóralne akordami organów. Zaczem patrząc na kościół, przypomniał sobie, że jest w gościnie u tego nielitościwego mnicha, który świadomie i własnowolnie zniszczył szczęście jego całego życia na zawsze. Przecież u niego nie może zostać w gościnie. Powinien nawet wyjechać jaknajprędzej, bo czuje to, że gdyby go spotkał, to mógłby go zabić jak każdego innego człowieka — a takiego zabójstwa nie dopuszczało jego uczucie poszanowania dla Kościoła, które mu od dziecka wpojono. Zabójca św. Stanisława, chociaż królewską odziany purpurą, miał tak jednogłośnie przeklętą sławę w narodzie, że nikt jej nie mógł zapragnąć. Rzucił więc jeszcze raz okiem wzdłuż wody, azali Jagienka znów mu się nie pokaże, a nie mogąc nic dojrzeć, obszedł szybkim krokiem klin stawu i szedł do pasieki, gdzie jego żołnierz z końmi nocował. Przechodząc obok kościoła, usłyszał ostatnią zwrotkę powyższej pieśni, którą właśnie śpiewaao:

Quando corpus morietur,
Fac ut animae donetur
Paradisi gloria...

Pierwsza msza dopiero się miała zaczynać, zaczem miał jeszcze czas wyjechać tak, aby go nikt nie zatrzymał.

Stanąwszy u wrót pasieki, spostrzegł, że jego konie właśnie pojono u studni, a jego żołnierz, ja-

kieś poczciwe chłopczysko, podbiegł ku niemu i powitał go bardzo radośnie.

— Chwałaż Bogu, że jegomość przecie przychodzi! Ja przez całą noc ażem dygotał od strachu za jegomością, bo mi powiedzieli w kuchni, że jegomość poszedł w puszczę... a tu niesamowito koło tego klasztoru, tutaj więcej złych duchów niżeli ludzi, a niektórego z nich nawet i od człowieka rozpoznać nie można. Przecież, że się jegomości nic złego nie stało.

— Coby mi się tam stało! — rzekł Wilczek — kulbacz w lot konie, bo zaraz jedziemy.

— Konie już nakarmione i pokulbaczone — odpowie chłopak — jeno popręgi przyciągnąć, a pokiełznać. Właśnie je poją.

— Przecież zwinąłeś się dziś prędzej niż zwykle.

— Bo, proszę jegomości, jakiś żołnierz się do nas przyplątał. Przyszedł jeszcze na czas przed świtem i powiedział mi, że jegomość go przyjął na służbę i zaraz się wziął do roboty. Wszystkie trzy konie sam w lot obrobił, a zgrzebło i szczotka tak mu w rękach latały, jak gdyby się pod nim paliło, zaraz też konie nakarmił, a teraz je poi. Trudno się z nim zrozumieć, bo mówi z niemiecka, ale że zna służbę stajenną, to i niema co gadać.

— Gdzież jest ten żołnierz?

— Owo wraca z końmi od studni.

Na to Wilczek postąpił o kilkanaście kroków ku wrotom stajennym i stanął jak wryty. Albowiem właśnie wchodził w te wrota wraz z końmi ten sam nibyto żołnierz, którego tej nocy widział w puszczy i z którym miał długą rozmowę. Ten sam nos śpiczasty, te same rybie oczy, ta sama ryża czupryna. Tak samo nawet zęby wyszczerzył ku niemu, kłaniając mu się do ziemi. Wilczkowi się jakoś dziwnie zrobiło, prawie tak samo, jak gdyby

miał sen jakiś w nocy, a teraz ten sen mu się sprawdził na jawie.

— To ja, proszę jegomości — rzecze mu żołnierz — Kostruban, co mnie Marucha przysłała.

Wilczek patrzył jeszcze na niego przez oka mgnienie, sam nie wiedząc, co myśleć, ale nie chcąc dać tego poznać po sobie, rzekł prędko:

— Wiem. Siadaj na podwodnego konia i jedź ze mną.

Zaraz więc wszyscy trzej wsiedli na konie i wyjechali milczkiem z klasztoru.

Przez puszczę puścili konie kłusem i niebawem stanęli na gościńcu, prawie w tem samem miejscu, gdzie o wiośnie Wilczek spotkał się z Kergolajem. Tu Wilczek się zatrzymał, namyślając się nad tem, dokąd ma jechać! Do Krakowa jeszcze mu nie pilno, król mu dał pozwolenie na parę tygodni; dobrzeby spocząć trochę we Lwowie, możeby nieźle z mądrym Kijasem o swoich zgryzotach pogadać; zwrócił więc w lewo i pojechał do Lwowa.

Niedaleka to droga: ale Wilczek, zmęczony fizycznie do tego stopnia, że nie czuł swych kości, stargany na duszy boleścią, a prawie całkiem rozbity rozpaczą, dwa razy w tej drodze popasał. Kostruban na każdym popasie okazał się niezmiernie usłużnym i zapobiegliwym: wszędzie rum robił dla swego statku, powyrzucał chłopskie konie ze stajni, a swoje jaknajlepiej umieścił, wszędzie osobną izbę znalazł dla swego pana, naznosił mu poduszek i betów, aby mógł przysnąć cokolwiek, postarał się o jedzenie i napój, pilnował, aby nikt go nie budził, zgoła jak gdyby myśli jego zgadywuł, a pielęgnował go jak matka swoje najukochańsze niemowlę! Widząc to Wilczek, powiedział sobie: Dyabeł nie dyabeł, ale człowiek usłużny i sprytny, widać, że u wielkich panów sługiwał. I był rad z tego nabytku — i tak nad wieczorem zajechał przed kamienicę Kijasa.

U Kijasa płynęło codziennie życie spokojnie i tym samym trybem, jak zawsze. Toż i teraz siedział on w pierwszej komnacie za stołem i na zakończenie dnia przed samym wieczorem słuchał raportów Kundrata o towarach wyprawionych i sprzedanych, o zakupionych i sprowadzonych i o wpływach pieniędzy do kasy. Formoza siedziała opodal od niego i przysłuchiwała się pilnie rozmowie, w tej myśli rozumnej i zacnej, ażeby kiedyś, po najdłuższem życiu teścia, mogła zastąpić swojego męża, który nie cierpiał kupiectwa. Ktoby się jej przypatrzył, byłby dostrzegł, że twarz jej cokolwiek przybladła i jakaś chmurka osiadła na jej czole, ale nie było tego widać w jej rozmowie, bo głos jej był dźwięczny i jasny, a właściwy jej spokój nie opuszczał jej ani na chwilę. Tigranes całe dnie na wsi przepędzał, zajęty sztyftowaniem swojej chorągwi.

— Więc tak — rzecze Kijas, oddając Kundratowi książkę wązką a długą z notatkami bieżących rachunków — dobrze to wasze prowadzisz, jak zawsze. Gdyby cię czasem bzik nie napadał, to mógłbyś sam taki handel prowadzić. Ale te bziki mieszania się w nieswoje rzeczy osłabiają moje zaufanie w rozum waszeci! Gdzie kto nahajkę podniesie, to ty musisz mu zaraz swoich pleców nadstawić. Kergolaj sprawił ci kąpiel, że ci aż bańki trzeba było przystawiać, ażeby cię z niej wylizać. Teraz znów cała beczułka oliwy wyszła, aby cię wysmarować z batów Olizarowych. A to i boli i nie przysparza respektu, zwłaszcza dla notaryusza lonheryi. A grosza nie dałbym zato, że mimo to wszystko jeszcze skóra cię swędzi.

— Skóra mnie wcale nie swędzi — odpowiedział mu Kundrat — a nawet prawdę mówiąc, to się na Olizara nie gniewam i jużem się z nim przeprosił. To swój, dzisiaj on mnie da po łbie, jutro ja jemu...

— Tylko, że to jutro jakoś nigdy nie przychodzi — przerwał mu Kijas — bo co chwila się dowiaduję, że ci ktoś skórę wyłoił, ale jeszczem nigdy nie słyszał, żebyś ty kogo wyczubił.

— Przyjdzie to, przyjdzie — powie mu Kundrat - a pierwszy, co weźmie odemnie trzepanie, to będzie ten Francuz przeklęty, co tutaj wszędzie tyle narobił zgorszenia. Człowiek to jak kot, co zawsze pada na nogi, alem ja sobie go nakarbował jak trzeba i pewnie go złapię, a wtedy dam mu za swoje...

— Goń wiatr w polu!—zawołał Kijas – gdzie ty go złapiesz? A jeszcze tak mi się zdaje, że jak go złapiesz, to dopiero wtedy przed nim uciekniesz, Nie nam to mieszczanom próbować się z rycerzami na miecze, a choćby też na batogi, mocniejsi oni są od nas w tem rzemiośle. Jeśli ich kiedy pobić możemy, to chyba rozumem a sztuką. Zresztą, nietrudno mi się domyśleć, za coś się tak pognicwał na niego, zaczem mogę ci dać dobrą radę. Dlaczegoż się już nie deklarujesz? Kobieta majętna i piękna, cokolwiek lekka, ale dobre ma serce, a dostawszy rozumnego męża, może być dobrą żoną...

Na to Kundratowi zaświeciły się oczy i zarumieniły policzki, liznął się językiem po swoich ustach wiśniowych i rzekł:

— Doskonałe to piwko, ale jeszcze nie wyszumiało. Jak z czasem wyszumi...

Ale Kijas mu przerwał, mówiąc:

— Jak jeszcze czas jaki tak poszumi, to ledwie drożdże dla ciebie zostaną. Głupi ty. Raczej ci się dziś deklarować, aniżeli jutro.

Więc Kundrat westchnął i rzekł:

— Jeszcze tam trochę pstro w głowie, jeszczeby mnie nie przyjęła. Trzeba z tem mieć cierpliwość. Kto najcierpliwszy, ten ją dostanie. A potem, nie mieszczańska to rzecz, jak się obaczy kobietę, zaraz się żenić, ot właśnie, jak pan Gniewosz

teraz zrobił na Sobniu. Jeno rycerze tak hazardownie grają o los całego życia, prawie tak samo, jak na wojnie. Co to tam może być z takiego małżeństwa!

Na te słowa Formoza zarumieniła się i spuściła oczy ku ziemi, a Kijas powiedział:

— Trudno to wiedzieć w małżeństwie, kto lepiej robi: czy ten, co się śpieszy, czy ten, co się namyśla. Zawsze to gra w ciuciubabkę. Wilczek się namyślał, a tymczasem Gniewosz zdmuchnął mu pannę, a który z nich lepiej na tem wyjdzie, to dopiero przyszłość pokaże.

— Tymczasem obydwa źle na tem wyszli - rzekła na to Formoza; poczem zaczęto rozmawiać o kabałach, jakie się miały odegrać na zamku sobieńskim, a o których już cokolwiek wiedziano na Niskim zamku we Lwowie.

Wśród tej rozmowy wszedł Wilczek.

Formoza pierwsza zerwała się ku niemu i kiedy Kijas witał go spokojnemi słowami, jak zwykle, ona mu rękę ścisnęła, mówiąc żywo:

— Cieszymy się bardzo, żeś waszmość do nas przyjechał. Smuciliśmy się szczerze jego zmartwieniem. Chcieliśmy pisać, aleśmy nie wiedzieli, dokąd listy posyłać.

Wilczkowi bardzo się błogo zrobiło na sercu, że ma jeszcze na tym świecie przyjaciół, ale zarazem zdziwiło go to, że już tu o nim coś wiedzą, jakoż uśmiechnąwszy się, spytał:

— Mojem zmartwieniem? Cóż wy o tem wiedzieć możecie?

— Jużci wiemy wszystko, bo tu był pokojowiec pana Gniewosza na Niskim zamku, był też i u nas i opowiedział nam bardzo dokładnie o tem weselu.

— O jakiem weselu? — zawołał Wilczek niecierpliwie, a strach niewymowny wymalował się na jego twarzy i usta drżeć mu zaczęły.

— O weselu Gniewosza z Jagienką — rzekł Kijas—podobno nie bardzo się tam weselono...

— Gniewosza z Jagienką! — zawołał Wilczek głosem mocno zmienionym, chociaż widocznie usiłował się opanować.—Gniewosz już się ożenił? Któż to wam taką bajkę powiedział?

— Jakto?—rzekł Kijas—to waszmość jeszcze nic o tem nie wiesz? To nie bajka. Powiadam przecież waszmości, że nam jego własny pokojowiec, który tam był, a którego on tu przysłał z Czorsztyna, wszystkie szczegóły opowiedział, jakoż wiedzą już o tem wszyscy na zamku Niskim. Już temu dwa tygodnie, albo i więcej, jak Gniewosz wziął ślub z Jagienką na Sobniu, Ojciec Chryzostom sam mu go dawał, poczem państwo młodzi wyjechali natychmiast na zamek czorsztyński, gdzie też dotychczas się bawią.

Na te słowa Wilczek skostniał cały, jak posąg drewniany, piekielna boleść całą mu twarz strasznie wykrzywiła, oczy się w słup obróciły, a z ust ścierpniętych wyrwały się mu tylko te słowa:

— Sam Chryzostom ślub dawał...

Kiedy w klasztorze dowiedział się tylko o tem, że mu Chryzostom Jagienki dać nie chce, co jeszcze mogło się zmienić, to boleść targała duszę jego na wszystkie strony, a umysł wzburzony przeciwnościami szukał ratunku choćby w siłach nadprzyrodzonych; teraz, kiedy cios w niego uderzył, ciało jego całkiem zakrzepło, wszystkie władze umysłu stanęły i umilkł.

Miał tylko tyle instynktownej przytomności, że odszedł machinalnie od stołu, ażeby ci ludzie nie patrzyli na niego, poszedł chwiejącym się krokiem w przeciwległy kąt tej wielkiej komnaty i tam stanął przy oknie, oparłszy czoło o szyby.

Formoza z głębokiem wzruszeniem patrzyła na niego, bo sercem swojem wszystko odgadła. Jakoż zaraz poszła za nim, stanęła obok niego, wzięła go za rękę i rzekła do niego półgłosem;

— Uspokój się waszmość. Powróć do siebie. Na co ci się nie zdało tracić przytomność w zmartwieniu. Inni ludzie mają także zmartwienia, a przecie się nie poddają rozpaczy.

Wilczek patrzył na nią przez chwilę oczami bez blasku, jak gdyby jej zrazu nie poznał, a potem rzekł napozór spokojnie:

— To nie jest zmartwienie, to śmierć, na którą niemasz ratunku.

W tej chwili przyszli mieszczanie do Kijasa w gościnę, a zarazem zaproszono do wieczerzy. Formoza rzekła do Wilczka:

— Dopóki człowiek żyje, nie powinien mówić o śmierci. Wielkie to dla waszmości nieszczęście, ale niemasz takiego nieszczęścia, któregoby Bóg nie odwrócił, jak zechce...

— Ale kiedy się już stało—rzekł sucho Wilczek.

— Coś się stało, a coś się nie stało — odpowiedziała mu Formoza — chodź waszmość do wieczerzy. Zachowaj się tak, ażebyś nie dał poznać po sobie, co cierpisz. Nie wszyscy ludzie godni są wiedzieć, co się dzieje w skrytościach serca naszego. A po wieczerzy może ci co powiem, co cię pocieszy...

Przy wieczerzy Wilczek usiadł obok Formozy i usiłował panować nad sobą. Udawał, że pije i rozmawiał z nią o Krakowie i królu. Kijas z pomocą Kundrata układał jakieś sprawy handlowe z mieszczanami, a tak nikt na niego nie zwracał uwagi. Po wieczerzy zaś, kiedy Kijas dopiero naprawdę zajął się mieszczanami, Formoza zaciągnęła Wilczka do tej samej odległej komnaty, gdzie kilka tygodni temu odebrała ślub od Gniewosza, posadziła go w krześle wygodnem około siebie i rzekła:

— Wielka to ulga sercu naszemu, jeżeli z naszych frasunków możemy się wyspowiadać komuś takiemu, co nas przyjaźnie wysłucha i naszym smut-

kiem miłośnie z nami się podzieli. Waszmość nie masz istoty żywej na całej ziemi, którąby ci lepiej życzyła odemnie. Powiedzże mi, jak to tam było na Sobniu i jak się to stało, żeś właśnie wtedy wyjechał, kiedy postanowiono Gniewosza gwałtem ożenić z Jagienką.

— Gwałtem! — zawołał Wilczek jużci Jagienkę zgwałcono, tak się przynajmniej spodziewam, bo jej nie mogę posądzić o zdradę, a zresztą przysłała mi karteczkę przed ślubem; ale któż mógł zgwałcić Gniewosza?

— Może go przecie zgwałcono—odrzekła Formoza - mam i ja także o tem karteczkę. Powiedzże mi waszmość najpierwej, jak Jagienka wygląda, bo podczas ostatniej twojej bytności we Lwowie tak byłeś zamknięty przedemną, że nawet i tegoś mi nie powiedział.

To pytanie rozwiązało usta Wilczkowi, jakoż zaczął jej najprzód opisywać Jagienkę, a zabrawszy raz głos i rozegrzawszy się swoją własną wymową, opowiedział jej ze szczegółami wszystkie wypadki, aż do swego przybycia do eremu Chryzostoma i otrzymanej od niego rekuzy. Wśród tego opowiadania Wilczek unosił się niejednokrotnie to zapałem, to gniewem, to znów żalem i oburzeniem, a głos jego obejmował kolejno bardzo szerokie oktawy, czasem wyrażając żal cichy i kwiląc przez łzy, to znów się wznosząc, jak organ kościelny i grzmiąc potężnie, jak tarcza miedziana, uderzana mieczem rycerskim.

Formoza słuchała go z pochłaniającą każde jego słowo uwagą; kilkakrotnie łzy jej się puściły strumieniem po wybladłych policzkach, aż wreszcie w głos się rozpłakała, przyciskając chustkę do oczu i szlochając jak dziecko.

Wilczek tak samo był przywiązany do Formozy, jak ona do niego; znali się przecież z sobą

od lat dziecięcych, wyrośli oboje w bardzo blizkich stosunkach rodzinnych, ich myśli opierały się na tych samych zasadach, ich uczucia najczęściej do tego samego nastrajały się tonu, z biegiem lat i wypadków niejednokrotnie już sobie robili zwierzenia, nawet mówili sobie ty, kiedy nikt obcy nie słuchał ich rozmowy. Te łzy zatem Wilczka wzruszyły, ale zarazem niepomału go zdziwiły, więc wziął ją za rękę i rzekł z uczuciem wdzięczności:

— Dlaczegoż ty płaczesz nademną? Twoje łzy tobie sprawiają ból, a mnie nic nie pomogą.

A wtedy Formoza nie mogła się już opanować i rzekła z pełnego serca:

— Ja płaczę nad sobą.

Poczem otarła łzy, chustkę odjęła od twarzy i dodała spokojnie:

— Płaczę nad sobą, chociaż wiem dobrze, że i mnie łzy nie pomogą.

Wilczek patrzył na nią przez chwilę i myślał, jak gdyby sobie przypominał jakieś ubiegłe wypadki, a zarazem chciał ich potwierdzenie wyczytać z jej twarzy, a potem tak mówił:

— Kiedym tu był z królem we Lwowie, zdawało mi się po kilka razy, że ci się Gniewosz podobał. Podobno nawet i Kamieniecki raz mi coś o tem nadmienił. Ale byłem wtedy tak roztargnio ny, a samym sobą zajęty, żem na to wcale nie zwracał uwagi. Nie wiedziałem zresztą, a nawet byłbym na sam domysł w to nie uwierzył, że ci tak bardzo przypadł do serca. Nad to zaś wszystko, masz męża... a tak mi się te rzeczy przedstawiały całkiem inaczej.

— Przecież nie z uszczerbkiem mojego honoru?—zawołała Formoza, prostując się w krześle.

— To pewnie nie — rzekł Wilczek z uspokajającym uśmiechem—przecież cię znam i wiem, jak mężnie stoisz na straży swojej godności. Dlatego też właśnie miałem to twoje upodobanie za niewinną

i przelotną rozrywkę, bo jeśliby to miała być miłość, to nie byłbym zrozumiał i dziś nie rozumiem, jakieby mogła mieć widoki na przyszłość.

Uwaga ta zakłopotała cokolwiek Formozę, jednak po chwili odpowiedziała mu głosem przytomnym:

— Bywają położenia w tem życiu, które wobec rozumu zdają się niedorzeczne, a przecież się rozwiązują po myśli, jeżeli je wiara prowadzi, bo wiara jest mocniejszą od wszystkich rozumów i stwarza takie środki działania, jakich żaden rozum nie znajdzie. Ja wierzę — a jeśli mnie moja wiara nie zbawi, to zginę za nią, ale jej nie porzucę. Gniewosz mi przysiągł wierność do grobu. Nie zaniedba pewnie niczego, coby mu mogło dopomódz do spełnienia przysięgi; resztę trzeba zostawić Bogu...

Stanowczość, z jaką Formoza powiedziała te słowa, wpoiły w Wilczka taką cześć dla niej, że przez chwilę nie śmiał się odezwać, dopiero po niejakim namyśle rzekł z oględnością:

— Niechaj cię to nie boli, co powiem, ale przecież muszę powiedzieć, że Gniewosz ci przysiągł, ale już w kilka dni potem ślub wziął z Jagienką. Powiadasz, że go zgwałcono, zapewne tak było, ale ja niewielki mam respekt przed taką wiernością, co tak łatwo zgwałcić się dała.

— Ależ wierność się zgwałcić nie dała! — zawołała z żywością Formoza — tylko go do ślubu zgwałcono. Mam list od niego, list obejmujący kilka arkuszy, tam wszystko jest opisane ze szczegółami. Matka go zgwałciła w kaplicy — a właśnie ta przysięga, którą tutaj wykonał, a do której nierozważnie się przyznał, dostarczyła jej najsilniejszej broni, która mu wreszcie cios stanowczy zadała. Stało się. Byłabym pewnie wolała, gdyby się był oparł, na razie sprawę odroczył, a potem do króla się udał o pomoc; ale rozważywszy dobrze, jak się to stało, nie mogę go o to obwiniać, że się matce nie oparł, którąby go pewnie była zaraz przeklęła.

Wilczek zamyślił się nad tem, układając sobie zapewne wszystkie szczegóły w głowie, lecz nagle otwartą dłonią uderzył się w czoło i zawołał:

— To prawda. Król wie o tem. Teraz sobie dopiero przypominam, jako powiedział w mojej obecności do Kamienieckiego, że Gniewosz tobie wykonał przysięgę. Król więc wie o tem...

— Wie, bo mu to Gniewosz zaraz nazajutrz powiedział, i król obiecał, że mu dla mnie rozwód wyrobi.

To słowo rozwód otworzyło Wilczkowi cały horyzont widoków, którego dotąd nie mógł nawet przeczuwać. Myślał więc nad tem mozolnie, kręcąc się niespokojnie na krześle i spoglądając od czasu do czasu na Formozę. Ale po chwili zapadł napowrót w ciężką zadumę i rzekł:

— Ślubował ci wierność i czystość, to prawda, ale niełatwo w to uwierzyć, że tego ślubu dotrzyma. Jagienka taka piękna, że takiej drugiej niemasz na całym świecie. Zamieszkał z nią pod jednym dachem, ma prawo, ma krew gorącą jak drugi...

— Nietylko ślubował, lecz przysiągł na rany Chrystusa Pana—przerwała mu głosem stanowczym Formoza—a kiedy przysiągł, to dotrzyma. Wątpić się o tem nie godzi.

To rzekłszy, wstała i zrobiła kilka kroków ku ścianie komnaty, jakoby jej duszno było od słów Wilczka, który nie wierzył. Jakoż i teraz rzekł jeszcze:

— Być to może, ale ja w to nie wierzę.,.

Na te słowa Formoza porwała z szafy ten sam krucyfiks w rękę, na który Gniewosz jej niegdyś przysięgał, a podniósłszy go w górę, zawołała z zapałem:

— Czy chcesz, ażebym ci przysięgła za niego?

Formoza była wspaniałą w tej chwili: można było przed nią uklęknąć, jak przed posągiem wiary w zacność człowieka.

Wilczek upokorzył się przed tym widokiem, umysł mu się rozjaśnił cokolwiek, serce się ożywiło, wiary w sobie obudzić nie mógł, ale zapragnął, aby ją kto inny w nim zbudził.

— Chodź — rzekł do Formozy głosem zbolałym, ale spokojnym—siadaj tu przy mnie i mówmy dalej. Twój głos jest jak balsam, co bóle uśmierza.

Kiedy zaś siadła przy nim, ujął jej rękę w swoje ręce i mówił dalej:

— Twoja ręka tak ciepła, taka żywa krew w niej obiega, tak czuć w niej zdrowie twojego serca, tak bije od niej wiara i nadzieja; jam skrzepły jak rzeka zmarznięta, a lodowata krew płynie w mych żyłach. Chciałbym wierzyć, kiedy ty wierzysz, ale nic nie widzę przed sobą, czegoby się mój rozum mógł chwycić. Cóż teraz mam począć? dajże mi radę.

— Nic - rzekła Formoza—nic, czekać cierpliwie, aż póki Bóg się nie zlituje nad nami.

— Czekać?—odpowiedział jej Wilczek — otóż to właśnie nie moja robota. Mnie niecierpliwość piersi rozpiera, a rozpacz mną miota na wszystkie strony. Prędzejbym gołą ręką na Czorsztyn uderzył, niżelibym miał czekać bezczynnie. Wczoraj, nocując w eremie, całą noc brodziłem po puszczy, gdzie same wiedźmy a duchy mieszkają. Widziałem ich też niemało, a zwłaszcza tych, co mają twarze płomienne. I on sam mi się pokazał i rozmawiałem z nim właśnie tak samo, jak z tobą rozmawiam. Powiedziałem mu, że oddam mu duszę moją, jeżeli to zrobi, żebym dostał Jagienkę. Obiecał mi i zaraz stanął u mnie na służbę. Ale jeżeli to był on w samej rzeczy—dodał Wilczek z bolesnym uśmiechem—to musi to być jakiś dyabeł piekielnie głupi, kiedy się podjął mnie z taką dziewką ożenić, która już poszła zamąż...

Formoza słuchała go bez zdziwienia, było to bowiem wówczas rzeczą bardzo zwyczajną słyszeć

ludzi opowiadających, jako widzieli duchów i miewali z nimi rozmowy. Ona sama jednak tylko w połowie w duchy wierzyła, jakoż odpowiedziała mu na to:

— Pleciesz coś sobie, właśnie jak gdybyś leżał w gorączce. Dyabeł nie chodzi po ziemi, a gdyby chodził, to chyba na to, ażeby ludzi kusił do złego, ale nie na to, ażeby ich żenił pomiędzy sobą. Żuźci człowiek nie wie wszystkiego, co się dzieje około niego, a czego nie widzi, ale mnie się tak zdaje, że te wszystkie duchy, co je ludzie widują, strach płodzi, bo też i wielkie ma oczy. I tyś tam pewnie żadnego ducha nie widział, jeno tak ci się zdawało. Ale jeżeliś ty tam w tej puszczy tak gadał, jak tutaj mówisz, choćby do siebie samego, toś ciężkim grzechem obładował sumienie, bo i myślą człek grzeszy.

— Zgrzeszyłem myślą - rzekł Wilczek zatopiony w swoich nocnych wspomnieniach.

— Zgrzeszyłeś myślą—powtórzyła Formoza— i powinieneś się z tego spowiadać, a uczynić pokutę. Inaczej trudno się masz spodziewać, że Pan Bóg pobłogosławi twoim zamiarom.

— A potem — mówił Wilczek, wciąż zatopiony w swoich nocnych wspomnieniach — kiedy złe duchy się rozpierzchnęły, pokazała mi się Jagienka. Przypłynęła do mnie na mgłach i wyciągnęła ku mnie obiedwie ręce, jak t raz czyniła, kiedy mnie samego spotykała na So. . Za nią stał Gniewosz, cały w zbroi żelaznej, jak 'yby miał iść na wojnę, i odtrącał ją ręką od siebie, jak gdyby jej się chciał pozbyć. I inni także tam byli, jedni się śmiali, a drudzy ręce załamywali jakby w rozpaczy, jak gdyby już tylko ulatującą duszę Jagienki widzieli...

— Gniewosz tam był? — zawołała Formoza, przysuwając się bliżej do niego, bo w to widzenie uwierzyła — odtrącał ją ręką od siebie? sam to widziałeś?

— Tak widziałem, jak ciebie tu widzę.

— Bo tak jest — rzekła głosem stanowczym Formoza. — Oni się z sobą rozejdą. Bądź dobrej myśli. Jeszcze nam może przyjdzie przez ciężkie przechodzić terminy, ale je przebrodzimy i wypłyniemy na sucho.

— Ty może wypłyniesz — rzekł Wilczek — ale ja?.

— Jakiś ty dziwny — powiedziała mu na to Formoza — jeżeli ja wypłynę, toż i ty musisz wypłynąć. Jeżeli Jagienka się od Gniewosza uwolni, to się uwolni dla ciebie.

Ale Wilczek był wciąż w rozpaczliwem usposobieniu i rzekł smutno:

— Czasem się mąż uwalnia od żony przez rozwód, a czasem przez śmierć...

Na te słowa Formoza niecierpliwie rzuciła się na krześle, ale wtem wbiegł do komnaty Tigranes i na tem się ich rozmowa urwała.

Wilczek bawił jeszcze przez cały tydzień we Lwowie—a potem, wedle rozkazu, wrócił na służbę do króla.

X.

Sprawy publiczne.

Ród Pretficzów, chociaż już od stu lat z górą znany po całej Polsce, nie liczył się ani do sławnych, ani do znamienitych, bo jeszcze do owego czasu niczem się nie wywyższył nad inne. Trzymając się swojej rodzinnej tradycyi, dotychczas nawet wcale wywyższenia nie szukał. Była to szlachta rycerskiego zawodu jak wszyscy, ale skromnych ambicyj: wiek młody przesłużyć pod chorągwiami, w dojrzałych latach ożenić się zacnie i oddać się całem sercem służbie obywatelskiej, kochać serdecznie a pie-

lęgnować starannie swoją własną rodzinę, nie żałować nakładu na wychowanie swych dzieci, dbać po ojcowsku o dobro swoich sług i poddanych, ubogiego przytulić, głodnego nakarmić, łaknącego napoić, nieuszczuplony majątek zostawić swoim następcom, a resztę poruczyć Bogu — oto były zasady, któremi ten zacny ród rządził się po wszystkie czasy.

Pretficzowie otrzymali jeszcze za Władysława Jagiełły obszerne ziemie na Podolu, próbowali tam mieszkać, ale nie mogąc swym sumptem utrzymywać dostatecznej załogi, któraby ich broniła przed częstemi napadami Tatarów, wynieśli się ztamtąd i poruczyli wyzyskiwanie tych stepów swoim gubernatorom. Natomiast zaś zakupili od ruskich bojarów szeroki płat ziemi nad Świcą, założyli na nim wieś Sokołów i tu zamieszkali. Była to ziemia bardzo bogata we wszystkie dary Boże: przepysznych lasów więcej niż trzeba, wody obfitujące w ryby wszelkiego rodzaju, gruntów ornych niewiele, bo i osad niewiele, lecz zato łąk tłustych, ciągnących się po obydwóch brzegach Świcy aż ku Żórawnu, nieprzejrzane przestrzenie. Było tam z czego utrzymać choćby i najliczniejszą rodzinę, i było z czego jeszcze i drugich zapomódz.

Na tym majątku, zwłaszcza przy wpływach ze stepów podolskich, poczciwi ci ludzie żyli zawsze w dostatkach, ale dopiero dzisiejszy dziedzic, Mikołaj Pretficz, poznał się na jego wartości i wziął się umiejętnie i skrzętnie do pracy. Miał on już teraz lat blizko sześćdziesiąt, ale był czerstwy i zdrów, jak dąb okryty gęstą zielenią, a niemający ani jednego suchego konara na sobie. Niebardzo wielki był wzrostem, ale zbudowany barczysto i już cokolwiek zażywny, miał krótką ciemną czuprynę i brodę przystrzyżoną spiczasto, a w nich ledwie gdzieniegdzie włos siwy, twarz rumianą i wyrazistą z nosem pokaźnym, a oczy jasne, otwarte, pełne tego spokojnego rozumu, który się może czasem kogo poradzi,

lecz w gruncie rzeczy sam polega na sobie. Za młodu, przez lat prawie dwadzieścia, mieczem służył ojczyźnie, że zaś był wyćwiczony w obcych językach, towarzyszył niejednokrotnie posłom królewskim do Pragi, do Wiednia i Rzymu. Będąc żołnierzem, był jednym z najzaufańszych Kazimierzowskich rycerzy, a w poselstwach, choć nieuczony, niejednę zawiłą kwestyę rozwiązał swoim gospodarskim rozumem.

Przed laty dwudziestu ożenił się — a widząc, że go Bóg błogosławi licznem potomstwem, wziął się do pracy, aby też trochę majątku przysporzyć dzieciom. A było tam tych dzieciaków jak bobu. Najstarszy Lubek dosługiwał się właśnie godności rycerskiej na zamku kmitowskim. Dwóch młodszych uczyło się w Pradze, trzeci zaprawiał się do nauk w Krakowie, potem szły trzy dzieweczki, które chowały się w domu—a Bernard, ten sławny Bernard, który za króla Zygmunta siedmdziesiąt zwycięzkich bitew stoczył z Tatary, który się za tem hultajstwem zapędził aż do Krymu i tam mu zalał polskiego sadła za skórę, a o którym na wieczne czasy zostało przysłowie: „za czasów pana Pretfica spała od Tatar granica", ten polski rycerz bez trwogi i zmazy, jeździł jeszcze natenczas na drewnianym koniku.

Żona Mikołaja była z domu Tworowska, z tych samych Tworowskich herbu Leliwa, którzy mało co później wzięli w posagu całą fortunę Buczackich; a nawet przyjęli ich nazwisko, ale wtedy jeszcze, tak samo jak Pretficzowie, nie wydobyli się ponad poziom tłumów szlacheckich. Była to kobieta już blizko czterdziestu lat wieku, ale jeszcze tak piękna i świeża, jak gdyby poszła zamąż dopiero przed rokiem. Słuszna blondynka, pociągłej twarzy, z niebieskiemi ocyma dziwnej słodyczy, wyniosłego czoła i wcale majestatycznej postaci, byłaby mogła wszelakie hołdy zdobywać dla siebie po zamkach sąsiedzkich; ale

skromnego serca jak sługa sług pańskich, pełna czci i miłości dla męża, najtroskliwsza matka dla swoich dzieci, klucznica wszelkich dostatków, szczodra dla wszystkich, a prawie skąpa dla siebie, rzadko kiedy opuszczała swą ulubioną zagrodę, tak, że ją tylko z jej cichej a dobrej sławy znano po kraju.

On w dreliszkowym kubraku i butach myśliwskich, ona w płóciennej sukni domowej roboty, od świtu do nocy byli tylko gospodarstwem, a dziećmi zajęci, przyjmowali otwartemi ramiony gościa u siebie, ale niechętnie wychylali się z domu. Były tam w skrzyniach bogate szaty od atłasów i aksamitów, były błyszczące a drogie klejnoty, były landary w wozowni, było i koni i służby dostatkiem, było więc z czem się pokazać przed ludźmi, a nawet niektórych przesadzić; ale takie paradne wizyty rzadko się kiedy zdarzały. On tylko sam, będąc pierwszym podkomorzym halickim i używając dla swej zacności wielkiej powagi w powiecie, musiał częściej wyjeżdżać, to na sądy graniczne lub polubowne, to wreszcie na sejmiki i sejmy, których też nigdy nie zaniedbywał.

Pretficz podniósł dochody swego majątku do nieznanej dotychczas wysokości. Jakie tam były nieprzeliczone stada koni u niego, jakie bydło rogate, jakie tysiące owiec wełnistych, jakie pasieki i stawy, temu się ludzie nie mogli nadziwić, bo też i najmożniejszy z panów nie miał tego u siebie. Gospodarstwo rolne było bardzo trudne natenczas w tych krajach, bo wielki był brak robotników. Kmiecci, sołtysów i kniaziów było jeszcze dużo, ale tych dotychczas nie można było zmuszać do pracy— a chłop nie trzymał się roli, bo ziemi było dostatkiem wszędzie, a zwłaszcza w górach, gdzie wprawdzie chleb chudy, ale większe bezpieczeństwo od tatarskich zagonów. Osadnicy przypływali dość licznie z Mazowsza i z Wielkopolski, ale ich sobie odmawiano nawzajem; najsurowsze prawa przeciw

nim na nic się nie zdały, bo wykonanie ich było trudne, toż tylko prawem niemieckiem można ich było przyciągać, a dobrem obchodzeniem się z nimi utrzymać. Pretficz, człowiek rozumny, a przytem łagodny, był mistrzem w tej sztuce, osadnicy, co osiedli w jego majątku, nigdy nie opuszczali swych zagród, bo im łatwe nakładał warunki, dbał o nich jak ojciec w złej i dobrej doli, umiał ich przywiązywać do dworu, a przez kmiecí, z którymi żył w dobrej zgodzie, jak gdyby z młodszymi braćmi, sprawował nadzór nad nimi i wywierał wpływ na nich, tak, że dwór, kmiecie i chłopi stanowili u niego jakoby jednę rodzinę. Postępując tym trybem, pomnożył do tego stopnia swe grunta orne, że kiedy ten i ów z jego sąsiadów ledwie tyle zbóż zbierał, ile sam zjadł ze swoją czeladzią, u niego nieprzebrodzone łany falowały pszenicą i żytem i prawie wszystkie okoliczne miasteczka jego się chlebem żywiły. Tak też pomału się zabudował: jego stajnie, obory, stodoły, śpichlerze a pomieszkania dla sług, rezydentów i gości wyglądały prawie jak miasto — tylko stare dworzysko, tak jak go jego ojcowie pobudowali i wciąż powiększali, pozostawił nietknięte.

Była to ogromna, prawie jak jaki zamek rozłożysta budowa, z trzema gankami u frontu, z przyźbami dokoła, z pięterkiem w jednym, a z wieżą w drugim rogu, ale cała drewniana, a tu i owdzie nawet tylko dranicami i słomą pokryta. Nad wieżą był dach baniasty z krzyżem u szczytu, jakby na cerkwi, bo tam się znajdowała domowa kaplica. Wszystkie gospodarskie budynki stały z tyłu za dworem, po prawej stronie ciągnęły się sady jak lasy, a w nich pasieki i woskobojnie, przynoszące niemało złotych węgierskich owego czasu; po lewej wielki wirydarz z grzędami wysadzonemi bukszpanem, na których rozrastały się malwy, wysmukłe ślazy, winogrady, słoneczniki i inne zioła lekarskie,

zaś w środku obszernego dziedzińca błyszczała okrągła sadzawka, obsadzona dokoła tak gęsto różami, że przez nie ani wąż nie mógłby się przecisnąć. Tylko naprzeciw środkowego ganku dworzyska róże przecięto i rzucono mostek na małą wysepkę, która znajdowała się na środku sadzawki, a na której rosły cztery brzozy płaczące, kąpiące swoje zielone warkocze w kryształowem zwierciadle sadzawki. Pomiędzy brzozami stały ławy rzeźbione z drzewa, na których gospodarstwo czasem odpoczywali po zachodzie skwarnego słońca, oddychając balsamicznym zapachem róż, który im ochłodzone wodą wietrzyki przynosiły od brzegów i sytną wonią dojrzewających owoców, która zawiewała od sadów. Całe to zacne a piękne obejście razem ze wszystkiemi ogrodami i budynkami było otoczone wysokim wałem wzniesionym z ziemi, a najeżonym palisadami i częstokołem, z po za którego można się było bronić, w środku wału stała wysoka brama drewniana z pomieszkaniami dla stróżów, zaś po obydwóch stronah pobudowano strażnice a tak w tym ziemskim raju poczciwych ludzi, pomimo rozgwaru pracy na blizkich rolach i łąkach, panowała niezamącona cisza, ta cisza ziemska, lecz jakby przeniesiona z pól elizejskich, podnosząca umysł i radująca serca, a do prawdziwego szczęścia tak niezbędna.

I był to rzeczywiście raj ludzki. Po tem starem dworzysku, po oficynach, kuchniach, oborach i stajniach, roiło się jakie kilkadziesiąt ludzi albo i więcej: nauczyciele i piastunki do dzieci, rezydenci i rezydentki, sieroty przytulone do dworu, włodarze, ciwuny, parobki i sługi zbrojne, wszystko to było w ruchu od świtu do nocy, ale każdy pełnił swą służbę sumiennie i bez hałasu, bo każdy ją pełnił z czci i miłości dla pana i pani. Wywijało się też tam wszystko jak z płatka, a wiodło nad podziw: rok w rok nowy folwark budowano w wykar-

czowanych lasach, rok w rok pomnażały się stada, rok w rok spuszczano nową baryłkę szerokich groszy do zamkniętej na drzwi żelazne piwnicy, ni ojca, ni matki żadne nie turbowały troski lub niepokoje, dzieci chowały się pięknie i zdrowo, nigdy ani jedna łza tam nie padła, chyba nad cudzą niedolą, zgoła słońce tam wciąż świeciło, a życie płynęło jak dzień pogodny i jasny, nigdy niezasępiony chmurami. Dopiero teraz na tem pogodnem niebie pokazała się chmurka i nabawiła rodziców nieznanego dotychczas zmartwienia...

Oto właśnie przed kilku dniami przyjechał Lubek z Sobnia; przyjechał blady, wycieńczony na siłach i niby to tylko na rekowalescencyę po przebytej ciężkiej chorobie, ale nieomylne rodzicielskie przeczucie zaraz odgadło, że pod tą chorobą fizyczną jeszcze coś innego się kryje. Wypytywano go z oględnością, azali skutkiem jakiegoś lekkomyślnego kroku nie popadł w niełaskę u Kmitów, azali się z kim nie pokłócił lub nie pobił, ale kiedy Lubek tym wszystkim przypuszczeniom zaprzeczył, uwierzono mu, bo znano jego nieskazitelną poczciwość i miłość serdeczną a pełną ufności do swoich rodziców. Przywiózł on zresztą list od obojga kasztelaństwa do państwa Pretficzów, list pełen pochwał dla niego, a zapewniający niedwuznacznemi wyrazy, że jego zwątlone zdrowie potrzebuje dłuższego spoczynku w zaciszu i na łonie własnej rodziny. Matka, namówiwszy się z mężem, podjęła się sekret ten z serca swojego syna pomału wydobyć.

Dotychczas jej się to wcale nie udawało: Lubek był całkiem w sobie zamknięty i ani jednem słowem stanu swej duszy nie zdradził — a kiedy potrącono o jaki przedmiot, który mu przypomniał Jagienkę i uczuł, że mu serce wzbierać zaczyna, to zawsze rozmowę zręcznie odwrócił i sam zabrawszy głos, potrafił własną wymową odzywający się ból

swego serca zagłuszyć. Dopiero teraz zdarzyła się sposobniejsza chwila potemu.

Przed samym zachodem słońca, stary Pretficz zasiadł w narożnym ganku z dwoma kmieciami i kapelanem domowym i rozmawiał z nim o sprawie niezmiernie ważnej, bo o zbudowaniu rzymsko-katolickiego kościoła, którego dotąd jeszcze w Sokołowie nie było. Ci obydwa kmiecie, pożeniwszy się z Polkami, dzięki wpływowi swych żon, już przeszli na katolicyzm; w dobrach Pretficza było już katolików wielu, bo między nowymi osadnikami byli mazury i wielkopolanie; nie chodziło mu wcale o fundusze, bo tak koszt budowy, jak i dotacye kościoła, postanowił opędzić z własnej szkatuły: ale wiele zależało mu na tem, ażeby ta erekcya została przeprowadzona wspólną pracą i wspólnym zachodem, bo tylko tym sposobem mogła się utworzyć katolicka gmina, która, wiedziona tem przekonaniem, że kościół jest jej wspólną, a nietylko pańską własnością, mogła była swą własną siłą dalej się rozszerzać. Każdy szlachcic, osiadający w tych ziemiach i dalej, był nietylko kolonizatorem, krzewicielem cywilizacyi zachodniej i rycerskim obrońcą ziemi, ale czuł się zarazem apostołem i misyonarzem rzymsko-katolickiego Kościoła — a byli pomiędzy nimi i tacy, którzy tę ostatnią misyę uważali za najwyższą i najważniejszą, bo spełniając ją gorliwie i skutecznie, nietylko przymnażali swojej ojczyźnie wiernych obywateli, łączących się z nią obok wspólności interesów także wspólnością wiary, ale przyczyniali się zarazem do zbawienia duszy tych ludności, nad któremi los im powierzył opiekę. Do takich gorliwych apostołów należał Pretficz i spełniał to posłannictwo rozumnie, skrzętnie i z prawdziwie apostolskiem zaparciem się ciebie — a kiedy był rozmową o takich sprawach zajęty, niktby go od niej nie potrafił oderwać.

Po dziedzińcu, około sadzawki igrały dzieci

z piastunkami i nauczycielkami, a dozór nad niemi miała zakonnica Ormianka, która także przeszedłszy na wiarę rzymsko-katolicką, opuściła swój klasztor we Lwowie i w Sokołowie przyjęła urząd ochmistrzyni. Pomiędzy dziećmi i sierotkami, które się razem z niemi chowały, hasał na kiju sześcioletni naówczas Bernard i szablą drewnianą ścinał łby łodygom i krzakom; rycerska krew, szukająca ochłody w zniszczeniu i mordach, już wtedy w nim grała, bawiło to wszystkich i dlatego na wszystko mu pozwalano.

Matka zaś siedziała z Lubkiem na wysepce pomiędzy płaczącemi brzozami i rozmawiała z nim o zamku sobieńskim. Słońce już się zaczęło chować po za góry i lasy, pomiędzy któremi o jakie pięć mil odległości na przestrzał stał zagrzebany w ich cieniu zamek tustański; niezamącona cisza panowała w powietrzu, od ogrodów i sadów zawiewał ten silny zapach dojrzałych jarzyn i usychających liści, który smętne w naszej duszy wywołuje uczucia, a umysł usypia i do smutnych marzeń nastraja. Omdlewają natenczas wszystkie rośliny i krzewy, życie ulatuje z nich zwolna, krzepną i umierają, aż wreszcie nielitościwa zima chwyci je w swoje objęcia śmiertelne i w kościotrupy zamieni, a co wiedzieć, który z tych tworów Bożych na wiosnę nowem zazieleni się życiem, a który w wiecznym pozostanie pogrzebie? Człowiek, związany z naturą roślinną niezliczonemi węzłami, czuje, że taki sam los czeka go nie dziś to jutro, rozmarza się tym widokiem swojej przyszłości, dusza jego zanurza się w smutku, a serce radziej się wtedy, niż kiedykolwiek dzieli swym smutkiem z innymi.

Lubek opowiedział już matce wszystko, co wiedział o Kmicie, zbawionym za życia i nie łaknącym już żadnych nowych zaszczytów, o kasztelanowej, bardzo zacnej matronie, ale niezmiernie górnych ambicyj, o Smolickim, o wszystkich żołnierzach zam-

kowych, o księdzu Białym, o całym fraucymerze, ale jeszcze dotąd ani słowem nie wspomniał o Jagiece. Dopiero teraz matka sobie ją przypomniała i o nią spytała. Lubek zrazu odpowiadał krótkiemi słowami, ale naglony zapytaniami, rozegrzał się i wymalował jej obraz taki uroczy i taki zachwycający, że matka sama uczuła się dla niej ujętą i prawie wzruszoną. A kiedy mówił, głos jego drżał, jak struny harfy eolskiej, kiedy grają hymn wzniosły na cześć wspaniałej, radością żywego życia przepełnionej natury, a pod nim jęczy cichemi dźwiękami boleść ducha ludzkiego, uwięzionego w mękach pracy i trudu w tej nieodgadnionej i nieczułej dla niego naturze. To drżenie w jego głosie odgadła matka swojem miłosnem sercem i kiedy jej syn skończył swoje opowiadanie, spytała go, patrząc w twarz jego zarumienioną zapałem:

— I tę Jagienkę wydano teraz za pana Gniewosza?

Na te niespodziane dla niego słowa Lubek chciał zaczerpnąć powietrza, lecz nie mógł, natomiast zaś z dotkniętego tem bolesnem wspomnieniem serca dwa gorące strumienie łez wytrysnęły mu z oczu i potoczyły się, jak górskie potoki, po jeszcze mocniej zarumienionych policzkach. Poczuwszy zaś łzy, nie mógł się już opanować i rzucił się przed matką na ziemię, kryjąc twarz swoją na jej kolanach. Tak klęcząc, płakał jeszcze, ale płaczem cichym, tłumionym połykanemi łzami i był, jak dziecko, które się już wypłakało i żal swój objawia tylko kwileniem.

A teraz matka już wszystko wiedziała.

Wzruszona do głębi boleścią swego ukochanego chłopięcia, ale zawsze spokojna, położyła rękę na jego głowie i rzekła ze szczerem współczuciem:

— Uspokój się, Lubku. Niemasz w tem żadnego występku, takie nieszczęścia chodzą po ludziach. Wstań, pomówimy o tem spokojnie.

Natenczas Lubek wstał, usiadł napowrót na ławie, a ośmielony tem, że matka mu za tę miłość nie robi wyrzutów, zawołał ze łzami w głosie:

— Jeszcze w wigilię swojego ślubu, właśnie, jak gdyby ze swej trumny rzuciła mi bukiecik róż, który dotychczas noszę na piersiach.

Te słowa zwróciły na siebie szczególniejszą uwagę rozumnej matki, jakoż powiedziała mu bez wyrzutu, a raczej z macierzyńską dobrocią:

— Bardzo to niedobrze zrobiła Jagienka, że ci rzuciła bukiecik, bo przecież już wtedy wiedziała, że idzie za Gniewosza, a nawet gdyby nie to, to nie mogła nie wiedzieć, żeś ty jeszcze za młody na męża.

Usłyszawszy tak ciężki zarzut przeciw Jagience, która w jego oczach była aniołem nieskazitelnej czystości duszy i serca, Lubek zapłonął szlachetnym ogniem i wymową płynącą, jak rzeka wspaniałym korytem, stanął w jej obronie. Poczem opowiedział matce, że on nigdy Jagience nie dał powodu do przypuszczania, jakoby ją kochał w jakichkolwiek zamiarach, bo jej swojej miłości nigdy ani jednem słowem nie zdradził; że ona także miłowała go tylko, jak brata, bez żadnej myśli o jakiemkolwiek wspólnem szczęściu na ziemi; ale że ją gwałtem do zamężcia zmuszono, że na całym zamku nikt nie miał dla niej litości, że nikt nawet nie rozumiał krwawego zmartwienia, że tylko on jeden miał dla niej współczucie, czego ona była pewną i tylko przez wdzięczność za to współczucie rzuciła mu ten bukiecik. Ażeby wreszcie matkę o jej zupełnej niewinności przekonać, dodał z naciskiem, że Jagienka ani słowem mu nie wspomniała o gwałcie, jaki jej zadają jej opiekunowie, on się o nim od dworzan dowiedział, bukiecik przez nią rzucony był tylko, jak gdyby słowem „Bóg zapłać" za jego szczere modlitwy, które zawsze zasyłał do Boga, aby się tylko jej własne życzenia spełniły.

I znów w tem opowiadaniu dźwięczny głos jego brzmiał, jak harfa eolska, aż póki nie zniżył się do cichego tonu boleści bez skargi... i nie zakończył temi słowami:

— Popełniłem grzech ciężki i nieodpuszczony, bo dusza moja zabłąkała się na bezdroża, ale gotów jestem pokutować przez całe życie, byleby tylko ona była szczęśliwą...

Te słowa, świadczące o duszy rozdartej młodzieńca, a zawieszonej nad brzegiem rozpaczy, znów wzruszyły do głębi matkę, wzięła go za rękę i usiłowała pocieszyć, mówiąc, iż zdarza się to nieraz młodzieży, że sobie upatrzy nie tego lub nie tę, którą Bóg jej przeznaczył, że wprawdzie takie obłędy serca zdarzają się tylko wtedy, kiedy się zapomniało o Bogu, którego woli nie należy nigdy wyprzedzać, a zawsze tylko od Niego wyczekiwać natchnienia, że jednak takie obłędy są tylko zapomnieniem, są niekiedy nieszczęściem, lecz nie są wcale grzechem, a zwłaszcza nieodpuszczonym. Bóg w swojej nieprzebranej miłości daleko cięższe grzechy przebacza, a nie zamyka nikomu drogi do poprawy. Poprawa czasem jest bardzo trudną, bo serce ludzkie ma trwalszą pamięć, niż rozum, a nieraz nawet toczy walki z rozumem; ale dobra wola, poznanie błędu i skrucha są pewnemi środkami do poprawy, a czas zawsze im skutecznie pomaga.

— Walka rozumu z sercem zbłąkanem—kończyła ta rozumna i pełna miłości matka nieszczęśliwego młodzieńca—jeżeli ma być skuteczną, cierpliwości wymaga. Nie pochwaliłabym takiego, któryby chciał gwałtem ze swego serca wydzierać rozbudzone w niem żywe uczucie miłości, bo serce także ma swoją wolę, choć nieświadomą i często jej broni rozpaczliwemi środkami; ale rozum, który wie zawsze o sobie, właśnie jest na to, ażeby serce powoli przekonać i uspokoić, a życie czynne, zajęcie się innemi a ważniejszemi obowiązkami, których na

nas ciąży tak wiele, zadowolenie własnego sumienia dopełnianiem tych obowiązków, przynosi ulgę skołatanemu sercu i pozwala mu z czasem swoją ciężką żałobę utulić. Jeżeli zapominamy z czasem łzami krwawemi na razie oplakiwanych umarłych, chociaż nam byli najdrożsi i poprzestajemy na cichym żalu za nimi, dlaczegożbyśmy nie mieli tak samo żałować żywych, którzy dla nas umarli? Ale ty nawet nie potrzebujesz zapominać Jagienki, do czego przeciw twej woli nikt cię zmuszać nie będzie. Jeżeli jej los cię obchodzi, to będziesz mógł zawsze cieszyć się jej szczęściem, a smucić jej smutkiem, ale dlatego jeszcze nie potrzebujesz nad jej niedolą rozpaczać...

Ale Lubek rzekł na to głosem rozdzierająco bolesnym:

— Jeżeli ją Bóg jakim cudem nie wyzwoli z tego więzienia, w które ją Kmitowie tak nielitościwie wrzucili, to i dla mnie niemasz szczęścia w tem życiu!

Matka patrzyła na niego przez chwilę, milcząc. Rozumiała ona dobrze tę miłość idealną, która wówczas tak często zawracała głowy młodym rycerzom, a o której, zwłaszcza pomiędzy tymi, co młodość swą przepędzili na wielkich dworach Europy zachodniej, tak piękne i tak urocze krążyły powieści; któraż zacna kobieta zresztą i dziś jeszcze nie wierzy? Dlatego nie powiedziała nic takiego, coby mogło to święte uczucie jej syna obrazić. Lecz była przekonaną, że taka miłość, jak każdy ideał, nie mogący zamienić się w rzeczywistość, nie może być szkodliwą i prędzej się czy później w świecie duchowym ulotni, a z tego powodu nie usiłowała już dalej go przekonywać, natomiast tylko go jeszcze spytała:

— Powiedzże mi, mój Lubku, kiedy się tak szczerze przedemną spowiadasz, dlaczegożeś ty wyjechał ze Sobnia? Czy też Kmitowie się nie

spostrzegli, żeś się rozmiłował w Jagience i czy nie oni sami, w sposób grzeczny, wypowiedzieli ci służbę?

— Nie — zawołał Lubek z nieukrytą goryczą w głosie — nie! ja sam im się wyprosiłem od dalszej służby, bom nie mógł patrzeć na tych ludzi, którzy się stali katami Jagienki! Gdybym był musiał tylko jeszcze jeden tydzień tam mieszkać, to byłbym umarł ze wstrętu, tak mi tam wszyscy obrzydli. Nie powiedziałem tego ojcu, bom nie mógł. I ten grzech mam także na sumieniu. Ale mu powiem... muszę mu to powiedzieć, bo choćby mnie zabił, ja do Kmitów więcej nie wrócę.

— Chodź — rzekła na to matka, biorąc go za rękę i wstając z ławy — chodźmy, już czas do wieczerzy. Pomówimy o tem jeszcze obszerniej i obaczymy, jak na to radzić.

To rzekłszy, poszli oboje do dworu, gdzie w izbie jadalnej wszyscy domownicy byli już zgromadzeni. Siadało tam codzień ze trzydzieści osób do stołu, bo u Pretficzów nie było tej etykiety, jak po zamkach rycerskich, gdzie po dwa i trzy stoły bywało dla różnych kategoryj załogi zamkowej, tam dzieci i nauczyciele, żołnierze i rezydenci, wszyscy razem jadali Stary Prerficz był przy wieczerzy swoimi kmieciami zajęty, lecz kiedy kmieci odprawił, a Lubek zaczął igrać z Bernardem, którego kochał serdecznie, matka zasiadła z nim w kącie drugiej komnaty i opowiedziała mu wszystko, co się dowiedziała od Lubka. Pretficz wysłuchał jej z wielką uwagą, a nawet o niektóre szczegóły wypytywał dwukrotnie, ale nie zajął się tą sprawą tak żywo, jak ona się spodziewała, bo w końcu odpowiedział jej tylko w tych słowach:

— Te służby po pańskich zamkach są u nas konieczne, bo tylko tam młodzież się poleruje i tylko ztamtąd otwiera sobie drogę do dalszej promocyi, ale ma to także swą niedogodność, bo nadzór nad

młodzieżą nie wszędzie jest dosyć surowy i niektórzy z nich się bałamucą. Ale to potem mija..

Matka nie miała odwagi więcej na niego naciskać, aby go przekonać, że trzeba coś na to radzić. Pretficz widocznie innego był zdania, albo też o innych środkach zaradczych pomyślał, bo przeciw jej spodziewaniu, ani tego wieczora, ani w dniach następnych ani słowa o tem z Lubkiem nie mówił. Zdaje się, że nie naganiając wcale takich poufałości pomiędzy synem a matką, nie uważał ich przecież za odpowiednie godności i powadze ojcowskiej.

Widząc to matka, trochę się tem niecierpliwiła, kobiety zawsze zajmują się daleko żywiej takiemi sprawami; ale jej niecierpliwość nie trwała długo. Albowiem już w kilka dni potem zaczęto zwoływać sejmiki, a zarazem rozesłano wici królewskie na sejm do Piotrkowa. Pretficz wyjechał do Halicza, a ztamtąd do Piotrkowa i wziął Lubka ze sobą.

Już od ostatnich dni sierpnia poszedł ogromny krzyk po całej Polsce: na sejm! na sejm! Pierwsze hasła do tego okrzyku odezwały się w Małopolsce, gdzie jeszcze od czasu Ludwika węgierskiego najzapaleńsi obrońcy szlacheckiej wolności gęsto przy sobie osiedli. Ztamtąd rozległy się najprzód po Wielkopolsce, zrywając na nogi nieprzeliczone mrowiska drobniejszej szlachty aż do Wiślicy i Gopła— od brzegów Nidy przewaliły się przez całe Mazowsze i odbiły się o nieprzebyte puszcze litewskie, wywołując stugłośne echa pomiędzy drżącymi o swoją udzielność Gedyminowymi wnukami — drugim zaś szlakiem zalały całą Ruś, najeżoną już wtedy polskiemi dworami i zamkami, a pędząc jak wicher wzdłuż Karpat, gubiły się w nieznających granicy stepach podolskich, gdzie duch rozpierającej się Polski nie znał także granicy, bo już natenczas przez swoich biskupów położył jednę rękę na ziemiach wołoskich, a drugą dotknął się Kafy, kąpiącej się w wodach Czarnego morza.

Na sejm! na sejm!—wołano jednogłośnie po wszystkich zamkach i większych dworzyskach, po małych dworkach i szlacheckich zaściankach, na sejm mają jechać wszyscy *viritim*, na najlepszych koniach, z najlepszą bronią i z gotowością położyć zdrowie i życie za wolność i całość ojczyzny. Od zamku do zamku, od dworu do dworu biegali jak race zadyszani achatesowie możnych i sejmikowi krzykacze, rozwożąc pieniądze, odzież i broń, budząc ospałych, zachęcając młodzieńców, zagrzewając starców, ściągając chorych z łoża boleści, ledwie że nie wskrzeszając umarłych, ażeby wszyscy stawali pod chorągwiami, jak gdyby wszystkie potencye świata na nią się sprzysięgły, jak gdyby już samo piekło rozwarło nad nią swą paszcze...

Zkądże ten strach wielkooki, zkąd ten zapał taki płomienny, zkąd taka jednomyślność zapału?— Oto z tej samej Małopolski wydano hasła pewne i nieodmienne, jakby król już zupełnie uległ dyabelskim radom Kallimachowym, jako już postanowił, z wolą albo i przeciw woli, cały naród zakuć w poddaństwo, narzucić mu *absolutum dominium*, sam odtąd wszystkie prawa dyktować, władzę wykonawczą wziąć we własną rękę, szlachtę schłopić albo ją w zbrojnych drabów zamienić — a sam zostać cesarzem jedynowładnym, jak ma być w Turczech, jak jest w Tatarszczyznie. Na dowód, że to jest prawda nieomylna, rozwożono w niezliczonych odpisach cały rejestr „rad Kallimachowych", po łacinie spisany, w którym można było wyczytać jeszcze daleko więcej żelaznych kajdan na szlachtę, a o którego autentyczności nikt nie mógł wątpić, bo w każdym egzemplarzu był ten sam tekst co do joty. Te „rady" we wszystkich dworach i dworkach, na wszystkich zgromadzeniach, we wszystkich winiarniach, ze stołów i beczek czytano, jedne artykuły z jednogłośnem oburzeniem witano, drugie kazano sobie tłómaczyć, nad innemi sporne się wywiązywały

dyskusye, ale *summa summarum* w zdradzieckie zamiary króla na razie wszędzie uwierzono - i dlatego po całej Polsce tak jednomyślny rozległ się okrzyk: Na sejm! na sejm!

Jak to zwykle bywa po takim gorącym zapale, ogień ten nie wszędzie dopalił się do końca, a ten i ów przecie na sejm nie pojechał: jeden się namyślił i wolał pozostać w domu dla dopilnowania reszty żniw i ziwowych zasiewów, drugi się z workiem obliczył i nie znalazł w nim dosyć szerokich groszy na koszta tak dalekiej podróży, a trzeci po gruntownej rozwadze zrozumiał, że z tego sejmu mogłaby się wywiązać wojna domowa, więc wolał się w te roboty nie mieszać. Prócz tego byli także po kraju poplecznicy królewscy, którzy zapewniali każdego, kto ich chciał słuchać, że te „Rady Kallimachowe" są fabrykatem nieprzyjaciół królewskich, że w tem wszystkiem niemasz ani jednego słowa prawdy, że to są wymysły panów niesfornych, a chciwych rozwielmożnienia własnej potęgi, którzyby chcieli zaćmić do reszty majestat polskiej korony i sami rządzić królestwem na szkodę wszystkich praw i wolności szlacheckich. Agitacye te także ochłodziły gorący ferwor niejednego szlachcica i wpoiły weń przekonanie, że lepiej zaczekać w domu, aż póki nie nadejdą pierwsze wiadomości ze sejmu. Lecz mimo to tłumy niezmiernie liczne i okazałe pociągnęły ze wszystkich prowincyj na sejm—a najstarsi ludzie nie pamiętali tak rozgwarnego, tak srodze groźnego, a zarazem tak tłumnego zjazdu szlachty polskiej i ruskiej w Piotrkowie.

Piotrków, leżący na szerokiej płaszczyźnie, wtedy już zdala przedstawił się bardzo wspaniale nadciągającym pocztom szlacheckim.

Z odległości o dwie i trzy mile uderzał w oczy ogromny zamek królewski, otoczony czterema wyniosłemi basztami, z pomiędzy których ostrą iglicą wystrzeliwała ku niebu gotyckim kształtem zbudo-

wana wieża środkowa; na szczycie wieży błyszczał orzeł biały, kąpiący swe srebrne pióra w promieniach słońca. Niejedno w Polsce wyschło od tego czasu, dzisiaj już nawet zaczyna wysychać ciepła krew w naszych żyłach, toż i wspaniała niegdyś rzeka Strawa teraz już ledwie wązką błotnistą wstęgą się sączy pod ruinami w gruz zapadłego zamczyska, lecz wtedy płynęła ona szerokiem korytem i szumiącemi falami podmywała zębate mury tej królewskiej siedziby, która takiemi samemi murami była ze wszystkich stron otoczoną. Popod murami ciągnęły się z trzech stron głębokie fosy, a dobrze obronny most zwodzony prowadził pod bramę środkową

Kiedy i kto ten imponujący swoją wiekową powagą zamek zbudował, to utonęło tak samo w niepamięci dawno już pogrzebanych pokoleń, jak ów jeszcze daleko starszy zamek książęcy, który tu niegdyś stał na Bugaju i w ziemię się zapadł, a którego resztki sążnistych murów widać jeszcze do dziś dnia na dnie tutejszego stawiska. Teraźniejszy zamek piotrkowski, opatrzony nowemi basztami przez Kazimierza W., liczył już wtedy niemało takich wspomnień dziejowych, które wielkiemi głoskami się zapisały w pamięci narodu. Tu bowiem po bohaterskiej śmierci Warneńczyka niecierpliwa szlachta wielkopolska okrzyknęła jednogłośnie królem Bolesława mazowieckiego, a Kazimierz Jagiellończyk tylko dzięki energicznym zabiegom swej matki Sonki potrafił mu wydrzeć ojcowską koronę; tutaj ten król wszystkie sejmy odprawiał i tutaj, przemożony przez zuchwałego kardynała Oleśnickiego, zaprzysiągł szlachcie zachowanie jej praw i wolności, uświęcając tą przysięgą później w prawo kardynalne narodu zamienione *Pacta conventa*; tutaj przed laty czterdziestu odbył się ów wielki synod, na którym po długich naradach postanowiono walną wyprawę przeciwko zdradzieckim Krzyżakom; tutaj tenże sam

król na wielkim sejmie przed laty dwudziestu siedmiu wysłuchał prośby Czechów i dał im swojego najstarszego syna na króla; tu, na tymże samym sejmie, wielki mistrz krzyżacki wykonał królowi przysięgę poddaństwa, którą w rok później jego następca ponowił; tu wreszcie teraźniejszy król Jan Olbracht, tak samo jak jego ojciec przeciwko mazowieckiemu książęciu i również tylko dzięki rozumnej energii swej matki Elżbiety, włożył na swoją głowę polską koronę. Te wielkie wspomnienia wywierały niewysłowiony urok na ściągającą się szlachtę; toż nie dziw, że i teraz wszyscy się spodziewali jakiegoś wielkiego dziejowego wypadku, a mocą rozbudzonych reminiscencyj tem łatwiej wierzyli potwornym wieściom o zamierzonych zamachach królewskich.

Miasto Piotrków składało się wówczas z trzech dzielnic: z śródmieścia, z jurydyki i z Wielkiej Wsi, a należały doń także wioski, stanowiące starostwo piotrkowskie. Śródmieście, otaczające zamek, było zbudowane ówczesnym zwyczajem bardzo ciasno. Kilkopiętrowe domy, opatrzone mnóstwem krużganków i w znacznej części wjezdnemi bramami, stały gęsto przy sobie, zaglądając sobie w okna nawzajem. Ulice główne, Grodzka, Sieradzka, Rwańska, Warszawska, były zawsze pochmurne, duszne, gdzieniegdzie nawet ciemne śród dnia, tylko na rynku, otoczonym podsieniami dokoła, było cokolwiek więcej powietrza i światła, ale i ten jeszcze był prawie w połowie zawalony ratuszem, którego boki podpierały kramy kupieckie. Dopiero na przedmieściach Krakowskiem, Bykowskiem, Rokszyckiem, nie brakowało przestrzeni, tam też porozsiadały się obszerniejsze gospody, mogące pomieścić znaczniejsze poczty. Ale teraz nie wystarczały gościom nawet przedmieścia.

Przedewszystkiem bowiem sami ci wichrowaci panowie, co przy każdej okazyi lubili burzyć po kraju, jakby po swoich własnych folwarkach, zwa-

lili się z tak ludnemi taborami wozów i koni jucznych i zbrojnemi hufcami, że i w Warszawie nie byliby znaleźli dostatkiem dachów dla siebie.

Pomiędzy tymi trzymali prym dwaj bracia Rytwiańscy, którzy już wtenczas zaczęli się zwać Zborowskimi, Mikołaj i Jędrzej, jeden dopiero starosta odolanowski, a drugi kasztelan wieluński, sami jeszcze bez zasług, ale niezmiernie zuchwali i butni, to też i bardzo obszerne posiadali majątki, bardzo głośną mieli już przeszłość i bardzo licznie się rozradzali. Jeden z niedawnych ich przodków miał dwudziestu synów, z których ośmiu zginęło w wojnach krzyżackich, a dwunastu zostało kasztelanami. Rytwiańscy występowali wszędzie kopno i namłotno, toż i dzisiaj przyprowadzili z sobą do pięciuset zbrojnego ludu—a Mikołaj, ożeniony niedawno z Litwinką, córką Aleksandra Jurgiewicza, księcia Olszańskiego, kasztelana wileńskiego, co go zwano Centaurus, wziąwszy tam obszerne ziemie za żoną, przywiódł za sobą całą sotnię okrutnie kudłatych Litwinów, w baranich kołpakach, a wilczych kożuchach, z krzyżackiemi mieczami u boku, a kolczanami na plecach, którzy też siedzieli na koniach tak dzikich, że rżeniem swojem wypłaszali lud z wiosek, przez które ciągnęli. To przyprowadzenie Litwinów nawet przeciwnicy królewscy brali mu za złe, bo Litwa, mająca wtedy swego własnego książęcia, nie miała się mieszać do polskich sejmów; ale widać, że Rytwiańscy chcieli koniecznie groźnie wystąpić, bo i drugi brat Jędrzej naprowadził z sobą ludzi zaciężnych, a takich niesfornych, że się stali postrachem dla Żydów i Ormian, co poroskładali swe kramy po przedmieściach i nieraz musieli się uciekać przed nimi do gwardyi marszałkowskiej, co porządku pilnowała w całem starostwie piotrkowskiem.

Z Rytwiańskimi przybyli: Odrowąż, pan równie potężny, Żebrzydowscy i Sieniawscy, wszyscy w asy-

stencyi zbrojnego ludu i wszyscy niespokojnego ducha, a dziwnie ognistych temperamentów. Toż przeciwnicy królewscy głównie na Rytwiańskich liczyli, że staną na czele opozycyi i będą twardo przy prawach a wolnościach obstawać, bo im potęgi nie brakło, a opozycyę mieli w krwi swojej z dziada pradziada. Był to przecież ich stryj rodzony, ów rozgłośny Jan z Rytwian, co przed laty trzydziestu siedmiu w tym samym Piotrkowie tak ogniście się oponował przeciwko wojnie, że jego mowa, miana wtedy do króla, obiegła całą Polskę w odpisach. Król mu dał wielką laskę koronną, zaczem też umilkł i na wojnę pozwolił, ale ta mowa zrobiła Rytwiańskim wielką sławę pomiędzy burzliwą szlachtą, której też wciąż używali. Jakoż i dziś między nimi najhałaśliwiej trzaskano na króla i na Kallimacha, wszyscy sejmikowi szczekacze przy nich się wieszali, niektórzy z nich odgrażali się kandydatami do korony, których wymawiali nazwiska, a drudzy nawet prelegowali, że królestwo polskie to jest *Res publica*, która się wcale może obejść bez króla, jako to w Grecyi i w Rzymie bywało.

Wielcy Polacy przybyli tłumnie, a mali świetnie, jako to już mieli w dawnym zwyczaju. Jan Amor i Jan Szram Tarnowscy, jeden kasztelan krakowski, drugi zaś wojewoda sendomirski, a z nimi Spytek Jarosławski, wojewoda krakowski, ich krewny, przybyli każdy na czele swojej nadwornej chorągwi, złożonej z paniąt i urodziwej młodzieży szlacheckiej, w błyszczących pancerzach i hełmach z piórami, na wymuskanych koniach karacenami okrytych, wszystko to takie bogate a składne, a uderzające karnością i ładem, że ani we Francyi, ani we Włoszech, przystojniejszych hufców nie było, a nad temi hufcami powiewały ich rodowe sztandary z herbem Leliwa, bo tam natenczas nikt pod chorągwiami województw nie stawał, jeno się wszyscy familiami trzymali.

Wraz z nimi, hetmaniąc także takim pocztom przystojnym, przyciągnęli Tęczyńscy pod znakiem Topora, Kościelecki Ogończyk, Mikołaj z Ostrowa Rawicz, Jędrzej z Kutna Ogończyk, Jakób z Golenina herbu Biała, Jędrzej z Lubienia Doliwa, jako wojewodowie ruski, inowrocławski, lubelski, rawski, mazowiecki i brzeski-kujawski, lecz wszyscy dzierżący się społem z panami małopolskimi.

Nie gorzej od wojewodów wystąpili co przedniejsi kasztelanowie, jako Piotr i Mikołaj z Kurozwęk herbu Poraj, jeden sendomirski, a drugi lubelski, Jędrzej Tęczyński Wojnicki, Wacław Nieborowski, Prawdzic Bełzki, Jan Grot ze Słupca i Konar Sądecki, Zawisza z Konradzic Płocki, Jan z Potulic Grzymała Rogoziński, Ludwik Mortęski Chełmiński i wielu innych, bo też, prócz Kmity, żadnego z nich nie brakowało — a było ich wtedy, większych i mniejszych, blizko czterdziestu. Tam wiał duch bardzo wyniosły i szły hasła z ust do ust, obstawać przy wszystkich prawach, swobodach i przywilejach, ani na włos nie ustąpić, owszem jeszcze nowych wymagać przeciwko miastom, kmieciom, chłopom i Żydom, żądać odprawienia Kallimacha, nie dowierzać w niczem królowi, domagać się gwarancyi i zaprzysiężenia praw starych i nowych. Była tam więc opozycya stanowcza i zasadnicza, ale spokojna, szanująca majestat królewski i pełna miłości dla całej wielkiej ojczyzny, której nienaruszalność granic, potęgę państwową i wierność dla Kościoła rzymsko-katolickiego uważano jako pierwsze przykazanie obywatelskie.

Zaś Wielkopolska stawiła się wcale inaczej, bo tam było daleko ludniej, niżeli we wszystkich innych prowincyach, a drobnej szlachty prawie jak mrowia. Ztamtąd sami Ostrorogowie, Czarnkowscy i Szamotulscy przyprowadzili jaki tysiąc albo i więcej szaraków, samych Nałęczów, jako swych własnych braci herbownych, bo też i oni byli Nałę-

cze; toż Wieniawici i Grzymalici, nuż wreszcie Poraje, Korabici i inni zwalili się mało co mniejszemi kupami. A już tam pomiędzy nimi były i zbroje i stroje tak rozmaite i takie pstrokate, jakby ich kto po wszystkich krajach świata był zbierał, że Małopolanie, a zwłaszcza Rusini nie mogli im się wcale napatrzeć. Bo to ten w kurcie z pakłaku, a ów z karmazynu, ten w siwej, a tamten w czerwonej opończy, trzeci zaś zgoła w stalowej koszulce; ten wsadził na głowę hełm z grzywą, albo z piórami, ów znowu kapelusz kolisty z kryzą zadartą i z piórem, a trzeci ubrał się w biret mieszczański, ten z mieczem, ów z samopałem, a inny z halabardą i z tarczą albo też z okrutnym rapirem — a wszystko z niemiecka, bo też i z Niemiec brali swe mody. Z wyjątkiem familiantów, trochę chudobnie wyglądała ta szlachta, bo też tam u nich ziemi i chleba nie było do zbytku, czasem ich po kilku na jednym łanie siedziało. Ale animusz pomiędzy nimi był wcale inny—inny od wieków—a teraz podobno Ostrorogowie ich takim duchem natchnęli, ażeby wiernie trwali przy królu, bo król jest w wielkiej opresyi od panów, radby rozszerzyć dawne swobody i przywileje dla szlachty, ale niechby to było dla wszystkich zarówno, właśnie jako napisał Ostroróg: *Unus regni rex est, unum jus fiat, unum pondus et una mensura* — jeden ma być król, jedno prawo, jedna waga i jedna miara dla wszystkich – a nietylko dla panów, siedzących po zamkach obronnych, a mających już ze swej własnej potęgi daleko więcej swobód niż trzeba. To też tam gardłowano nietylko za utrzymaniem, ale owszem, za wzmocnieniem władzy królewskiej, a przeciwko Małopolanom, których podejrzewano, że chcą skrępować króla, a opanować koronę, ażeby sami rządzili, ażeby nigdy żadnej wojny nie było, ażeby nie płacili podatków, a mogli po swojej woli rozdrapywać starostwa.

Obok tych tłumów: wielkopolskich, wyznających opinie demokratyczne, ale raczej konserwatywne, a stanowczo monarchiczne, i małopolskich, przejętych duchem liberalnym, postępowym, cywilizacyjnym i konstytucyjnym, równie monarchicznym, ale z dążnością dania przewagi arystokracyi, zwaliła się także dość licznie szlachta z sejmików, pomiędzy którą znajdowali się także mieszczanie, biorący jeszcze wtedy udział w sejmikach, wszyscy ludzie osiadli i zamożni, poważni i roztropni ojcowie rodzin, właściwe jądro społeczeństwa już w owych czasach, ale bez wybitnych politycznych opinij, właśnie jak łan dojrzałej pszenicy, który w tę stronę skłania, swoje dorodne kłosy, w którą wiatr niemi powionie. Ani tak tłumni jak Wielkopolanie, ani tak świetni jak małopolscy panowie, było ich jednak także około sześciuset albo i więcej, a ze swoją służbą stanowili siłę wcale nieszpetną.

Za nimi przyciągnęli panowie ruscy: książęta Zbarascy i Holszańscy, Buczaccy i Tworowscy, Paniowscy i Herburtowie Odnowscy, Fredrowie, Cebrowscy, Szumlańscy, Czołhańscy, Swaryczowscy, Kierdejowicze, Dymitr książe Puciatycz wojewoda kijowski, Paweł Koło z Dalejowa wojewoda podolski i wielu innych, na czele bogato przybranych, ale nie bardzo licznych pocztów, w sobolich i kunich kołpakach z agrafami z drogich kamieni, w błyszczących pasach, w lamowych żupanach, w deliach i burkach czerwono podbitych i z krzywemi szablami, błyszczącemi od srebra i złota. Najbogatsze tam u nich siądzenia na koniach, kropierze na nich od dywdyków i haftów, a i same konie tu owdzie z farbowanemi grzywami i ogonami, zgoła widać po nich, że z Turczyzną graniczą i do tamtejszych obyczajów nawykli. Ci wszyscy są po staremu królewscy, jako byli po wszystkie czasy, bo też tylko z łaski królów mieli takie szerokie ziemie Rusi i tylko w imieniu królów mogli bronić skutecznie tych ziem i tych krajów.

Z nimi razem przyjechał także Olizar na czele czterdziestu doborowych kozaków, ażeby też choć raz sejm polski obaczyć, do niego przyczepił się w kilka koni Tigranes, z workiem pełnym czerwonych złołych węgierskich na wyżywienie Olizarowych koni i ludzi, i obydwa z całym swym pocztem zajechali prosto na zamek, ofiarując się na służbę osoby królewskiej, gdzie od Gniewosza, mającego komendę na zamku, są otwartemi ramiony przyjęci i zameldowani samemu królowi, jako woluntaryusze regaliści, gotowi głowy położyć za zdrowie królewskie.

Każdy z tych pocztów, pociągnąwszy do Piotrkowa, próbował ulokować się w mieście, ale żaden z nich ani jednej izby dla siebie nie znalazł. Przed wszystkimi innymi bowiem polokowali się tam biskupi, którzy wszyscy (a było ich wtedy właśnie dwunastu) przyjechali z liczną asystencyą, jaka książętom Kościoła przystoi, niektórzy zaś nawet ze zbrojnemi hufcami, jako Jan IV Lubrański, biskup płocki, który prócz swego dworu, stu pancerników przywiódł ze sobą; Uryel Górka, poznański, pan równie wojenny, z konwojem dwóchset żołnierzy; a wreszcie metropolita ruski, Józef Sołtan, co przedtem był marszałkiem litewskim, a teraz swoimi bojarami i rozmaitem kozactwem dwie pierzeje rynku zawalił. Do tego jeszcze urzędnicy koronni i inni przedniejsi senatorowie, co sami mieszkali na zamku, ludzi swoich pokwaterowali w mieście — a tak tam i szpilki nie było gdzie wetknąć, nie chcąc nią ukłóć albo osoby duchownej, albo też regalisty.

Mikołaj z Rytwian ze swoim bratem wdarł się pierwszy do miasta i chciał tam mieszkać koniecznie, choćby miał, jako sam z konia krzyczał wielkim głosem na rynku, wszystkich kantorów i altarystów powyrzucać z ich betów. Ale Jan II Pudełko, biskup naówczas łucki, nienawidzący panów, nastających na biedny lud wiejski, z którego sam

wyszedł, słysząc go z krużganku swojej gospody pieniącego się na kulbace ze złości, powiedział mu na rozum:—Jeżeli waść chcesz, ażebyśmy ci tu twoich kudłatych Perkunasów na bigos polski usiekli, to jeno uderz, a ani jedna noga ich ztąd nie wyjdzie; ale ja tobie radzę, abyś poszedł spać na przedmieście, gdzie jeszcze aż nadto przystojna jest ubikacya dla panów starostów.

Tak nie było co robić. Wszyscy panowie musieli lokować się po przedmieściach, a jeszcze i tam nie dla wszystkich starczyło miejsca, jakoż niektórzy z nich, zwłaszcza ci, co mieli dwory liczniejsze, musieli się mieścić po bliższych wioskach za miastem, panowie Tarnowscy u Norbertanów w Witrowie, Tęczyńscy na Bugaju, a Rusini w Bykowie. Drobniejsza szlachta mieściła się po chałupach i dworkach przedmiejskich, Wielkopolanie zaś stanęli obozem na polu. Ruch tam był wielki, hałas, tartas, wrzawa i ustawiczny szczęk broni, w nocy zaś czaty i obozowe ogniska, prawie tak samo jak wśród wojny. Przejeżdżający człowiek postronny nigdyby się nie domyślił, że to jest zjazd posłów na narodowy parlament, a kiedyby mu to powiedziano, to zarazby spostrzegł, że tak sejmuje tylko naród wojenny.

Król mieszkał na zamku i miał tylko cztery chorągwie swojego dworu ze sobą, nad któremi mieli komendę Kamieniecki, Gniewosz, Wilczek i młody Ostroróg. Kamieniecki hetmanił wszystkim, Gniewosz porucznikował straży około zamku i osoby królewskiej. Oprócz tego, Leszczyński, marszałek nadworny koronny, miał paręset ludzi gwardyi, którą nazywano marszałkowskimi drabami, a którzy więcej dla obrony kramów przed napaścią hultajstwa, niżeli dla przeszkadzania burdom żołnierskim wodzili ronty po mieście, bo też i żadnej burdy nie byli w stanie ukoić; uzbrojona od stóp do głowy szlachta, gdyby się na nich do broni porwała, byłaby ich wydeptała butami.

Jan Ostroróg, kasztelan poznański, a zarazem jenerał wielkopolski, byłby daleko lepiej usłużył utrzymaniu porządku, bo przyprowadził bardzo słuszną chorągiew pancerną ze sobą, a do tego miał wszystkich wielkopolskich szaraków po swojej woli; ale król się żadnych burd politycznych nie obawiał, a kiedy mu donoszono, jako tam ta i owa szlachta trzaska pałaszami przeciwko niemu, jakie perory miewają niektórzy po kościołach i rynkach i jako się odgrażają przeciwko wzmocnieniu władzy królewskiej, to się jeszcze śmiał z tych pogróżek i mawiał: — Szlachta nasza jednej nocyby nie przespała spokojnie, gdyby nie miała przeciw czemuś się burzyć, jak nie ma strachu, to sobie go zmyśli, ale my tam tych strachów się nie boimy. — Być może, że inaczej rozumiał rzeczy w swem wnętrzu i wobec swych konfidentów, ale tak zawsze mówił, kiedy go liczna otaczała kompania.

Sejmy ówczesne, jakkolwiek już wtedy istniały prawnie, nie odbywały się jeszcze tym porządkiem, jak później. Obiedwie izby nie miały jeszcze stałej organizacyi, ani ubezpieczonej ustawami, ani uświęconej zwyczajem; porządek obradowania także jeszcze nie był dokładnie określony i ustalony. Istnienie izby poselskiej polegało wówczas tylko na prawie przyznanem powiatom, że każdy z nich może dwóch posłów wybierać i posyłać na sejm, ale jakie prawa służyły tym posłom, tak samo jak i powiatowym sejmikom, to jeszcze bardzo dowolnej ulegało interpretacyi. W sejmikach powiatowych brali udział jeszcze aż do owego czasu mieszczanie, mogli być obierani posłami, jeżeli posiadali dobra ziemskie i przyjeżdżać na sejmy, nawet choćby tylko jako deputaci miast — i jeżeli tych swoich praw dotąd nie uświęcili zwyczajem, a teraz stracili, to w rzeczywistości było to w wielkiej części winą ich

własnego niedbalstwa. Posłowie ziemscy nie mieli także ani własnej izby na zamku, ani swego marszałka, zbierali się zazwyczaj po kościołach, gdzie ołtarz zakrywano płachtami, a ambona służyła im za mównicę. Perorował kto chciał i perorował tak długo, jak długo go słuchano, czasem mówcę zagłuszono tumultem — a kiedy posłom zanadto duszno się zrobiło w kościele, to się wysypali na rynek i tam kontynuowali swoje obrady. O jakiemkolwiek wotowaniu w izbie poselskiej jeszcze wtedy mowy nie było.

Senat zgromadzał się na posiedzenia na zamku królewskim. Była tam wtedy ogromna sala jak kościół, do której prowadziły szerokie wspaniałe schody, a na której ścianie naprzeciw głównych drzwi był wymalowany obraz Chrystusa Pana na krzyżu w kolosalnych rozmiarach. Te malowidła były jeszcze z początkiem niniejszego wieku widoczne. Pod tą ścianą wznosiło się obszerne podwyższenie, zaścielone suknem czerwonem, na które wchodziło się po trzech schodach, a w którego głębi pod baldachimem stał wyzłocony stolec królewski, otoczony niższemi cokolwiek krzesłami dla królewiczów i dygnitarzy nadwornych, składających ministeryum królewskie. U góry ścian ciągnęły się galeryc, które jednak zapełniała tylko młodzież, będąca w służbie królewskiej, a do których nie przypuszczano arbitrów, bo posiedzenia nie były publiczne. Na brzegu estrady stało za stołem krzesło, na którem zasiadał marszałek w. koronny, przewodniczący obradom. Na krzesłach, ustawionych w półkolu, zasiadali w pierwszych rzędach dygnitarze kościelni i świeccy według zwyczajnego porządku, a za nimi siedzieli kasztelanowie mniejsi. Wszystkich senatorów, mających wtedy prawo do zasiadania w senacie, było stu z górą, ale jeżeli się między nich wmieszał jaki starosta i głos zabierał, to mu nikt tego nie bronił. Czasem przybywały deputacye

od posłów ziemskich do senatu; przyjmowano je zawsze bez wstrętu, a wtedy posłowie perorowali razem z senatorami.

Król bywał zwykle obecny obradom senatorów, którzy też nigdy nie przemawiali do izby, tylko do niego, chyba, że który z mowców w oratorskim ferworze apelował do zgromadzenia. Król swoją obecnością mitygował zbyteczny zapał mowców, ale sam nigdy nie przemawiał; w razie potrzeby mówił za niego kanclerz lub podkanclerzy, marszałek nadworny albo podskarbi, czasem zaś który z dygnitarzy duchownych lub świeckich, uproszony do tego przez niego. Wnioski motywowano w izbie, ale nie wotowano nad niemi, tylko wysyłano deputacyę do króla, zazwyczaj z trzech senatorów złożoną, którą król przyjmował w komnacie osobnej i tam je z nimi sam dyskutował. Zrobiony wniosek, często dopiero po długich targach, czasem nawet dni kilka trwających, ostatecznie przez króla przyjęty, kazano po łacinie spisywać podkanclerzemu, który go potem czytał głośno w senacie, a senat wtedy już bez dyskusyi jednogłośnie przyjmował. Ta jednogłośność, będąca wtedy naturalnym wynikiem sposobu obradowania, stała się później podstawą i źródłem do nieszczęsnego warunku jednomyślności i *liberum veto*.

Wnioski, przez króla i senat przyjęte i ostatecznie zredagowane w formie artykułów statutu, ogłaszano posłom zgromadzonym w kościele albo na rynku, którzy je zwykle przyjmowali przez aklamacyę. Jednak niejednokrotnie, tak król, jak i senat, nim się na jaki wniosek zgodzili, chcieli wiedzieć, co o nim rozumieją posłowie ziemscy — a takie porozumienia odbywały się przez pośredników, nie urzędowych, których nie było, tylko takich, którzy swoją powagą i popularnością do takiej służby najlepiej się nadawali.

Takim pośrednikiem pomiędzy królem i senatem z jednej a ziemskimi posłami z drugiej strony na tym sejmie był stary Pretficz. Rozumny, roz-

tropny, łagodny z temperamentu, obdarzony z natury sercem pełnem miłości dla wszystkich, a do tego nadzwyczajnie wymowny, pozyskał on zaufanie króla tem łatwiej, ile, że z Ostrorogiem dawną związany przyjaźnią, przez niego został mu zalecony. Senatorowie zaś wszyscy od młodości go znali i mieli dla niego szczery szacunek, bo też wszyscy wiedzieli, że w obywatelskiej zacności jeszcze go nikt nie przesadził, a nawet mało który mu zdołał dorównać. Pretficz zatem, pewien zaufania senatu i króla, a umiejący działać z tą spokojną energią, która nic nie zepsuje zbytecznym pośpiechem, ale nic nie zaniedba, już przed zaczęciem obrad sejmowych wziął górę nad szlachtą i tak ją umiał do siebie przywiązać, że zajął nad nią stanowisko jakoby jej marszałka. Od czasu zaś, kiedy się rozpoczęły obrady, przewodniczył jej posiedzeniom, a zarazem po dwa i trzy razy na dzień bywał na zamku, tam przysłuchiwał się obradom senatu i przypuszczony był do boku króla w tych nawet chwilach, kiedy król z deputatami senatu miewał sekretne, a często nawet bardzo ożywione dyskusye. Z zamku biegł zwykle pomiędzy posłów ziemskich, w razie potrzeby zwoływał ich zgromadzenie, komunikował im wiadomości o tem, co się dzieje w senacie i usposabiał ich umysły do przyjęcia postanowień zapadłych pomiędzy senatem a królem.

Pierwszą sprawą wziętą pod rozwagę była ugoda zawarta z księciem mazowieckim Konradem, który, choć lennik królewski i pozbawiony już wtedy przemożnej protekcyi kardynała Oleśnickiego, zawziętego nieprzyjaciela Jagiellonów, knuł ciągle kabały z Moskwą i stał się niebezpiecznym dla Polski, a to jeszcze tem więcej dlatego, ile że Oleśnicki zostawił po sobie, mianowicie pomiędzy panami małopolskimi, niemało adeptów swojej warcholskiej polityki, którzy w danym razie mogli podać rękę mazowieckiemu przeciwko prawowitemu królowi. Ugoda ta, wiążącą

na wieczne czasy Konrada, z tem większym została przyjęta aplauzem, ile, że przyłączała zaraz do korony księztwo płockie z ziemiami warszawską, zakroczymską, wyszogrodzką, łomżyńską, ciechanowską i nowogrodzką. Ale odtąd, kiedy wzięto pod obrady prawa i przywileje szlacheckie, zaczęły się burze w senacie.

Najgwałtowniej występowali przeciwko królowi bracia Rytwiańscy, a zwłaszcza Mikołaj, który chociaż był dopiero starostą, gwałtem się wdarł do senatu, z deputacyami się wciskał do komnaty królewskiej, i tu i tam tak niepomiarkowane miewał perory, że czasem nawet sami przeciwnicy królewscy mu przerywali albo go rwali za poły, aby go mitygować. Taka ognista, a zwłaszcza opozycyjna wymowa jest zaraźliwą, bo właśnie jak ogień słomy chwyta się swoich słuchaczy. Toż i Mikołaj wywoływał niejednokrotnie w senacie grzmiące aplauzy i często się zdało, że całą izbę porwie za sobą i cały zamek wraz ze stolcem królewskim przewróci. Sekundowali mu brat jego Jędrzej, któremu zapewne na kasztelanii drążkowej było za ciasno, Zebrzydowscy, Kościeleccy, Odrowążowie – a zrazu małopolscy panowie cale mu się nie sprzeciwiali. Bardzo wspaniałem widowiskiem byłaby była taka ognista obrona narodowych praw i wolności, gdyby była windykowała te prawa dla całego narodu – a nie dla jednej tylko warstwy społecznej, która już od całego wieku miała wyłącznych przywilejów dostatkiem. Jednak król wobec tej burzy postępował sobie nad wszelki podziw rozumnie, albowiem nietylko nie mitygował mówców, ale owszem sam stawał w obronie wolności słowa, dodając tylko czasem może cokolwiek złośliwie: „że ponieważ ci, co najpierwsi stają do obrony swych praw, także najpierwsi stają do przelewu krwi swojej za ojczyznę, więc im się to słusznie należy, ażeby się mogli wygadać". A jak się już wygadali i kiedy przystąpiono do dyskusyi

artykułów, tak tych, które z dawnych statutów miały być potwierdzone, jak i tych, które do starych dodać zamierzano, król jeszcze więcej wszystkich zadziwił swą uległością, bo mało któremu wnioskowi stanowczo się sprzeciwił, tylko tu i owdzie coś zmienił, a zresztą wszystkie postulata przyjął i zatwierdził.

Tak zatwierdził nanowo wszystkie trzydzieści trzy artykuły statutu nieszawskiego z roku 1454, a nadto zobowiązał się trzymać się wszystkich ustaw, przez jego poprzedników wydanych, nanowo zaś przyrzekł: nikogo nie więzić *nisi jure victum* i nie zabierać mu mienia — każdemu szlachcicowi, biorącemu udział w pospolitem ruszeniu, zapłacić pięć grzywien — nie nadawać żadnemu ze swoich starostów, z wyjątkiem krakowskiego, godności wojewody lub kasztelana—rozdawać dygnitarstwa tylko szlachcie rodowej — nie wydzierżawiać grodów i ziem, w których znajdują się starostwa — nie wymagać więcej podatków, jak po dwa grosze z łanu — nie przesądzać wyroków sądowych — określić dokładnie władzę starostów grodowych—zaprowadzić w każdej ziemi księgi wyroków i aktów sądowych — a wreszcie, nie wzywać szlachty do pospolitego ruszenia bez poprzedniego zwołania sejmu, co się niejako równało zrzeczeniu się prawa wypowiadania wojny.

Temi artykułami król pozbawiał się już prawie całkiem władzy prawodawczej, lecz następnemi rozszerzał jeszcze bardzo znacznie przywileje szlachty, albowiem: uwalniał ją od wszelkich opłat celnych, nadawał jej wyłączne prawo propinacyi i rozszerzał wolność żeglugi aż do Gdańska, zapewnił wyższe godności kościelne tylko posesyonatom, wykluczając od nich plebejuszów, zakazał stanowczo kmieciom przenosić się z miejsca na miejsce, pozwolił im tylko jednego syna do szkół posyłać, zakazał mieszczanom dobra ziemskie kupować, a nakazał jeszcze i te wyprzedać, które odziedziczyli po przodkach, przyczem się w końcu i Żydom dobre

poczęstne dostało, bo postanowiono krótko a węzłowato, ażeby nadane im swobody odebrane zostały, iako sprzeciwiające się prawu Bożemu.

Nadanie narodowi takich szerokich praw i wolności, o jakich wówczas w żadnem państwie europejskiem nikt nawet nie śmiał pomyśleć, jakich zresztą i dzisiaj jeszcze nie wszystkie posiadają narody, wywołało niewidziany dotychczas entuzyazm dla króla. Już zaraz po przyjęciu pierwszych artykułów panowie Rytwiańscy i Zebrzydowscy bardzo przycichli, a potem nawet sami zaczęli się przymilać królowi. Przywódcy Małopolanów: Tarnowscy, Jarosławscy, Tęczyńscy, Zawiszowie, Kamienieccy, Kurozwęccy i inni, ludzie rozumni, troszczący się żywo o pomnożenie swobód szlacheckich, lecz miłujący przedewszystkiem ojczyznę, widząc tę szczodrobliwość królewską, przestali wcale naciskać na niego, owszem jeszcze mitygowali tych, którzy, zacietrzewieni przeciw królowi, nie znali miary w swoich żądaniach. Zaś Wielkopolanie, końcem końców taka sama szlachta jak wszyscy inni, także się nie skarżyli na pomnożenie swobód szlacheckich; kiedy im zaś ogłoszono, że król pospolitakom będzie płacił po pięć grzywien, że to byli ludzie po największej części ubodzy, tak głośnemi wiwatami tę wiadomość przyjęli, że się całe miasto od nich zatrzęsło, a w końcu jeszcze tak tłumną deputacyę wyprawili z podziękowaniem do króla, iż na zamku myślano, że rozszalała się pomiędzy nimi jakaś burza.

Wśród tego ogólnego zadowolenia nie brakło wprawdzie i malkontentów. Biskup Pudełko, syn kmiecy, perorował ogniście przeciwko wszystkim artykułom, ścieśniającym tak nielitościwie dotychczasowe swobody wiejskiego ludu i mieszczan, a kiedy te artykuły mimo to zostały postanowione, zasmucił się mocno jak chmura gradowa, przepowiadał wielkie nieszczęścia, a nawet upadek tego królestwa i w takim nieukojonym gniewie, nie pożegnawszy się z nikim, do Łucka odjechał. Ostroróg znowu

zasępił się tym artykułem, który zakazywał komulacyi urzędów ze starostwami, bo będąc kasztelanem poznańskim, a zarazem jenerałem wielkopolskim, czyli starostą, musiał złożyć swe jeneralstwo. Gniewosz także trochę wargi przygryzał, bo spodziewał się napewno teraz jaką kasztelanię otrzymać, a dzięki temuż samemu artykułowi, będąc starostą czorsztyńskim, musiał tę nadzieję porzucić. Byli i inni, co na liczyli kasztelanie, których wakowało około dziesięciu, ale się zawiedli, bo król na teraz ani jednej nie rozdał.

Ale tych drobnych chmurek ani dostrzedz nie było można wśród tych jasnych promieni, w których wspaniałym blasku ten sejm został zamkniętym. Niewysłowiona radość ze szczodrobliwości królewskiej była powszechna — a wśród niej zamanifestowały się jak może jeszcze nigdy dotychczas przywiązanie do króla, jednomyślność w pojmowaniu obowiązków obywatelskich i patryotyczna gotowość poświęcenia się dla całości i szczęścia ojczyzny.

Myśl polityczna, która przewodniczyła temu sejmowi, była, według dzisiejszych pojęć, w swojej zasadniczej istocie ciasna i jednostronna, w dalszem swem rozwinięciu stała się omylną i błędną, a w ostatecznych swych rezultatach musiała się z konieczności stać zgubną, ale była ona dzieckiem swojego czasu — i jako taka, jako powrót do dawnych tradycyj słowiańskich rządzenia narodu przez jego starszyznę, jako określająca granice władzy królewskiej, jako zapewniająca narodowi pewne nienaruszalne prawa i swobody, była zorzą nowej epoki bytu dla wszystkich narodów, a przedświtem wspaniałej i świetnej potęgi dla Polski. Jakoż istotnie, zygmuntowskie słońce jeszcze wtedy nie wzeszło, ale jego promienie już jasne brzaski rzucały na Polskę — a po tych senatorach wyniosłych i dumnych, zakutych w błyszczące pancerze, a okrytych w skóry lamparcie i rysie, kipiących gorącą krwią

lecz umiejących swe namiętności miarkować rozumem, gotowych swą piersią żelazną uderzyć o tron królewski, ale gotowych także roztrzaskać ją o nieprzyjaciół ojczyzny, widać już było, że ich synowie o całą głowę ich przerosną, a oparłszy granice Polski o dwa morza odległe, zbudują w jej środku tron ze szczerego złota, przed którym będą bić czołem podbite książęta, który będzie otoczon czcią i miłością całego narodu i który nawzajem w ten naród taką miłość ojczyzny zaszczepi, że w nim trwać będzie po wszystkie wieki.

Taką przyszłość, pełną zaszczytów i sławy, przepowiadano już wtedy powszechnie temu królestwu. Ale dlaczego król, uczeń tak zawziętego na przywileje szlacheckie Kallimacha, wyznawca wszystkie stany niwelujących zasad, prelegowanych przez Ostroroga, pragnący sam zresztą wojsk stałych w celu wzmocnienia władzy królewskiej, dlaczego ten król tak nagle i niespodzianie takie szerokie nadał tej szlachcie swobody, tego nikt wytłómaczyć nie umiał, a wszyscy dociekali napróżno. Pretficz, lubiący wszystko wiedzieć dokładnie, niemało sobie głowy nad tem nasuszył, wypytywał się wszystkich, macał i Ostroroga po kilka razy, ale niczego się nie dowiedział. Wszelako był z Gniewoszem w poufałości i tego wziął także na konfesaty; Gniewosz długo mu się opierał, ale jednego wieczora, kiedy z nim rozmawiał bez świadków, zmiękł przecie, a wziąwszy go za rękę, zapytał:

— A nie powiesz nikomu?

— Wiem przecie, co są sekreta *status*.

— Więc tobie powiem — rzekł Gniewosz — ale na słowo rycerskie. Niebawem będziemy mieć wielką wojnę, król na tę wojnę chce mieć cały naród po sobie.

Więc Pretficz na to pokiwał głową i odpowiedział:

— Zawszem cenił wysoko rozum naszego pana, lecz teraz widzę, że jego rozum jest także przewidującym, a to jest niezwyczajna zaleta. Dziękuję ci za tę wiadomość, trzebaż będzie zawczasu o pomieszczeniu mojego chłopca pomyśleć.

— Jeżeli chcesz — rzecze mu Gniewosz, rad zawsze każdemu usłużyć — to może nam się uda pomieścić go na dworze królewskim. Słaby to jeszcze chłopczyna, a w mojej chorągwi bardzo ciężkie pancerze, inaczej wziąłbym go zaraz do siebie. Ale mogę pomówić z królem, aby go wziął do siebie na pazia.

Pretficz serdecznie mu podziękował za tę gotowość do przyjacielskiej usługi, mówiąc:

— Całe życie będę ci wdzięczny za twoją pomoc braterską i jeśli Bóg zdarzy sposobność, to sowicie odpłacę. Ale tymczasem proszę cię o czas do namysłu i do wyrozumienia mego chłopięcia, bo nie chciałbym mu takiej funkcyi narzucać, do której nie miałby sentymentu.

Tymczasem Lubek wcale o tem nie myślał, ażeby się na jakiejkolwiek funkcyi publicznej pomieścić. Wszystko, co tchnęło polityką, było mu wstrętnem. Wrzaskliwe zgromadzenia zawsze czemś zecietrzewionej szlachty obudzały w nim obrzydzenie, jakoż nigdy na nie nie chodził, chociaż ojciec go ciągnął z sobą, chcąc go wdrożyć zawczasu w sprawy publiczne. Posiedzeniom senatu przypatrywał się często z galeryi, ale tylko dlatego, że go zajmowały malownicze figury senatorów, które też sobie rysował ukradkiem. Natomiast wszakże, poznawszy się z Tigranesem, związał się z nim bardzo czułą przyjaźnią.

Gołębie te serca, szlachetne, czyste, bez zmazy i grzechu, a pełne miłości dla ludzi, dla zwierząt i dla wszystkiego, co żywe — chociaż pomiędzy nimi wielka zachodziła różnica, bo jeden koniecznie chciał zostać rycerzem, a nie miał potemu usposobienia, a drugi mógł był nim zostać, lecz nie

chciał — tak ściśle się z sobą spoiły, jak gdyby ich przyjaźń już nigdy nie miała rozerwać. Tigranes był także uczony i w sztukach wyzwolonych ćwiczony i biegły, chociaż do nich nie przywiązywał żadnej wartości; umiał wiele języków i pisał nadzwyczaj pięknie, więc za namową Lubka wcisnęli się do kancelaryi królewskiej i tam *ex propria diligentia* przepisywali tworzące się na tym sejmie statuty. Tigranes spisywał na pergaminie pięknemi gotyckiemi literami każdy artykuł, a Lubek malował farbami inicyały i ozdabiał marginesy rozmaitemi floresami i figurami, w których łatwo można było poznać portrety wybitniejszych senatorów duchownych i świeckich. Sporządziwszy pod koniec sejmu kompletny nowych statutów egzemplarz, ofiarowali go osobiście królowi, za co są przypuszczeni razem z senatorami do królewskiej wieczerzy i bardzo chwaleni, zwłaszcza przez tych senatorów, którzy sami pisać umieli — a chociaż ich posadzono przy szarym końcu, kędy już tylko próżne dochodziły półmiski (tak mało respektu miano podówczas dla sztuk wyzwolonych!), Tigranes nie posiadał się z radości i byłby Lubka za ten koncept ozłocił, gdyby Lubek przywiązywał był jakąkolwiek wartość do złota.

Jednak pomimo tej czułej przyjaźni, kiedy ojciec Lubkowi powiedział, że zamierza go dać na służbę królowi, to Lubek, zastanowiwszy się nad tem mało niewiele, całe temu się nie sprzeciwił, przyszła mu bowiem zaraz ta myśl sekretna, że mieszkając w Krakowie, przecież będzie mógł łatwiej i częściej coś o Jagience usłyszeć. Kiedy się zaś Tigranesa poradził, to Tigranes, pomimo swych uczuć idealnych, miał we krwi tyle zmysłu kupieckiego, iż zaraz dostrzegł, że mu to wcale nie zaszkodzi, jeżeli będzie miał tak szczerego przyjaciela na takiej wysokiej funkcyi u dworu i tak blizko przy osobie królewskiej. Owszem, nawet niebawem zaczęła w nim grać jego bujna fantazya, przedsta-

wiając mu dobitnie i jasno, jak teraz już niezawodnie przez Lubka uzyska szlachectwo, a może i będzie na rycerza pasowan. Miałci on wprawdzie obietnice od Gniewosza, od Kamienieckiego i od samego wojewody, ale co to? to sami wielcy panowie, obiecują wszystko, a nie dotrzymują, traktują człowieka jak chłopca, jeszcze i za plecyma się śmieją — a potem, co to tamci dygnitarze królewscy? Król nimi tak samo pomiata, jak zamkowymi drabami, a żaden z nich nie jest z nim w konfidencyi. Paź królewski, co stoi przy królu i w dzień i w nocy, co zna jego sekrety, co każdej chwili może do niego przemówić, to jest figura — a potem, Lubek to człowiek, pewnie będzie pierwszym paziem, a wkrótce zostanie i sekretarzem królewskim. Rzecz tedy jasna, że on to najprędzej wyrobi. Tak sobie myślał Tigranes i podniół głowę okrutnie do góry, będąc dla Lubka, przyszłego pazia, z ogromną deferencyą, uczuł prawie pogardę dla wszystkich innych, nawet na samego Kergolaja patrzył już z piętra, ,na Kergolaja, co mu chciał dawać nauki w rzemiośle rycerskiem! a Olizara już miał ledwie za Boże stworzenie.

Król przyjął starego Pretficza nadzwyczaj uprzejmie, był nawet zdziwiony, że Pretficz za takie cenne zasługi tak lichej żąda nagrody. Na dworze królewskim było do pięćdziesięciu młodzieży, a między nimi synowie rodzin wcale niewiele znaczących, bo pierwszorzędne rodziny *ex puncto* moralności królewskiej niebardzo się do niego wpraszały ze swymi synami. Lubek więc jest *stante pede* przyjęty, z tym rozkazem wydanym podkomorzemu w obecności ojca, że ma być pomiędzy czterech pierwszych paziów wliczony, którzy pilnują komory królewskiej.

Tigranes, dowiedziawszy się o tem, Lubka serdecznie wycałował, a ścisnąwszy go żartem za kolano, dodał z zapałem:

— Głowę moją dam za to, że za rok sam podkomorzym zostaniesz, oddaję się zatem łasce jegomości — a wiesz, o co chodzi.

Równie naiwny Lubek przyjął tę prośbę tylko półżartem i przyrzekł mu całkiem na seryo swoją wysoką protekcyą.

Sejm trwał do końca października, kiedy się już pluty jesienne zaczęły. Szlachta, przepełniona uczuciami wdzięczności i uwielbienia dla króla, rozjechała się, wesoło gwarząc, do domów. Król wrócił do Krakowa dopiero w pierwszych dniach listopada.

Pierwszym ważnym przypadkiem, jak i się zdarzył po jego powrocie, była śmierć Kallimacha. Wyschły ten starzec nie wstawał już z łoża od kilku miesięcy, nie zmieniając się wcale. Nikt nie wiedział, na jaką chorobę zaniemógł, jakoż rozumiano powszechnie, że może tak leżeć będzie jeszcze lat kilka, czuwając ze swego poddasza jak zły duch nad zgubą duszy królewskiej. Jednak za powrotem króla zrobiło mu się gorzej, zaczem oddał „swojego pogańskiego ducha", jak powiadano, „swoim bogom łacińskim czy greckim". Szła wieść, ale bardzo niepewna, że ostatniego dnia zawołał króla do siebie i obrzucił go swemi pogańskiemi przekleństwy. Pewniejsza to, że dowiedziawszy się, jak król na sejmie jego wszystkie rady nogami podeptał i przywileje szlachty jeszcze tak znacznie rozszerzył, umarł z żalu, z żalu nad losem Polski, którą szczerze ukochał, a której przyszłość, wraz z Ostrorogiem, widział tylko w porównaniu wszystkich stanów przed prawem, we wzmocnieniu władzy królewskiej i postawieniu armii stojącej. Cóżkolwiekbądź, król mu wspaniały pogrzeb wyprawił na zamku, na który wszakże bardzo mało zgromadziło się ludu, a szlachty, nienależącej do dworu, wcale nie było.

Lecz zato po pogrzebie, wieczorami o zmroku, znowu niektórzy szlachcice stawali w ulicy pod

zamkiem i spoglądali ciekawie w owo okno pod dachem, gdzie dawniej po całych nocach paliła się lampa. Teraz ta lampa na wieczne czasy zagasła. Szlachta patrzyła, azali jego duch jeszcze tam się nie błąka i czy nie zaświeci zagasłej lampy; lecz widząc, że okno nieprzedartą zakryte ciemnością, mówiła do siebie:

— Zagasła! zły duch się rozpłynął w ciemnościach, Polska się go pozbyła nareszcie, teraz może odetchnąć spokojnie.

Taki zazwyczaj los spotyka tych wielkich mężów, którzy zbawienne myśli przynoszą narodom zawcześnie. Niekiedy narody odgrzebują te myśli, a znalazłszy w nich nici przewodnie do swego zbawienia, oddają cześć zasłużoną ich twórcom; ale daleko częściej zostawiają ich w zapomnieniu, utrzymując w pamięci tylko ich zniesławione nagrobki, które pod przewodem obłędu wystawiły im złość i nienawiść. Tak stało się także i w Polsce. Myśli zbawienne zjawiły się nad nią tylko jak lampa, która przez jakiś czas gdzieś na poddaszu płonęła i wywoławszy tylko nienawiść i wzgardę, na wieczne czasy zagasła...

Ostroróg umarł także w parę lat potem, przekonawszy się, że jego zbawienne rady nie zajęły nikogo, oprócz drukarzy — a Frycz Modrzewski, chociaż dopiero w pół wieku potem wystąpił z daleko umiarkowańszemi radami, został za nie za kacerza ogłoszony w Rzymie, a w Polsce, pozbawiony urzędów i wszelkich godności, musiał spędzić o żebranym chlebie ostatnie lata swojego życia.

Król, obdarzony obok niezwykłego rozumu, bardzo lekkim temperamentem, prędko się pocieszył po stracie tak znacznej części swej władzy — i zaczął się zajmować rozmaitemi myślami, mającemi na celu poddanie siły zbrojnej ile możności jego bezpośredniemu wpływowi. Jedną z jego myśli tej kategoryi było, jak się z tem już przed Kamienieckim wygadał, obsadzanie kasztelanij ludźmi zu-

pełnie mu oddanymi. O tej myśli króla dowiedział się sprytny we wszelkich kabałach Kergolaj już dawniej, a że gorąco pragnął jaką kasztelanię uchwycić, w każdym zaś razie otrzymać przynajmniej jaką przyzwoitą komendę na wypadek wojny, którą także w krótkim czasie przeczuwał, więc się zbliżył do króla i jako jego poufny, był mu w tej pracy pomocnym.

Król lubił Kergolaja dla jego humoru, a więcej jeszcze dla jego usłużności, przechodzącej w razie potrzeby nawet granice zazwyczaj bardzo drażliwego rycerskiego honoru i byłby mu chętnie dał choćby najlepszą z kasztelanij mniejszych, ale stała temu na trakcie ustawa, dozwalająca każdemu tylko w tym powiecie być kasztelanem, w którym miał posiadłości. Owóż Kergolaj miał posiadłości tylko w ziemi Sanockiej — a tam już oddawna czyhali na kasztelanię Balowie, ludzie przemożni i popularni, którzyby byli całą szlachtę sanocką zburzyli, gdyby im król był narzucił człowieka napół obcego, a do tego jeszcze krewnego Kmitów, którzy i tak już z wysokich krużganków Sobnia zanadto z góry patrzyli na tę ziemię, ceniącą od wieków nadewszystko równość szlachecką. Po długich wszakże kabałach, przy pomocy Gniewosza, Wilczka i Kamienieckiego, którzy wszyscy nie lubili Kmitów, Kergolaj potrafił przekonać króla, że Stanisław Kmita, zupełnie już zaśniedziawszy na Sobniu, a zresztą nawet wcale już niesposobny do wojny, bardzo będzie szczęśliwy, jeżeli król mu doda zastępcę w jego osobie, który mu jego kasztelanii nie zabierze, a tylko w razie wojny weźmie za niego komendę nad pospolitem ruszeniem ziemi przemyskiej.

Król, lubo przekonany zupełnie, a nawet bardzo uradowany tym projektem, któryby mógł stworzyć precedens wcale po jego myśli, wziął tę sprawę jeszcze *ad deliberandum* i wyjechał w pierwszych dniach stycznia do Lublina, aby odebrać przysięgę na nową ugodę od księcia mazowieckiego Konrada; ale jak

tylko powrócił, kazał podkanclerzemu wygotować list odpowiedni do Kmity i *cum honore* dworzaninem królewskim wyprawić go na Sobień. Kergolaj, ostrożny jak kot, sam wziął udział w redakcyi tej ekspedycyi, bo zdało mu się, że wypadało Kmitę jak najdosadniej okadzić, nie tyle dla niego, jak dla ambitnej, a często trochę drażliwej kasztelanowej, ale nareszcie przygotowano tę skrypturę, spisano ją bardzo pięknie na regałowym papierze, przypieczętowano najpiękniejszą pieczęcią i z własnoręcznym podpisem królewskim, przez bardzo grzecznego dworzanina, wyprawiono na Sobień.

Na Sobniu płynęły dnie w niezamąconej ciszy i wielkiej powadze.

Pozbyto się niespokojnej Jagienki, która była troską dla wszystkich, uwolniono się od księdza Wary, który się tak nieznośnie naprzykrzał o leskie probostwo, nie żałowano także i Lubka, którego melancholia byłaby wszystkich nudziła—i spędzano dnie na zwykłych domowych zajęciach, a wieczory na przystojnej całego dworu rozmowie.

Kasztelanowa była bardzo zadowolona z tej ciszy, bo przy niej zmniejszały się wydatki, a pomnażały oszczędności dla synów; Kmita zaś nigdy nie skarżył się na to, jeżeli mógł jeść i pić bez przeszkody, a trawić spokojnie, w niezamąconem uczuciu swojej wysokiej godności. Jakoż bardzo rzadko z domu wyruszał, czasami tylko wyjeżdżał na łowy, wymijając starannie chłopów po drodze, ażeby którego nie zabił i opowiadając potem przez cały wieczór, jak się walecznie borykał z dzikiem albo niedźwiedziem, czego nawet Smolicki słuchał ciekawie, bo chociaż go na krok nie odstąpił na łowach, przecież tego borykania nie widział.

Kasztelanowa zrazu nie bardzo była z tego zadowoloną, że jej mąż na sejm nie pojechał, ale zastanowiwszy się nad tem spokojniej, uznała, że

czasem dobrze jest zabłyszczeć nieobecnością. Po sejmie rozmawiano wiele o królu, dziwiono się razem z innymi, że ten pan, okrzyczany po całej Polsce za zawziętego nieprzyjaciela szlachty, jeszcze tak znacznie pomnożył jej przywileje, ale także razem z innymi nie umiano odgadnąć powodów, które go do tego skłoniły.

Kasztelanowa nie dowierzała tym wieściom, które prawiły, że król *proprio motu* zmienił swe przekonania, a przechylała się raczej ku przypuszczeniom, które także dość żywo obiegały po kraju, że król się ugiął przed imponującą podstawą małopolskich magnatów. Smolicki ją utwierdzał w tych podejrzeniach, mówiąc: — Schował na teraz pazury, próżno dociekać dlaczego; ale że je znowu wyciągnie, to pewna, byle tylko nas nie podrapał.—Kmita zaś traktował tę sprawę jak zawsze zwysoka, określając swe zdanie w ten sens: — Czy tam Paweł, czy Gaweł siedzi na tronie, ni mnie to ziębi, ni grzeje, ja zawsze Kmita. — Smolickiego ta obojętność czasem niecierpliwiła, a wtedy mawiał: Ty Kmita, bo nie możesz być ani Pełką, ani Niemirą, ale w tem niemasz żadnej zasługi. Są już Kmitowie, co siedzą na jednym zagonie — i twoim synom się małoco więcej dostanie, jeżeli nie postarasz się o to, abyś się naprzód posunął.— Bardzo przychylnie słuchała takich rozumnych uwag kasztelanowa i potwierdzała je zawsze skinieniem głowy.

Wszelako, rozpatrując postanowienia królewskie na sejmie piotrkowskim, zauważano z niezadowoleniem, że król nie rozdał ani jednego urzędu, a były teraz i województwa w wakansie. Mówiono o tem często, a zawsze z żywem zajęciem, bo już czas był dla Kmity przesiąść się z kasztelanii na województwo, choćby pomniejsze. Z tego punktu widzenia kasztelanowa żałowała, że jej mąż nie był w Piotrkowie, a wtedy powiadał, że powinien był tam z wiel-

kim dworem pojechać, aby się przecie królowi i światu pokazać, bo wcale mądre to jest przysłowie: Jak z oczu, tak z myśli. Król teraz pewnie będzie konferować wiele urzędów, ten i ów kasztelanem zostanie, niejeden kasztelan pomknie na województwo a drugi wojewoda przesiądzie się na województwo, większe, o nas tam i mowy nie będzie, bo któż o takim pamięta, co sam zapomina o sobie? — Ale kasztelan powiadał na to: — Kmita nie potrzebuje się włóczyć po sejmach, ażeby o nim wiedziano, że żyje. Widzę ja z mojej wieży zamek królewski, toż i król ze swego zamku widzi zamek sobieński. Jak tam zaczną posuwać senatorów na szachownicy, to nie przeskoczą przez Sobień — a goniec królewski, co go poślą do mnie z nominacyą na wojewodę, nie będzie potrzebował się pytać o drogę do rezydencyi kmitowskiej.

Ten goniec królewski uwięznął w uszach całemu dworowi: nie oczekiwano go jeszcze, bo jeszcze nic nie było słychać o nowych nominacyach, lecz wszyscy byli pewni, że jak tylko król zacznie wakujące urzędy rozdawać, goniec królewski się niecomylnie otrąbi na Sobniu.

Wśród takich rozmów i oczekiwań, jednego zimowego wieczora trębacze uderzyli larum niezwykłe, a niebawem wpadł bronny do komnaty, w której cały dwór był zgromadzony, z oznajmieniem, że goniec królewski z ekspedycyą przyjechał.

Na tę wiadomość wszyscy się z krzeseł porwali, nawet i Kmita się ruszył i zdjął kuczmę z głowy — a kiedy wszedł szlachcic przystojny w barwie królewskiej, z ogromnym listem w ręku, przyjęto go nadzwyczaj uprzejmie, obsypano komplementami, wypytano o zdrowie króla, o Gniewosza, o Wilczka i oddano go zaraz Smolickiemu w opiekę, aby mu w małej sali jadalnej sowitą usłużył wieczerzą.

Z czytaniem listu nie śpieszono się, bo najprzód nie było żadnego wątpienia, że to jest województwo, zachodziło tylko pytanie, czy bełzkie, z któ-

rego Tarnowski się może na które wyższe posunął, czy też zgoła podolskie, na którem Jędrzej Fredro tylko co umarł – a potem, czytanie listów, zwłaszcza łacińskich, była to praca naówczas, która nie każdemu łatwo się udawała. Kasztelanowa wszakże była ciekawa, więc rzekła do męża:

— Czytajże już nareszcie, bo przecie to nie jest rzecz obojętna, które to województwo.

Kmita otworzył list i zaczął czytać, ale jakoś mu nie szło. List, okrutnie długi, zajmował całe trzy strony a do tego jeszcze pisany pismem gotyckiem. Kmita przebiegł oczyma pierwszą stronę, potem drugą i trzecią, ale nic nie wyczytał, zaczem go położył przed sobą, spojrzał na żonę i rzekł:

— W tej kancelaryi królewskiej piszą teraz jak kury, same ogonki, krzyżyki a kreski, dyabli ich tam wiedzą, co popisali; jeno mi to dziwno, że taki list długi, chyba że w nim położyli jakieś instrukcye.

— Ale któreż jest województwo?—spytała niecierpliwie kasztelanowa.

— Dyabełże ich wie—rzekł Kmita—ja tu nic o województwie nie widzę.

Na to kasztelanowa zbladła—a jakoto zawsze była bardzo przytomna, rzekła najprzód do dworu.

— Idźcie waszmość spać, jużeśmy się dość nagadali.

A kiedy wyszli, powiedziała do męża:

— Czytajże teraz głośno od deski do deski. Ja niewiele po łacinie rozumiem, ale coś przecie połapię, a reszty się domyślę. To nie jest nominacya, to już wiem pewnie. To jakaś instrukcya, albo pozew, albo ja wiem? Czytaj.

Kmita się mocno wpatrzył w pierwsze litery, wyczytał: *Generoso Domino* potem swoje nazwisko i tytuły, ale dalej ani rusz. Natomiast zaś rzekł:

— Chyba posłać do Sanoka po pisarza albo po księdza.

—Jeszcze tego potrzeba — zawołała kasztela-

nowa — aby to roztrąbili po całym świecie. Smolicki przeczyta.

Zawołano więc Smolickiego — a tak wszystko troje przy dwóch lampach zasiedli i zaczęli czytać słowo za słowem. Napocili się jak w łaźni, nasprzeczali się niemało o znaczenie słów i frazesów, ale nareszcie przecie wyczytali i zrozumieli.

List ten był napisany z nadzwyczajną zręcznością. Dyplomacya ówczesna nie stała wcale niżej od tegoczesnej w sztuce pisania, owszem, czytając akta dyplomatyczne z tej epoki, nieraz nie możemy się dosyć nadziwić subtelności myśli, ścisłości rozumowania i umiejętności wyrażania najpozytywniejszych twierdzeń w formie niezmiernie delikatnej a zawsze uwzględniającej stanowisko, wrażliwość i czułość osoby, do której akt jest wystosowany, często nawet łagodzącej już z góry przewidywane wrażenie. Tak i ten list był przepełniony pochwałami dla zasług Kmity; rozkaz oddania faktycznej komendy Kergolajowi był wprawdzie kategoryczny, ale za to cała trzecia strona zawierała same zapewnienia, że to zastępstwo niema przynosić uszczerbku jego wysokiemu stanowisku, owszem przeciwnie, jak każde zastosowanie się do woli królewskiej, może liczyć na nieomylną wdzięczność swojego czasu.

Toż ten list całe niejednakowe sprawił wrażenie na swoich trzech czytelnikach. Zmyślny Smolicki rozumiał, że możnaby skorzystać z tej okoliczności, iż Kergolaj jest w takich łaskach u króla, odstąpić mu jaką wioskę w ziemi Przemyskiej i niechby go król zaraz tam zrobił kasztelanem, a za to od króla jakie województwo wykręcić; ale będąc bardzo ostrożnym, nie wyrywał się z tem, tylko milczał. Kmita jakoś trochy posmutniał, ale nie bardzo. A kasztelanowa była oburzona do najwyższego stopnia.

— Och! Kergolaj! Kergolaj!—zawołała z zaciśniętemi pięściami przed sobą—zawszem nienawidzi-

ła tego znachora niechże mi się jeszcze raz tu pokaże, to mu bramę zatrzasnę przed nosem!

Poczem stanęła przed mężem, wyprostowała się przed nim, głowę podniosła do góry i zapytała:

— Cóż więc jegomość myślisz zrobić z tym wiechciem królewskim?

Kmita pokręcił głową, namyślił się dobrze, a potem rzekł:

— Jużci to rzecz nieprzyjemna przyjmować zastępcę, kiedy się nie jest kaleką. Zdarzały się takie wypadki i dawniej, ale zawsze w dobrem porozumieniu: a tu mi narzucają zastępcę. Ale i to znów zważyć należy, że to mój brat..

— Ale co myślisz zrobić z tą ekspedycyą?— zawołała kasztelanowa już w bardzo wielkiej niecierpliwości.

— Trzeba się będzie nad tem namyślić—rzekł Kmita.

Na to kasztelanowa już nie mogła powstrzymać swojego podwójnego oburzenia, bo mąż ją jeszcze więcej oburzał, porwała list ze stołu, rozdarła go do połowy, potem zmięła jak chustkę od nosa i rzuciła pod komin, mówiąc w szlachetnym gniewie do męża.

— Ot, co się robi z takiemi ekspedycyami!

Ten list, do połowy rozdarty i zmięty, przechował się przez wszystkie wieki następne w archiwach Kmitowskich.

Kmita może nie bał się żony, ale nie lubił widzieć jej w gniewie, zaczem zaczął ją łagodzić, mówiąc:

— Ale, moja Kasieńko, dlaczegoż zaraz się gniewać? Takie zastępstwa w czasie wojny zdarzają się niemal codziennie, a na polu bitwy nawet zdarzać się muszą, boć i kasztelanowie bywają ranni, a nawet i padają czasami na placu. Mojem zdaniem—a ja się przecież znam cokolwiek na wojnie—przy każdym dowódcy powinien być naprzód mianowany zastępca, bo jak go niemasz, a dowódca

zginie, to zaraz cała chorągiew idzie w rozsypkę. Prawdę zaś mówiąc, to wolę ja mieć Kergolaja przy boku, niż kogo innego, bo mów tam sobie o nim, co chcesz, żołnierz-to doświadczony jak mało...

— Przy boku! — zawołała kasztelanowa — ale to nie przy boku, tylko nad tobą! Przecież czytałeś instrukcyę. On będzie hetmanił — a ty czem przy nim będziesz? namiestnikiem, obożnym, strażnikiem, chorążym, czy ciurą? Ciurą! ty, kasztelanie, pod komendą francuzkiego znachora! A jak cię raz zdegradują na ciurę, to wiedz o tem, że już niczem więcej nie zostaniesz w tem życiu; jeżeli zaś masz tylko szczyptę ambicyi, to powinieneś nawet z tej kasztelanii ustąpić. Cóż tedy myślisz zrobić z tem pismem jego królewskiej mości?

Kmita milczał, uśmiechając się zlekka, ale nie wiedzieć, co sobie myślał. Zachodziła tu, jak się zdaje, bardzo głęboka różnica zdań pomiędzy mężem i żoną: podczas kiedy on miał się za jednego z najpierwszych magnatów królestwa, chociażby nawet nie miał żadnego urzędu, ona, ceniąc zapewne równie wysoko ród Kmitów, jego samego miała poprostu za niedołęgę. Ale mimo sprzeczności zdań, oboje mieli słuszność, albowiem opinia o tego rodzaju kwestyach zależy zawsze od punktu widzenia. U niego już sam ród do znaczenia wystarczał; u niej także ród znaczył, ale pod warunkiem, ażeby i człowiek coś znaczył — i to ostatnie przekonanie było właśnie głównym artykułem wiary owoczesnych wielkich rodów, które się tak wysoko wyniosły. Ta różnica przekonań wyraziła się też niebawem w dalszym rozwoju tych obydwóch rodzin: Kmitowie tylko raz jeszcze błysnęli, a to tylko blaskiem mniej niż wątpliwej wartości i zgaśli, Tarnowscy zaś wkrótce świetną okryli się sławą i przeszli w wieki następne.

Milczenie Kmity oburzyło kasztelanową, spłonęła gniewem i zawołała:

— Gdybym synów nie miała, tobym cię zostawiła w tym barszczu królewskim! Dla twoich synów cię zeń wydobędę: ale bieda tym rodom, których potęgę i sławę muszą ratować kobiety!

Na te słowa Kmicie krew uderzyła do twarzy, zerwał się i zapewne chciał stanąć w obronie swego honoru: ale kasztelanowa obróciła się plecami do niego, dała znak Smolickiemu, aby szedł za nią i wyszła z komnaty. Znalazłszy się zaś z Smolickim w kurytarzu, dała mu rozkaz, ażeby kazał natychmiast porozstawiać konie aż do Krakowa i przygotować wszystko, co trzeba do tej podróży.

Król prowadził tryb życia pełen pańskich fantazyj. Jadał ówczesnym zwyczajem o godzinie dziesiątej rano i do tego obiadu, prócz osób należących do jego dworu, rzadko kogo zapraszał. Po obiedzie zajmował się publicznemi sprawami i przyjmował suplikantów wszelkiego rodzaju, ale nie codzień, często bowiem zaraz po obiedzie konno wyjeżdżał i wracał dopiero o zmroku, zmęczywszy konie i ludzi na umor, ale tem ich pocieszał, że takie ćwiczenia ciała są dla zdrowia koniecznie potrzebne. W dnie słotne zamykał się na cały dzień w swym gabinecie i nikogo nie przypuszczał do siebie; powiadano, że wtedy po całych dniach księgi wertował. Czasem zaś zamiast książkami bawił się szermierstwem, każąc młodzieży szermować przy sobie, albo też i sam z nią szermując — a że był bardzo sprawny w robieniu wszelką bronią, więc zwykle młodzików potężnemi pookładał guzami; lecz że to były guzy królewskie, więc nie bardzo bolały, zwłaszcza, że często jeszcze król na nie jaki plaster przyłożył, co się często zdarzało, bo był hojny aż prawie do rozrzutności, jak wszyscy Jagiellonowie.

Wieczerzę dawano o zmroku, a wtedy król zwykle więcej osób zapraszał do swego stołu. Czasami zasiadali do niej także mieszczanie, z którymi bardzo chętnie po niemiecku rozmawiał. Język ten

był zresztą bardzo upowszechniony na dworze królewskim, boć żyła jeszcze i mieszkała na zamku matka jego, Elżbieta Rakuszanka, otoczona zawsze Niemcami, która wszakże prowadziła dwór całkiem osobny, i z wyjątkiem wielkich festynów, nie zasiadała nigdy do stołów biesiadnych swojego syna. Procz tego, od szwagrów królewskich, króla bawarskiego, elektora brandenburskiego, Bogufała pomorskiego i Jerzego księcia saskiego, nazwanego później brodatym, przyjeżdżali często kawalerowie niemieccy, którzy długo bawili w gościnie na zamku. Do wieczerzy przychodził także czasem królewicz Fryderyk, kardynał i biskup krakowski, i przyprowadzał ze sobą kilku ze swojej młodzieży, pomiędzy którą już był natenczas Jan Tarnowski, późniejszy hetman w. koronny, i Stańczyk, jeszcze także młody naówczas, lecz już z młodu obdarzony rozweselających wszystkich humorem.

Po wieczerzy grano w szachy, w kości i w karty, a tej rozrywce przygrywali zazwyczaj gędźbiarze, których król utrzymywał całą kapelę, a których mu dostarczała krakowska bursa rybałtów. Po wieczerzy król często znikał, zostawiając gości na opiece swego podkomorzego. Gdzie wtedy bywał, nikt o tem nie wiedział, ani śmiał kogokolwiek wypytywać: wiedziano tylko, że król zwykle bardzo późno na zamek powraca, czasem nawet już dzwon katedralny zawołał wikaryuszów na jutrznię, a jego jeszcze nie było. Lecz kiedykolwiek wrócił, choćby najpóźniej, zawsze z porannym brzaskiem był już ubrany i siedział w komnacie poprzedzającej jego izbę sypialną, posilając się winną polewką.

Wtedy nie przyjmował nikogo; za drzwiami tej komnaty siedział paź dyżurny i czekał, póki król go nie zawoła i nie każe zaprosić do siebie tego albo owego z panów dworskich, albo postronnych, którzy w dalszej antykamerze czekają. Albowiem przed tą antykamerą niewielką, w której zawsze tylko jeden paź siedział, była inna, bardzo obszer-

na, ledwie nie jak nawa skromnego kościoła, w której się gromadziła cała służba królewska. Tam mieli swe *locum standi* rotmistrze i inni urzędnicy królewscy, gdzie podkomorzy ich w izbie przyległej także częstował winną polewką. Tam zwykle już o świtaniu gromadzili się, ci i owi panowie, którzy właśnie bawili w Krakowie, a zarazem szlachta, dygnitarze kościelni, zakonnicy, przejeżdżający rycerze i rozmaici inni podróżni, którzy tego dnia chcieli mieć audyencyę u króla.

Tego poranku w tej pierwszej antykamerze było bardzo ludno i gwarno, bo wielu już przeczuwało, że się zanosi na wojnę, zaczem ten i ów chciał pewniejszych wiadomości zasięgnąć, drugi zaś to lub owo sobie u króla uprosić. Podkanclerzy, marszałek, podkomorzy, Kamieniecki, Gniewosz, Kergolaj, Wilczek, Myszkowski, stali w grupach z gośćmi, rozmawiając z nimi żywo o rzeczach publicznych: kiedy drzwi się otworzyły pomału ale naścieżaj i weszła poważnym krokiem kasztelanowa przemyska.

Pani Kmitowa miała na głowie czepiec ze spuszczonemi uszyma przetykany złotem, około szyi białą kryzę miernej szerokości, na piersi krzyż drogiemi kamieniami sadzony na złotym łańcuchu, około bioder pas z klamer złotych szmelcowanych bardzo misternej roboty, z jednym końcem wiszącym poniżej kolan, na sobie suknię długą z ciężkiej jedwabnej materyi ciemnego i jednostajnego koloru, a na tem wszystkiem przepyszną szubę sobolową, ciemno-karmazynowym atłasem nakrytą. Ubiór, choć nie błyszczący pstrokato wedle mody ówczesnej, przy jej wzroście i zwykłej powadze, dodawał jej tak wiele okazałości, iż zdało się w niej widzieć postać królewską.

W tej antykamerze rzadko zjawiały się damy, a zwłaszcza o tak rannej godzinie, wszyscy więc nawet i Gniewosz, poznawszy ją, zaraz przybiegli do niej, prezentując jej swoje ukłony i ofiarując swoje usługi. Wilczek także ją poznał, ale cofnął się w kąt

i zachmurzył się jeszcze bardziej, niż zwykle. Kergolaj zaś był jej zjawieniem się niezmiernie zdziwiony, patrzył na nią ciekawie, ale stanął tak, aby go nie spostrzegła.

Kamieniecki, dowiedziawszy się od niej, że się chce widzieć z królem, wiedząc dobrze, że król jeszcze nikogo nie zawołał do siebie, a zatem, że jeszcze nie pora iść do niego, a nawet jeszcze nie pora prosić o audyencyę, zawiadomił ją o tem z kawalerską grzecznością, zapewniając, że król za lada chwilę zacznie przyjmować, a wtedy sam podkomorzy albo nawet marszałek ją zamelduje. Ale ona podniosła prawą rękę, jak gdyby na znak zaprzeczenia i rzekła z uśmiechem:

— Spodziewam się, że król jegomość raczy mnie przyjąć przed innymi suplikantami.

A to rzekłszy, poszła tym samym poważnym krokiem do następnej komnaty i tam zatrzymała się przed samym Lubkiem.

Lubek, spostrzegłszy ją, zarumienił się powyżej uszu i prawie się przestraszył, chociaż sam nie wiedział dlaczego, tymczasem ona rzekła do niego:

— Cieszę się, że cię widzę na takiej funkcyi zaszczytnej. Czy król jest już ubrany?

— Ubrany — odpowiedział Lubek — bo już ze trzy pacierze, jak mu zaniesiono polewkę, ale jeszcze nie przyjmuje, bo też i nie zawołał nikogo do siebie.

— Mnie przyjmie—rzekła kasztelanowa, sama sobie drzwi otworzyła i weszła do królewskiej komnaty.

Lubek miał dla niej tyle respektu, że jej nie przeszkodził, co było bardzo nieroztropnie na pazia, będącego na służbie i mającego ścisłe instrucye.

Król, w małym kołpaczku na głowie, w krótkim aksamitnym płaszczyku z rękawami i z mieczykiem u boku, siedział przy stole, plecyma obrócony do drzwi i nad czemś rozmyślał. Usłyszawszy kogoś

wchodzącego bez rozkazu, obrócił się gniewnie do drzwi, a już wcale brwi zmarszczył, kiedy obaczył kasztelanową. Rzadko ją wprawdzie widywał, ale ją poznał, a zapewne nie bardzo chętnie ją teraz widział u siebie, bo nie ruszając się z krzesła, rzekł do niej:

— Jejmość pani kasztelanowa przemyska. Nie opowiedziano mi, że waszmość pani jesteś w Krakowie. Cóż to jejmość do mnie sprowadza tak całkiem niespodziewanie?

— Miłościwy panie — odpowiedziała mu kasztelanowa — niespodziewanie spadł nam na głowę upokarzający dekret waszej królewskiej mości, toż równie niespodziewanie musiałam stanąć u stopni tronu, ażeby wnieść protest przeciwko tej krzywdzie, którą być może, że bez wiedzy waszej królewskiej mości nam wyrządzono.

— Jaki dekret? jaka krzywda? — zawołał król, wstając raźnie i patrząc prosto w twarz kasztelanowej — ja nigdy nikogo nie krzywdzę.

— Dlatego też powiedziałam, że mogło się to stać mimo wiedzy waszej królewskiej mości.

— Mimo mojej wiedzy nikt tutaj żadnych nie wydaje dekretów — rzekł król, niemile tą uwagą dotknięty — jaki to dekret?

Na to odpowiedziała mu kasztelanowa spokojnie:

— Onegdaj przyjechał na Sobień goniec z kancelaryi królewskiej i przywiózł memu mężowi papier z podpisem waszej królewskiej mości, który zawiera jego destytucyę z kasztelanii przemyskiej.

— Destytucyę! — zawołał król jakoby bardzo zdziwiony — a toście źle ten papier czytali. Nie jest to destytucya, tylko substytucya, i to tylko w dowództwie nad pospolitem ruszeniem. Ani godności, ani urzędu imcipana Kmity to nie dotyka, mąż waszmość pani, jak był kasztelanem, tak i nadal nim będzie.

— Miłościwy królu — rzekła kasztelanowa na

to sucho, ale stanowczo — w takich warunkach mój mąż kasztelanem nie będzie. Raczej mu być niczem, raczej mu być tylko Kmitą, to jeszcze będzie znaczył coś więcej, aniżeli będąc ciurą pod rotmistrzowską buławą imci pana batarda de Kergolay!

Na to jakiś nieokreślony uśmiech przeleciał po twarzy króla, zaczem Jan Olbracht wziął głos, lecz mówił niecierpliwie i górnie:

— Waszmość przypisuje sobie zdanie o rzeczach, których nie rozumiecie. Moje postanowienia nie wypływają ani z królewskich kaprysów, ani ze względów ubocznych na osoby albo rodziny. A moc i potęga tego królestwa idzie przed wszystkiem. Dlatego u mnie Kergolaj tyle wart, co imci pan Kmita, albo którykolwiek inny pan małopolski, jakiebądź nosi nazwisko, a każdy waży tylko podług zasługi, jaką oddaje temu królestwu. Mąż waszmości pani zasiedział się na wsi, zapleśniał, ociężał, przywykł do wczasów. Jeżeli wojna wybuchnie, to mnie będzie potrzeba nie panów, co tylko błyszczeć mogą swojem imieniem i dworem, ale żołnierzy, co dobrze sprawiają chorągwie i sami łba swego nadstawią za tę ojczyznę, w której wam tak dobrze się dzieje. Dlatego też tym kasztelanom, co zapleśnieli, substytuuję rotmistrzów, którzy im zostawią wszystkie honory, a za nich chorągwie ich sprawią i zdrowie swoje wystawią. Figurować będziecie mogli, ile wam się podoba, nikt wam w tem nie przeszkodzi, ale wasze poczty bić się będą, jak trzeba. Jeżeli zaś mężowi waszmość pani dodałem Kergolaja do boku, to właśnie dlatego, że to jego powinowaty i że z nim łatwiej się zgodzi, niż z którym innym. Już trzem kasztelanom dodałem rotmistrzów i wszyscy się na to bez szemrania zgodzili, toż i imci pan Kmita może na to się zgodzić, a mnie zostawić w spokoju.

— Miłościwy panie—rzekła kasztelanowa zno-

wu stanowczo — mój mąż nie pójdzie pod komendę imci pana de Kergolay.

— Więc to tam macie coś z sobą na pieńku— rzekł król niecierpliwie — więc dobrze, więc dam mu kogo innego.

— Miłościwy królu—powiedziała kasztelanowa tym samym tonem — mój mąż żadnego substytuta nie przyjmie, choćby nim był sam Kamieniecki. Dość już dla niego, że wojewoda go będzie gniótł z góry; żaden pan sprawiedliwy po nim wymagać nie będzie, aby go jeszcze narzucony mu rotmistrz gniótł z dołu. Miałby tak między dwoma komendantami zawisnąć w powietrzu, miałby się z kasztelanii drążkowej przesiąść na kasztelanię tylko imienną i imię Knitów wydać na pośmiewisko całego świata, to raczejby podziękował swojemu panu za służbę i pocieszył się tem, że może jeszcze pozostać panem w swojem własnem królestwie!

Zdaje się, że te słowa przepełniły króla pewną goryczą, bo mówił jak gdyby z żalem:

— Nie wiem już zaprawdę, jaki ten król być powinien, aby wam potrafił dogodzić! Natkałem was prav mi i przywilejami w Piotrkowie, jakicheście się sami nie spodziewali. Już odtąd chłop będzie u was w niewoli, już mieszczaninowi nie wolno dóbr szlacheckich kupować, już tylko szlachta ma się rozsiadać na wszystkich duchownych i świeckich urzędach, jużeście wszystko zabrali, już jesteście wyłącznymi panami tego królestwa: i na tem wam jeszcze nie dosyć! Czegoż wam się jeszcze zachciewa? Wiem ja to dobrze, nie potrzebujecie mi tego powiadać. Jeszcze za mało hojni byli na was Jagiellonowie, jeszczeście ich nie ze wszystkiej władzy wyzuli, trzebaż ich wyzuć do reszty. «Tylko król ma być wybieralny, a urzędy i starostwa dziedziczne», tego wam jeszcze potrzeba i o to wam chodzi. Niechże wam Bóg dopomaga! Może jeszcze i to dostaniecie, nie odemnie, ale od którego z moich następców—a wtedy już rozniesiecie to królestwo

pomiędzy siebie, ba, wtedy już wam i królów nie będzie potrzeba. Będziecie sami królować na waszych zamkach: tu Tarnowski, tam Kmita i tak każdy u siebie. Ano nie wiem, zkąd wtedy ten blask brać będziecie, który na was spływa z Jagiellońskiej korony i nie wiem, kto będzie bronił waszej królewskiej chudoby!

Bardzo cierpkie były to słowa, mogły każdego skruszyć i zniewolić do pokory należnej koronie; ale kasztelanową, o ile się zdaje, bardzo głęboko dotknęło wspomnienie o blasku, spadającym z korony Jagiellońskiej na jej rodzinę, albowiem jeszcze wyżej głowę podniosła i mówiła głosem pełnym pewności siebie i prawie królewskiej powagi:

— Miłościwy panie, coś wasza królewska mość uczynił dla szlachty w Piotrkowie, to, jak słyszałam, znalazło powszechne uznanie, które też bez wątpienia przy danej sposobności wyrazi się w czynach. Jednak nie mnie kobiecie rozbierać, a sądzić te sprawy, których zawiadywanie od wieków poruczone jest senatorom. Jakoż, jeżelim śmiała zapukać do drzwi królewskiej komnaty, to tylko jako żona i matka, której mężowi a synom wyrządzono krzywdę w kancelaryi królewskiej, jako właśnie się dowiaduję, z rozkazu samego króla. Na taką krzywdę zasłużyliśmy sobie tak mało, jak na te drugie zarzuty, jakobyśmy Jagiellonów chcieli wyzuć z ich władzy, a między siebie rozdrapać królestwo. Jeszcze mój mąż dotychczas nie wziął ani jednego starostwa, nawet nigdy o żadne nie prosił, a jeśli panuje na obszerniejszych majątkach niż inni, to je dostał nie od Jagiellonów, tylko po swoich ojcach, zaczem je własną zabiegliwością a pracą rozszerzył. Kasztelania drążkowa, na której mój mąż od kilkunastu lat siedzi i mimo swych siwych włosów o awans nie błaga, także nie bardzo się kąpie w tym blasku Jagiellońskiej korony, który z lasów litewskich na Polskę zaświecił. Mój królu a panie, nie przyszłam tu po to, ażeby cenzurować rządy

korony, ale kiedy mnie krzywda się dzieje, a zamiast sprawiedliwości jeszcze spada na mnie królewska cenzura, to mam sobie za obowiązek powiedzieć, że Kmitowie a Tarnowscy dawniejsi są w tem polskiem królestwie, niżeli Jagiellonowie, blasku od nikogo pożyczać nie potrzebują, zasługiwali się zawsze według sił swoich ojczyźnie i mają miłość swych bliźnich — a jeżeliby podobało Bogu na tron ich powołać, to ludzie pewnie takich wstrętów im nie uczynią, ażeby ich trzeba aż gwardyą królewską rozganiać.

Był to bardzo cierpki przytyk do obioru Jana Olbrachta, gdzie gwardya królewska rozpędziła istotnie mazowieckie zastępy. Zaczem król stracił cierpliwość, ale się i upokorzył. Nabiegł krwią cały, przerwał jej i zawołał żałośnie:

— Dobrze, już dobrze. Znam ja te pieśni, co mi się nieraz przelewają uszyma. Więc czegoż waszmość pani chcesz? Co ma król zrobić, ażeby sobie zasłużył na łaskę Tarnowskich i Kmitów?

— Nic, najjaśniejszy panie — odpowiedziała mu kasztelanowa — Stanisław Kmita błaga tylko swojego króla, aby go zostawił w spokoju... i aby mu pozwolił dopełniać osobiście tych obowiązków, jakie na niego wkłada jego kasztelania drążkowa.

— Więc dobrze — rzekł król — więc każę ten dekret odwołać.

— Będę czekała w Krakowie, póki mi kancelarya tego odwołania nie przyśle.

— Dziś, zaraz—powiedział król—niech Pan Bóg prowadzi.

Kasztelanowa ukłoniła się nizko królowi i wyszła, zostawiwszy drzwi niezamknięte za sobą.

Król patrzył za nią pełen gniewu i oburzenia— a kiedy spostrzegł, że weszła już do tej wielkiej antykamery, gdzie czekający dygnitarze znowu ją otoczyli, wyskoczył przez drzwi otwarte i trzęsąc się cały od złości, rzucił się na młodego Pretficza.

— Tak to drzwi moich pilnujesz? masz! — krzyknął król i uderzył go zlekka po twarzy — ruszaj precz i zawołaj mi tutąj podkomorzego.

Biedny Lubek struchlał, uczuwszy rękę królewską na sobie, a jego twarz, nie z bólu, ale ze wstydu, oblała się ciemno-karmazynowym rumieńcem. Pobiegł zawołać podkomorzego, ale kiedy wszedł w tłum dworaków, zalał się łzami i ledwie potrafił wyłkać mozolnie, z czem go król posłał.

Młodsi i starsi zaraz go otoczyli, tuląc go w żalu i nauczając, że taki policzek od króla żadnej ujmy nie czyni. Królewska ręka według zwyczajów dworskich nie obraża honoru sług jego; nawet niemasz ani jednego pazia, coby od króla choć raz po gębie nie dostał. Ale mimo, że wszyscy usiłowali go uspokoić, mimo, że najwyżsi dygnitarze okazywali mu jawnie swoją życzliwość, mimo, że nawet sam król kilka razy do niego łaskawie przemówił, on się nie mógł pocieszyć. Już tylko parę tygodni bawił na dworze królewskim, poczem podziękował za służbę i wyjechał, nie powiedziawszy wszakże nikomu, dokąd wyjeżdża.

KONIEC CZĘŚCI TRZECIEJ.

Biblioteka Państwowego Liceum Pedagogicznego w Gliwicach
Biblioteka Państwowego Liceum Pedagogicznego w Gliwicach
BIBLIOTEKA Państwowego Liceum Pedagogicznego w Gliwicach

Spis rzeczy.

VIII. Średniowieczna tragedya 5
IX. Średniowieczna imaginacya 71
X. Sprawy publiczne 119

KOLEGIUM NAUCZYCIELSKIE
w GLIWICACH
Sz 1133